

Joseph Henri Rosny

**WALKA
O OGIEN**

POWIEŚĆ Z CZASÓW PIERWOTNYCH

przekład Ignacy Mrozowski

**Krajowa Agencja Wydawnicza
Białystok 1988**

Tytuł oryginału francuskiego: „La Guerre de Feu”

**Tekst na podstawie wydania Spółdzielni
Wydawniczej „Chłopski Świat”,**

Warszawa 1948

**Opracowanie graficzne i ilustracje
ZBIGNIEW WASZCZENIUK**

Redaktor ;

MAREK ŁAWNICKI

Redaktor techniczny

BOGDAN RAJEWSKI

Korekta

IWONA KAPUŚCIŃSKA

**Copyright by Krajowa Agencja Wydawnicza
Białystok 1988**

CZEŚĆ PIERWSZA
Śmierć Ognia

**Plemię Ulhamrów uciekało w mrokach strasznej
nocy. Ludziom oszalałym z bólu i zmęczenia wszelki wysiłek
wydawał się
daremny wobec okropnej klęski. Ogień skonał!
Pielęgnowali Go
od chwili powstania hordy w trzech klatkach. Cztery
kobiety i
dwóch wojowników karmiło Go dniem i nocą. W
najcięższych
czasach otrzymywał życiodajne pożywienie.
Zabezpieczony od
deszczu, nawałnic i powodzi przebywał rzeki i
bagniska, nie prze-
stając świecić za dnia niebieskawym płomykiem, by
zabłysnąć**

**krwawym płomieniem w nocy. Jego potężne pasmo
oddalało Lwa**

**Czarnego i Lwa Żółtego, Niedźwiedzia Jaskiniowego
i Niedźwie-**

dzia Szarego, Mamuta, Tygrysa i Lamparta.

Krwawe Jego kły

**bronily człowieka przed niespodziankami rozległego
świata. Był**

**źródłem wszelkiej radości. Z mięsa wydobywał
smakowite aro-**

**maty, hartował ostrza oszczepów, pod Jego
działaniem pękały**

**głazy, pod wpływem Jego łagodnego ciepła członki
nabierały**

przedziwnej mocy. Zapewniał hordzie

bezpieczeństwo w szumią-

**cych puszczech, na bezmiernych sawannach i w
głębijaskiń. Był Oj-**

**cem, Stróżem i Zbawcą, pomimo że był
nieokielznany, a strasz-**

**niejszy od Mamutów, kiedy wydobywał się z klatki i
pożerał drzewa**

niebotyczne.

**Skonał! Wróg zniszczył dwie klatki; w trzeciej —
podczas**

**ucieczki widziano Go, jak omdlewał, bladł i
zamierał. Tak osła-**

biony, nie był zdolny już gryźć traw moczarów;
drżał jak chory
zwierz. W końcu wydawał się jak czerwonawy
robaczek, którego
lada podmuch wiatru uśmierca... Znikł...
Ulhamrowie, obrabo-
wani, uciekali w mrokach nocy jesiennej.
Bezgwiezdne niebo
przytłaczało ociążałe wody. Rośliny prężyły
zziębnięte tkanki. Ze-
wsząd dochodziły odgłosy pluskających się płazów;
mężczyźni,
kobiety i dzieci ginęli w toni niewidzialni. Jak tylko
można było,
Ulhamrowie, kierując się głosem przewodników, to
postępowali
wyższym i twardszym pasmem ziemi, to znów
przechodzili rzeki
w bród, to znów przemykali z kępy na kępę. Trzy
pokolenia zna-
ły tę drogę, lecz do jej przebycia trzeba było blasku
rozwieżdzo-
nego nieba. Nareszcie przed samym świtem zbliżyli
się do sawan-
ny.

Poprzez kredowe, na kształt skał szyfrowych
spiętrzone obło-
ki przedarł się drżący promień światła. Zawirował
wiatr na gęs-

tych jak smoła wodach wzdymając wodorosle na kształt pęcherzy;

zakołysały się cielska płazów wśród nenufarów i strzałek wodnych. Czapla wzleciała na szare jak popiół drzewo i pośród rdzawej mgły, ciągnącej się do krańca horyzontu, ukazała się sawanna z dygocąca od chłodu roślinnością. Mężczyźni, mniej zmęczeni, powstali i przedarłszy się przez trzciny, znaleźli się wśród traw na stałym lądzie.

Wtedy, gdy strach śmierci minął, wielu z nich jak odrętwiałe zwierzęta stoczyło się na ziemię i zastygło w bezruchu. Odporniejszymi okazały się kobiety. Te, które utraciły w moczarach swe dzieci, wyły jak wilczyce; wszystkie one czuły zawieszona nad nimi groźbę upadku rasy i przygniatająca niepewność jutra. Matki uratowanych dzieci podnosiły je dziękczynnie ku obłokom.

Fauhm przy brzasku nadchodzącego dnia policzył członków

plemienia, posiłkując się palcami i gałęzmi. Każda gałąź przedstawiała palce dwu rak. Liczył z trudnością, widział jednak, że pozostało jeszcze cztery gałęzie wojowników, więcej niż sześć gałęzi kobiet i ze trzy gałęzie dzieci tudzież kilku starców.

A stary Goun, liczący lepiej od wszystkich mężczyzn, orzekł, że z każdych pięciu nie został nawet jeden mężczyzna; z każdych trzech — nawet jedna kobieta i jedno dziecko z każdej gałęzi. A wtedy ci, co czuwali, ujrzeli ogrom klęski. Pojęli, że potomność ich była zagrożona u samej podstawy, i że moce świata stawały się straszliwsze: odtąd będą błąkać się po ziemi słabi i nadzy.

I Fauhma pomimo całej jego siły ogarnęła rozpacz. Przestał już dowierzać swej mocarnej postaci i potężnym ramionom. Jego wielka twarz zarośnięta twardym włosiem, jego żółte, lamparcie oczy wyrażały przygniatające zmęczenie. Przyglądał się ranom za-

**danym mu przez strzały i włócznie wraże, pijąc od
czasu do czasu
krew sączącą się jeszcze z przedramienia.**

**Jak wszyscy zwyciężeni wyobrażał sobie tę chwilę,
kiedy
zwycięstwo chyliło się na jego stronę. Ulhamrowie
rzucili się do
grabieży; on, Fauhm, rozbijał czaszki maczugą.
Mieli już wytępić
mężczyzn, porwać kobiety, zabić wraży Ogień, aby
polować na
nowych sawannach i w lasach obfitujących w
zwierzęta. Jakież to
zawiał wiatr nowy? Czemu Ulhamrowie zawrócili w
trwodze,
czemu to kości ich poczęły trzeszczeć, brzuchy
rzygać wnętrzoś-
ciami, a z piersi wyrywać się jęki agonii, podczas gdy
wrogowie
wdzierali się do obozowiska i niszczyli Ogień Święte?
Takie pyta-
nia stawiała sobie ociężała i leniwa dusza Fauhma.
Wzerała się w
te wspomnienia, niczym hiena w ściervo. Broniła się
przed upad-
kiem i nie uznawała się niższą w energii, odwadze i
okrucieństwie.**

Światło się wzmogło; toczyło swe promienie po
moczarach,
myszkując wśród błot i osuszając sawannę. Była w
nim radość
poranka, była w nim świeża soczystość roślin. Woda
wydawała
się bardziej lekka, mniej zdradziecka i mniej mętna.
Powierzchnia
jej srebrzyła się wśród wysp grynszpanowych*,
przebiegały po
niej przeciągłe dreszcze z malachitu i pereł, lśniła
bladą barwą siar-
ki, mieniła się kolorami złóż miki, a zapach jej
poprzez wierzby i
olchy wydawał się łagodniejszy. Prawa, rządzące
przystosowa-
niem i okolicznościami, stanowiły o zwycięstwie to
traw, to błysz-
czących lilii wodnych lub żółtych nenufarów.
Wychylały się eu-
forby** błotne, kosańce wodne, bazańce i strzałki;
roztaczały się
całe zatoki jaskrów o liściach tojadu***, kręte
kolonie rozchodni-
ków włośchatych, epilobusów**** różowych, gorzkiej
rzeżuchy,
różyczek słonecznych; całe dzungle sitowia i wiklin,
gdzie roiły się
kurki wodne, czarne bekasy, cyranki, siewki, czajki z
odbłyskiem

jaspisu i dropie ociężałe.

Przy rdzawych wyrwach nadbrzeżnych czatowały
czaple; na
wzniesionych przyładkach, klekocąc, baraszkowały
żurawie; zęba-
ty szczupak napadał tłustego lina, a zwinne ważki
niby strzały og-
nisto-zielone mknęły zygzakiem lazulitu*****.

Fauhm zastanawiał się nad swym plemieniem.
Kłęska obsiad-
ła ich jak pomiot gadów, co żółty od namułu,
szkarłatny od krwi,
zielony od wodorostów, wydaje woń chorobliwą i
zgniłą. Nie-
którzy mężczyźni leżeli zwinięci jak pytony, drudzy
wyciągnięci
jak szczury, inni znów charczeli w przedśmiertnych
skurczach.
Czerniejące rany na brzuchu były odrażające,
straszniejsze jeszcze
były na głowie rozszerzone krwawą gąbką włosów.
Wszyscy

* wysp grynszpanowych — wysp koloru zielonego,
wysp zielonych od
roślinności.

** euforgia — roślina wilczomleczowata.

***** tojad — trwałe ziele o ciemnofioletowych
kwiatach.**

****** epilobus — roślina o kwiatach dużych, szeroko
rozwartych liściach lan-
cetowatych.**

******* lazulit — minerał barwy niebieskiej lub
zielonawej, spat błękitny.**

o

**prawie powinni byli wyzdrowieć, gdyż ciężej ranni
padli na prze-
ciwnym brzegu lub zginęli w moczarach.**

**Fauhm, odwracając wzrok od śpiących, badał tych,
których
większą goryczą napawała porażka, aniżeli
zmęczenie. Wielu z
nich posiadało wyniosłą budowę Ulhamrów. Rysy
twarzy były
grube, czaszki niskie, szczęki silne; skóra ich,
bardziej płowa niż
czarna, pokryta była gęstym włosem. Najbardziej
wyczulonym
ich zmysłem było powonienie, którym mogli ze
zwierzem iść w**

**zawody. Oczy mieli duże, często okrutne, czasami
dzikie; pięk-
ność tych oczu ujawniała się silnie u dzieci i
niektórych dziewcząt.
Pomimo że typ plemienia był zbliżony do
współczesnych nam
niższych ras, jednak wszelkie porównanie byłoby
zwodnicze. Ple-
miona epoki kamiennej żyły w atmosferze szerokiego
oddechu;**

**ciało ich przechowywało młodość, jaka już więcej nie
powróci —
kwiat takiego istnienia, o którego mocy żywotnej i
bujności tylko
słabe możemy mieć pojęcie.**

**Fauhm wzniosłszy ramiona do słońca, począł
gromko zawo-
dzić:**

**— Co poczną Ulhamrowie bez Ognia? Jak żyć będą
na sa-
wannach i w puszczy, kto bronić ich będzie od
ciemności i wia-
trów zimowych? Będą zmuszeni spożywać surowe
mięso i gorzką
roślinę; nie będą rozgrzewać więcej członków
swoich; ostrze osz-**

czepu pozostanie miękkie. Lew, potwór o zębach szarpiących, Niedźwiedź, Tygrys i Wielka Hiena będą ich pożerały żywcem w czasie długich nocy! Kto zdobędzie Ogień z powrotem? Ten, kto to uczyni, zostanie bratem Fauhma, będzie otrzymywał trzy działki z ubitej zwierzyny i cztery działki łupu. Ponadto dostanie na własność Gamie, córkę mej siostry, a po mojej śmierci będzie wodzem plemienia.

Na to Naoh, syn Lamparta, powstał i rzekł:

— Niech będą mi przydani dwaj wojownicy o nogach szybkich, a pójdę zabrać Ogień synom Mamuta lub Pożeraczom Ludzi, którzy polują nad brzegami Dwu-Rzek.

Spojrzenie, jakie Fauhm nań rzucił, nie było przychylne.

Naoh był najwyższy wzrostem wśród Ulhamrów; bary jego rosły

jeszcze; ani jeden wojownik nie sprostał mu zwinnością, nie mógł

dotrzymać w długotrwałym biegu. Rzucił on o ziemię
syna Tura,
Muha, pomimo iż ten dorównywał sił[^] Fauhmowi; i
Fauhm
obawiał się go. Dawał mu polecenia odstręczające,
oddalał go od
plemienia, narażał na śmierć niechybna.

Naoh również nie lubił wodza, lecz wzruszył go
widok Gam-
li, smukłej, gibkiej, a tajemniczej, z włosami bujnymi
jak listowie.
Wypatrywał ją pomiędzy nadbrzeżna łożyna, za
drzewami lub w
zagłębieniach ziemi — z ciałem rozpalonym i z
drżącymi rękoma.
Zależnie od pory dnia czuł dla niej to rzewność, to
gniew srogi,
Niekiedy rozwierał ramiona, by objąć ją lekko i
łagodnie, to znów
zamyślał napaść ją, jak dziewczynę
nieprzyjacielskiej hordy i ude-
rzeniem maczugi powalić na ziemię. Nie chciał
jednak wyrządzić
jej krzywdy. Gdyby posiadał ją na własność,
traktowałby bez zbyt-
niej szorstkości — nie lubił widzieć na twarzach
lęku, który czyni
oblicza obcymi.

W innych okolicznościach Fauhm przyjąłby słowa Naoha wrogo. Lecz ugiął się pod klęską. Może zawarte przymierze z synem Lamparta wyjdzie na dobre, w przeciwnym razie potrafi go uśmiercić. Zwrócił się więc do młodzieńca:

— Fauhm posiada tylko jeden język. Jeżeli sprowadzisz Ogień, otrzymasz Gamie bez zamiennego okupu. Zostaniesz synem Fauhma.

Mówił ze wzniesiona ręka wolno, szorstko i pogardliwie, po czym dał znak Gamli.

Przybliżyła się drżąca, wznosząc oczy, mieniające się, płomienne, a wilgotne. Wiedziała, że Naoh czatował na nią wśród traw i ciemności; gdy zjawiał się niespodzianie, jakby z zamiarem napaści, wtedy bała się. Niekiedy obraz jego nie był jej przykry. Życzyła sobie równocześnie, aby padł pod razami Pożeraczy Ludzi i by przyniósł Ogień Święty.

**Szorstka ręka Fauhma opadła na ramię dziewczyny i
zawołał
w swej dzikiej dumie:**

**— Któraż z ludzkich cór jest silniej zbudowana?
Może na ra-
mieniu łanię nosić, wędrować od rannego do
wieczornego słońca,**

W

**znosić głód i pragnienie, wyprawiać skóry zwierząt,
przebywać
wplaw jeziora. Da potomstwo niezniszczalne. Jeżeli
Naoh przy-
prowadzi Ogień, będzie mógł j[^] pojąć, nie dając w
zamian topo-
rów, rogów, muszli i futer.**

**Wtedy zbliżył się Aghoo, syn Żubra, odznaczający
się naj-
gęstszym owłosieniem wśród Ulhamrów, tchnąc cały
pożąda-**

niem:

**— Aghoo chce zdobyć Ogień. Pójdzie z braćmi
swoimi cza-**

tować na wroga, hen za rzekę! I zginie od topora,
włóczni, kłów
Tygrysa, pazura Lwa Olbrzymiego, albo zwróci
Ulhamrom
Ogień, bez którego są oni słabi jak jelen lub
antylopa.

W gęsto zarośniętej twarzy widać było tylko usta,
podobne
do dwóch kawałków surowego mięsa, i oczy
mordercy. Krępa
jego postać podkreślała przesadna długość rak i
ogrom barów.
Cała jego istota wyrażała potęgę brutalna,
niezmożon[^] i bezlitos-
na. Nikt nie znał granic jego siły. Nie doświadczył jej
ani Fauhm,
ani Mouh, ani Naoh. Wiedziano tylko, że była
niepomierna. Nig-
dy nie walczył dla żartów. Ktokolwiek stanął mu na
drodze, padał
zwyciężony. Zadowalał się czasem odrąbaniem
jakiegoś członka,
częściej przyłączał czaszkę przeciwnika do swoich
trofeów. Żył w
oddaleniu od reszty Ulhamrów z dwoma braćmi
swoimi, obroś-
niętymi jak on, z wieloma kobietami, które musiały
znosić męki

niewoli.

Aczkolwiek Ulhamrowie byli surowi względem siebie
sa-
mych i okrutni względem obcych, zbytek tych cnót u
synów Żu-
bra przejmował ich trwoga. Poczęło rodzić się wśród
nich ponure
uczucie nagany — pierwsze sprzymierzenie się tłumowi
przeciw
wspólnemu niebezpieczeństwu.

Jedna z grup tłoczyła się koło Naoha, pomimo że
większość
zarzucała mu brak srogości w zemście. Była to
jednak wada pocią-
gająca tych, co nie posiadali silnych mięśni i
zwinnych ruchów
męża budzącego trwogę.

Fauhm równ[^] żywił nienawiść do Aghoo, jak i do
syna Lam-
parta. Pierwszego wszakże obawiał się bardziej;
włochata i ponura
siła braci zdawała się niepokonana. Jeżeli jeden z
trzech zapragnął

**czyjejś śmierci, wszyscy trzej jej pragnęli.
Ktokolwiek wypowia-
dał im wojnę, musiał albo sam zginać, albo ich
zgładzić.**

**Wódz szukał z nimi przymierza; opancerzeni w swej
nieufno-
ści wymykali mu się jednak. Nie byli zdolni
zawierzyć ani słowu,
ani uczynkom: łaskawość rozjuszała ich,
pochlebstwo jedynie było
dla nich objawem strachu. Fauhm, również nieufny i
okrutny, po-
siadał przecież zalety wodza: był pobłażliwy dla
swych stronni-
ków, uznawał potrzebę pochwały i tkwiło w nim
pewne niejasne,
ograniczone, uparte i osobliwe zrozumienie
społeczności.**

Odpowiedział więc z brutalną bezwzględnością:

**— Jeżeli syn Żubra zwróci Ogień Ulhamrom, to
weźmie
Gamie bez okupu, zostanie drugim mężem
plemienia, a podczas
nieobecności wodza wszyscy wojownicy będą mu
posłuszni!**

**Aghoo słuchał go z mina wyzywająca zwrócony,
zarośnie-
tym obliczem ku Gamli, spoglądał na nią wzrokiem
pożądania;**

jego okrągłe oczy ścięły się groźba.

**— Córka Moczarów będzie należała do syna Żubra;
mężczy-
zna, który położy na niej rękę, będzie zgładzony!**

**Słowa te rozgniewały Naoha, podjął szybko
wezwanie i za-
wołał donośnie:**

**— Ona będzie należała do tego, który przyprowadzi
Ogień!**

— Aghoo przyprowadzi Ogień!

**Spojrzeli na siebie. Do tej pory nie było pomiędzy
nimi po-
wodów do walki. Świadomi swej siły, nie mając
wspólnych upo-
dobań ani też bezpośrednich pobudek do
współzawodnictwa, nie
spotykali się, nie polowali razem. Przemówienie
Fauhma zrodziło
nienawiść.**

**Aghoo, który poprzednio nie zwrócił uwagi na Gamie prze-
mykająca przez sawannę, doznał dreszczu, kiedy Fauhm wychwa-
lał dziewczynę. Popędliwy z natury, zapragnął jej z taka siłą, jak
gdyby to pragnienie z dawien dawna w sobie nosił. Od tej chwili
skazywał na śmierć każdego współzawodnika; nie potrzebował
nawet postanawiać tego, każda cząstka jego istoty była przepojona
tym postanowieniem.**

Naoh wiedział o tym. Poprawił topór w lewej a oszczep w

12

**prawej ręce. Na wezwanie, rzucone przez Aghoo, bracia jego po-
wstali w milczeniu, ponurzy i ogromni. Dziwnie byli do niego po-
dobni, bardziej tylko płowi, pokryci kępami czerwonych włosów, z
oczami mieniącymi się jak błony skrzydłowe żuków bursztyno-
wych. Zwinność ich ciała była równie zatrważająca jak ich siła.**

Wszyscy trzej, gotowi do popełnienia mordu,
spoglądali
chciwie na Naoha. Wśród wojowników powstał
zgiełk. Nawet ci,
którzy przyganiiali Naohowi brak srogości w zemście,
nie chcieli,
by zginał — szeregi Ulhamrów dość już były
przerzedzone — a
on przecież obiecywał przyprowadzić Ogień.
Wiedziano, że nie
brakło mu pomysłów, że nie poddawał się znużeniu,
był zręczny
W sztuce podtrzymywania najslabszego płomyka i
rozniecania go
z popiołu, wielu wierzyło w jego szczęście.

Co prawda Aghoo również posiadał cierpliwość i
chytrość,
niezbędne do osiągnięcia celu, i Ulhamrowie
rozumieli korzyść
wypływającą z podwójnych usiłowań. Stronnicy
Naoha powstali
tłumnie, dodając sobie odwagi okrzykami, byli
gotowi do walki.

Chociaż obca była synowi Żubra bojaźń, nie gardził
jednak
rozważa. Odłożył spór na później. Goun Sucha Kość,
wysłowił
rozproszone i mętne pojęcia tłumu:

— Czy Ulhamrowie pragną zniknąć ze świata? Czy zapominają, że wrogowie i wody •wygubiły tylu wojowników? Na czterech jeden pozostał. Wszyscy zdolni nosić topór, oszczep i maczugę winni żyć! Naoh i Aghoo należą do silniejszych pomiędzy mężczyznami polującymi na sawannie i w puszczy. Jeżeli jeden z nich padnie, Ulhamrowie zostają słabsi, niż gdyby padło czterech innych. Córka Moczarów temu służyć będzie, kto Ogień powróci. Tak chce horda!

— Niech się tak stanie! — podchwyciły chropowate głosy. A kobiety, groźne dzięki swej liczbie, dzięki swej sile prawie nietkniętej i dzięki jednozgodnemu uczuciu, wykrzyknęły:

— Gamla będzie należała do tego, kto Ogień wydrze! Aghoo wzruszył włochatymi ramionami. Nie znosił tłumy, lecz nie chciał go wyzwąć. Był pewien, że uprzedzi Naoha i posta-

nowił zwalczyć go i zgładzić. I pierś jego wezbrała otucha.

13

Mamuty i Żubry

Było to zaraz następnego poranka. Gdy wśród obłoków dął górny wiatr, na ziemi i moczarach powietrze wonne i ciepłe wprowadzało naturę w stan odrętwienia. Toń nieba, drżąca jak jezioro, poruszała wodorosty, białe nenufary, trzciny wypłowiałe. Jutrznia toczyła po niej swe piany. Rozszerzyła się, wylała w laguny siarki, w zatoki berylu, w rzeki różowej masy perłowej.

Ulhamrowie, zwróceni do tego potężnego ogniska, czuli wyrastające w głębi duszy jakieś uczucie, podobne do kultu. Przejmowało ono i ptactwo w trawach sawanny, których gardziołka,

niby małe kobzy, rozbrzmiewały śpiewem,
przejmowało ono wi-
kliny moczarów. Tymczasem ranni jęczeli z
pragnienia. Jakiś mar-
twy wojownik wyciągnął swe członki: zwierz nocny
wyżarł mu
twarz.

Goun rytmicznie bełkotał niezrozumiałe skargi, toteż
Fauhm
kazał wrzucić trupa do wody.

Po czym uwaga plemienia zatrzymała się na tych,
którzy szli
zdobyć Ogień, Aghoo i Naohu, gotowych do drogi.
Włochaci nie-
śli topór, oszczep i włócznię o ostrzu z krzemienia
czy nefrytu*.

Naoh, licząc więcej na chytrą niż na siłę, wołał nad
rosłych
wojowników dwu zwinnych młodzieńców, zdolnych
wytrzymać
długi bieg. Każdy z nich był uzbrojony w topór,
oszczep i włócz-
nię. Naoh dołączył jeszcze maczugę dębową — gałąź
ledwie obro-

bioną i zahartowaną w ogniu. Przedkładał tę broń nad wszystkie inne i walczył nią nawet przeciw wielkim drapieżnikom.

Fauhm przemówił najpierw do Żubrów:

— Aghoo ujrzał światło jeszcze przed synem Lamparta. Wybierze zatem swoją drogę. Jeśli pójdzie w kierunku Dwu-Rzek, Naoh okrąży moczary ku zachodzącemu słońcu... Jeśli zaś woli okrążyć moczary, to Naoh pójdzie w kierunku Dwu-Rzek.

— Aghoo nie zna jeszcze swej drogi! — zaprzeczył Włocha-ty. — On szuka Ognia: rano może iść ku rzece, wieczorem ku moczarom. Czy może wiedzieć myśliwiec, który tropi dzika, gdzie go zabije?

— Aghoo zmieni drogę później — wmieszał się Goun, które-go poparło szemranie hordy. — On nie może kroczyć równocześnie w stronę słońca zachodzącego i w stronę Dwu-Rzek. Niech

zatem wybiera!

W swej ciemnej duszy zrozumiał syn Żubra, że nie wolno było wyzywać Wodza, mogło to obudzić czujność Naoha. Zwracając więc swe wilcze spojrzenie na tłum krzyknął:

*** nefryt — nerkowiec, minerał złożony głównie z krzemionki, wapna, magnezji i tlenku żelaza; w epoce kamiennej wyrabiano z niego siekiery, mioty, ostrza włóczni itp.**

15

— Aghoo uda się w stronę słońca zachodzącego! I dając szybki znak braciom puścił się wzdłuż moczarów.

Naoh zdecydował się nie tak szybko. Pragnął nacieszyć swój wzrok postaci Gamli. Stała pod jesionem tuż za gromadką złożoną z Wodza, Gouna i starców. Naoh przybliżył się, widział ją nieruchoma, z twarzą zwróconą w stronę sawanny. We włosy wplotła kwiaty "lili i nenufarów koloru księżycy; wydawało się, że

skóra jej promienieje jakby światłem silniejszym od
światła świe-
żych strumieni i zielonego miąższu drzew.

Naoh wchłaniał bujność życia, dręczące, nigdy nie
ukojone
pragnienie, żądzę budząca trwogę, która odradza
życie zwierząt i
roślin. Wezbrane serce dech mu zapierało, był pełen
tkliwości i
gniewu; wszyscy, którzy oddzielali go od Gamli byli
mu równie
nienawistni jak synowie Żubra lub Pożeracze Ludzi.
Podniósł zbrojne w topór ramię i rzekł:

— Córko Moczarów! Naoh albo nie wróci, zginie w
ziemi,
w wodzie, w brzuchu hien, albo przyniesie Ogień
Ulhamrom.
Przyniesie Gamli muszli, kamieni niebieskich, zębów
Lamparta i
rogów Żubra.

Na te słowa wzrok jej, w którym drgała radość
dziecięca,
spoczął na wojowniku. Ale Fauhm, zniecierpliwiony,
przerwał
podnieconym głosem:

— Synowie Żubra już znikli za topolami.

Wtedy Naoh zwrócił się na południe.

**Naoh, Gaw i Nam dzień cały wędrowali przez
sawannę. Była
jeszcze w pełnym rozkwicie: trawy szły za trawami
jak idą za sobą
fale morskie. Uginała się od podmuchu wiatru,
pękała od słońca,
rozsiewała w przestrzeń mnogą duszę zapachów;
była groźna i
płodna, jednostajna w całości, różnolita w
szczegółach, wytwarza-
jąc tyleż zwierząt, co kwiatów, tyleż jaj, co nasion.**

**Wśród lasu traw, wysp z jałowca, półwyspów z
wrzosów
prześlizgiwały się babki, dziurawce, szalwia, jaskry,
krwawniki,
silenie i rzeżucha. Gdzieniegdzie naga ziemia,
powierzchnia pier-
wotna, do której roślina nie mogła przytwierdzić
swych rdzeni
niezmożonych, żyła powolnym życiem minerału. To
znowu uka-**

16

**zywały się malwy i róże dzikie, jasienie, koniczyna
czerwona lub**

krzaki ogwieżdżone.

**Wznosiły się pagórki, drażyły doliny, drzemały
bagna rojące**

**się od owadów i płazów. Głaz przedpotopowy
prostował swój
profil mastodonta*. Widać było uciekające antylopy,
gryzonie,
saigi, pędzące wilki lub psy, wznoszące się dropie lub
kuropatwy,
szybujące grzywacze, żurawie i kruki; konie, muły i
łośie galopo-
wały stadami. Szary Niedźwiedź o ruchach wielkiej
małpy i No-
sorożec, silniejszy od Tygrysa i prawie tak
niebezpieczny jak Lew
Olbrzymi, myszkował po zielonej ziemi. Żubry
ukazały się na
skraju horyzontu.**

**Naoh, Nam i Gaw obozowali tego wieczora u
podnóża ma-
łego pagórka; nie przeszli dziewiątej części sawanny,
nie widzieli
nic, prócz rozgłośnym szumem falujących traw.
Grunt był płaski,**

**jednostajny i smutny; wszystkie widoki świata
odtwarzały i roz-
praszały się w bezmiarze obłoków i zmierzchu.**

**Patrząc na ich tysiączne ognie, Naoh dumiał o
płomyku, któ-
ry szedł zdobyć. Wydawało się, że wystarczy wspiąć
się na pagó-
rek, wziąć gałąź sosnową i chwycić nią iskrę z tego
ogniska, które
pochłaniało zachodni nieboskłon. Chmury
poczerniały. Tylko
otchłań purpurowa pozostała dłużej w głębinach
przestworzy, ka-
myki świecących gwiazd ukazywały się jedne za
drugimi; powiało
oddechem nocy.**

**Naoh, przyzwyczajony czuwać przy Ogniu, tej jasnej
prze-
grodzie, postawionej przed morzem ciemności,
poczuł swą bezsil-
ność. Szary Niedźwiedź mógł się zjawić, lub Tygrys,
Lampart czy
Lew, chociaż rzadko zapędzali się na szeroki step.
Jedno stado Żub-
rów mogło zalać swą falą kruche ciała ludzkie. Wilki
w gromadzie**

posiadały też potęgę wielkich drapieżników, głód
uzbrajał je w

odwagę.

Wojownicy nakarmili się surowym mięsem. Była to
smutna

uczta: lubili zapach pieczonego jada. Po czym Naoh
objął pierw-

* mastodont — wielki, wymarły zwierz gruboskórny
(z rodzaju słoni) znaj-
dowany w szczątkach dyluwialnych.

2 — Walka...

szą straż. Cała jego istota wchłaniała w siebie noc.
Był on cudow-
nym naczyniem, do którego przenikały wszelkie
przedziwne wła-
ściwości wszechświata. Wzrokiem chwycił grę
światła, blade
rysy, pełganie cienia i wznosił się pomiędzy gwiazdy;
słuchem roz-
różniał podmuch wiatru, pęknięcie roślin, lot owadów
i drapieżne-
go ptactwa, chód i pełzanie zwierząt; odróżniał z
daleka poszczeki-

wanie szakala, śmiech hieny, wycie wilków, krzyk orła, zgrzyt pasikoników; nozdrzami wciągał tchnienie kwiatu zakochanego, radosna woń traw, cuchnące wyziewy drapieżników, mdły lub piżmowy odór gadów. Skóra jego drżała od tysiącznych przemian gorąca i zimna, wilgoci i suszy, wrażliwa na każdy odcień wietrznego powiewu. Tak żył tym wszystkim, co wypełniało przestrzeń i trwanie.

To życie nie przychodziło mu z łatwością, było twarde i pełne grozy. Wszystko, co budowało to życie, mogło je też zniszczyć; trwało zaś jedynie przez czujność, siłę, chytrych, przez nieustrudzoną walkę wydaną otoczeniu.

Naoh wypatrywał w ciemnościach kły co tną, pazury co szarpia, oko płomienne pożeraczy mięsa. Wiele z nich rozpoznawało w ludziach potężne zwierzęta i nie zatrzymywało się wcale. Przeszły hieny o szczękach od lwich straszniejszych, które jednak nie

lubily walki, przedkladajac mieso martwe. Przesla gromada wilk6w i zatrzymala sie: znaly potegę liczby, odgadywaly, że są równie silne jak Ulhamrowie. Na razie gł6d nie dokuczal im zbytnio;

tropily one antylopy. Przesly psy, podobne wilkom; dlugo byly okolo pag6rka. To grozily, to podchodzily jeden lub drugi ukradkiem. Niechetnie napastowaly pionowego zwierzka. Ongis obozowaly liczna gromada w poblizu hordy; pozeraly ochlapy i przylaczaly sie do polowan. Goun zawarł przymierze z dwoma psami, którym rzucal jelita i k6sci. Zginely w walce z dzikiem. Przymierze z innymi zostalo uniemozliwione, poniewaz Fauhm objawszy dow6dztwo, nakazal wyrznanć je do nogi.

Takie przymierze pociagal Naoha; odczuwal w nim nowa moc, wiecej bezpieczenstwa i wiecej wladzy. Ale wsr6d sawanny sam z dwoma wojownikami spostrzegł grozace niebezpieczenst-

wo, pokusiłby się o przymierze z małą ilością zwierząt, ale nie z całą gromada.

Psy tymczasem zaciskały koło, głosy ich rozlegały się rza-
dziej, oddechy stawały się bardziej przyspieszone. Naoh był tym poruszony. Wziął garść ziemi i cisnął w najzuchwalszego, krzy-
cząc:

— Posiadamy oszczepy i maczugi, którymi śmierć zadawać możemy Niedźwiedziom, Żubrom i Lwom...

Pies, trafiony w pysk i zaskoczony brzmieniem słów, uciekł.
Inne poczęły nawoływać się i jakby naradzać. Naoh rzucił nowa garść ziemi:

— Jesteście za słabi, aby walczyć z Ulhamrami!
Idźcie szukać

antylop i tępić wilki. Pies, który jeszcze się zbliży,
powlecze swe
wnętrznosci.

Nam i Gaw, obudzeni głosem wodza, powstali; ich
pojawie-
nie się zdecydowało o odwrocie zwierząt.

Naoh szedł siedem dni, unikając zasadzek świata.
Mnożyły
się one w miarę, jak przybliżali się do lasu. Pomimo,
że był on
oddalony jeszcze o kilka dni pochodu, zapowiadał się
już kępami
drzew i pojawianiem się dużych drapieżników. Noce
stały się
przykre. Ulhamrowie widzieli Tygrysa i Wielką
Panterę. Pracowa-
wali długo przed zmierzchem, aby otoczyć się
przeszkodami. Szuka-
li wgłębień, pagórków, gałęzi, głazów, gęstych
zarośli; unikali
drzew. Ósmego i dziewiątego dnia cierpieli
pragnienie. Ziemia nie
mogła ani ze źródeł, ani z bagien darzyć ich wodą.
Trawy stepu
bladły, gady, pozbawione wilgoci, lśniły wśród
kamieni. Owady
wprawiały przestrzeń w niepokojące drganie mknąc
wężykowaty-

mi liniami miedzi, jaspisu, szyldkretu, rzucały się na wojowni-
ków, wbijając w ich skórę swe ostre żądła.

Dziewiątego dnia, kiedy cień stał się dłuższy, ziemia poczęła nabierać świeżości, pulchniała; ze wzgórz powiał zapach wody i pokazało się stado Żubrów, postępujących w kierunku południa. Wówczas Naoh rzekł do swych towarzyszy:

— Będziemy pić przed zachodem słońca!... Żubry idą do wodopoju.

20

Nam, syn Topoli i Gaw, syn Saigi, wyprostowali swe wyschłe postacie. Byli to młodzieńcy zręczni, lecz trudni w wazeniu się na krok stanowczy. Należało wpoić w nich odwagę, zaparcie się, wytrzymałość na ból i ufność. W zamian ofiarowywali swa powolność, dająca urabiać się jak glina. Skłonni do zapału, skorzy byli do puszczania w niepamięć cierpienia i do używania radości

życia. A że gdy byli sami, łatwo tracili głowę wobec przyrody i zwierząt, poddawali się więc jednostce. Toteż Naoh dostrzegał w nich trwanie swej własnej mocy życia. Ręce mieli zręczne, nogi giętkie, oczy daleko widzące, słuch czuły. Każdy wódz mógł wydobyc z nich niechybne korzyści. Dość było, aby poznali jego wolę i odwagę. Otóż odkąd wyruszyli, serca ich coraz bardziej przywiązywały się do Naoha. Był dla nich wcieleniem gatunku, potęgą ludzka wobec okrutnej tajemnicy wszechświata, schronieniem osłaniającym ich podczas miotania włócznia lub rąbania toporem. Często, kiedy szedł przed nimi, upojony porankiem, dumny ze swych silnych mięśni i szerokiej piersi, drżeli z dzikiego, prawie tkliwego podniecenia, wszystkie ich zmysły radowały się jak drzewa bukowe słońcem. Raczej wyczuwał ich niż rozumiał; z tych istot, związanych z jego losem, wyrastała jego własna osobowość, bardziej wieloraka, bardziej złożona, bardziej pewna

zwycięstwa i zniweczenia zasadzek.

Długie cienie ciągnęły się od pni drzew, trawy
nasycaly się
obfitymi sokami, słońce w miarę, jak się w otchłań
nieznana zanu-
rzało, coraz większe przybierało rozmiary i bardziej
żółta barwę;

stado Żubrów połyskiwało jak rzeka, wzbierająca
płowymi woda-

mi.

Ostatnie wątpliwości Naoha rozproszyły się. W
pobliżu, za
lawina wzgórz, był wodopój. Upewniały go w tym
jego zmysły
i mnogość zwierzyny, skradającej się droga, jaka
przeszły Żubry.
Nam i Gaw, wciągając nozdrzami świeży dech ziemi,
również
wiedzieli o tym.

— Trzeba wyprzedzić Żubry — rzekł Naoh.
Obawiał się, żeby wodopój nie był za wąski, a
olbrzymy nie

zagroziły doń dostępu. Wojownicy przyspieszyli kroku, chcąc dostać się przed stadem do przesmyku wiodącego przez wzgórze.

Liczebność stada, rozwaga starych byków oraz zmęczenie młodzi czyniły ich pochód powolnym. Ulhamrowie zyskiwali na drodze. Inne zwierzęta trzymały się tego samego sposobu postępowania. Widać było biegnące lekkie antylopy, gazy, muflony, osły oraz pędzące na przelaj stado koni. Wiele z nich przeprawiało się już przez wąwóz.

Naoh znacznie wyprzedził Żubry. Będzie można pić bez pośpiechu. Kiedy ludzie dosięgli najwyższego wzgórza, Żubry pozostały prawie tysiąc łokci w tyle.

Nam i Gaw przyspieszyli jeszcze biegu. Pragnienie ich wzmagalo się. Okrążyli wzgórze, wstąpili do wąwozu. Woda, matka życiodajna wydała się im tak samo dobroczynna, jak ogień, a

mniej sroga. Było to prawie jezioro, rozłożone u
podnóża łańcu-
cha skalnego. Poprzecinane półwypami, podsycane
z prawej
strony falami rzeki, z lewej staczało się w przepaść.
Można było
dostać się do niego trzema drogami: przez rzekę,
przez wąwóz,
którym przeszli Ulhamrowie i jeszcze innym
przejściem pomię-
dzy skałami a jednym z pagórków. Poza tym
zawsządy wyrastały
ściany bazaltowe.

Wojownicy radosnym okrzykiem powitali
zwierciadło wody.
Zarumieniona pomarańczowa czerwienią
zachodzącego słońca,
gasila pragnienie smukłych antylop, małych
przysadzistych koni,
stepowych osłów o drobnych kopytach, brodatych
muflonów,
kilku saren, czyniących mniej szmeru od liści
opadających, starego
łosia, z którego łba niejako drzewo wyrastało. Jeden
tylko dzik,
brutalny, klótlivy i ponury, pił bez trwogi. Inne
strzygły uszami
z oczami pełnymi lęku, gotowe w każdej chwili do
ucieczki,

stwierdzały prawo życia — nieustanna trwozę
słabych.

Nagle wszystkie uszy nastroszyły się, lby zwróciły się
ku nie-
wiadomemu. Nagle nastąpił ruch, był szybki, pewny,
pozornie
tylko chaotyczny. Konie, osły, antylopy, muflony,
sarny, łoś
uciekały zachodnim przejściem, tonąc w potokach
szkarłatnych
promieni. Jeden dzik tylko pozostał obracając małe,
krwią nabie-

22

głe oczy w jedwabiu powiek. Pojawiły się wilki
dużego gatunku,
zamieszkujące tak lasy, jak i stepy, na wysokich
nogach, o potęż-
nych pyskach, blisko osadzonych oczach, których
żółte spojrze-
nią, zamiast rozpraszać się jak u trawożernych,
ześrodkowały się
na łupie. Naoh, Nam i Gaw trzymali w pogotowiu
oszczepy i
włócznie, podczas gdy dzik podnosił zakrzywione kły
i gromko
chrapał. Chytre oczy wilków i czujne nozdza
mierzyły nieprzyja-

ciela. Wyczuwały w nim niebezpieczeństwo, pogoniły
w stronę
uciekających.

Po ich odejściu zaległa głęboka cisza. Ulhamrowie,
ugasiw-
szy pragnienie, poczęli się naradzać. Zmierzchało,
słońce zapadło
za skały. Było już za późno na dalsza drogę — gdzie
obrać schro-
nisko?

— Zbliżają się Żubry!— rzekł Naoh.

Lecz w tej samej chwili zwrócił głowę w kierunku
zachodnie-
go przejścia. Trzej wojownicy nasłuchiwali, po czym
legli na zie-
mię.

— To, co tam idzie, to nie są Żubry — szepnął Gaw.
A Naoh potwierdził:

— To są Mamuty!

Zbadali pośpiesznie okolicę. Rzeka ukazywała się
pomiędzy
bazaltowym wzgórzem i ścianą z czerwonego
porfiru, dokąd pro-

wadził występ na tyle szeroki, aby dać przejście
dużemu drapież-
nikowi. Ulhamrowie wspięli się nań.

W kamiennej otchłani woda płynęła w cieniu i
wiecznym pół-
mroku. Niektóre drzewa, powalone i powyrywane
przez wzburzo-
ne żywioły lub przez własny ciężar, rozpostarły się
poziomo nad
przepaścią. Inne wyrastały z głębi czeluści cienkie i
nadzwyczajnie
długie, zatracając całą swą żywotną siłę,
utrzymująca koronę liści w
krainie bladych podświtów. A wszystkie pożerane
przez gęsty jak
kudły niedźwiedzie mech, dławione przez liany,
toczone przez
grzyb, rozwijały niezniszczalna cierpliwość istot
pokonanych.

Nam pierwszy spostrzegł jakaś jaskinię. Niska i
płytko wdra-
żała się nieprawidłowo. Ulhamrowie, nim weszli,
badali ją długo
wzrokiem. Wreszcie Naoh, pochylając głowę,
rozdymajac nóż-

drżą, wszedł pierwszy. Na ziemi leżały kości z resztkami skóry, rogi, rosochy łosia, szczęki. Gospodarz ujawniał naturę myśliwca potężnego i groźnego. Naoh nie przestawał węszyć jego wyzie- wów.

— To jaskinia Szarego Niedźwiedzia — oświadczył.
— Nie
była zamieszкана prawie od ostatniego księżycy.

Nam i Gaw zupełnie nie znali tego potężnego zwierza. U- hamrowie koczowali w okolicach nawiedzanych przez Tygrysa, Lwa, Żubra, a nawet Mamuta, dokąd Szary Niedźwiedź trafiał rzadko. Naoh spotkał go niegdyś podczas jednej z dalekich wy- praw; wiedział o jego okrucieństwie ślepy jak u nosorożca, o sile dorównującej Lwu Olbrzymiemu, o szalonej i niewyczerpanej odwadze. Jaskinia była opuszczona: czy to dlatego, że zwierz po- rzucił ją, czy to, że przeniósł się na parę tygodni lub na tę porę roku, czy też spotkało go nieszczęście, gdy przeprawiał się przez

rzekę. Przekonany, że zwierz tej nocy nie powróci,
Naoh postanowił zająć jego schronisko. Podczas gdy o tym
mówił swoim towarzyszom, rozległ się wzdłuż skał i wód rzeki
głuchy łoskot;

Żubry przybyły. Potężne ich głosy, jak lwie poryki,
rozbrzmiewały echem po dziwnej okolicy.

Naoh nie mógł bez zmieszania słuchać odgłosów tych
olbrzymich stworzeń; człowiek bowiem mało polował na
Tura i Żubra.

Byki osiągały wzrost, siłę i zwinność, jakie
potomstwu ich nie miały być więcej znane; płuca ich napępniały się
powietrzem obfitszym w tlen. Może zmysły ich nie były bardziej czułe,
ale jednak były one żywsze i bardziej świadome. Znały
przynależne im stanowisko, nie obawiały się dużych drapieżników,
chyba że były słabsze, pozostawały w tyle lub zabłąkały się
samotnie w sawan-

nie.

**Trzej Ulhamrowie wyszli z jaskini. Piersi ich od
widoku, jaki
roztaczał się przed nimi, drżały ze wzruszenia. Serca
ich znały
wspaniałości dzikiej natury. Ich ciemna umysłowość
pojmowała
bez słów, bez myśli siłę żywiołowa piękna, które
drgało w głębi
ich własnej istoty. Przeczowali zawrotna tragedię, z
której po wie-
lu wiekach wyłoni się twórczość wielkich
barbarzyńców.**

24

**Ledwo zdążyli wyjść z półmroku, gdy podniosły się
inne
gromkie odgłosy, które przecięły pierwsze, jak topór
tnie mięso
łani. Był to krzyk podobny do warkotu bębna, mniej
groźny,
mniej miarowy, słabszy od ryku Żubrów.
Zapowiadał jednakże
największe ze stworzeń, jakie błądziły po
powierzchni ziemi. W
owych czasach Mamut krążył niepokonany. Wzrost
jego oddalał
Lwa i Tygrysa, zniechęcał Niedźwiedzia Szarego.
Człowiek nie**

miał przed upływem tysięcy lat zmierzyć się z nim.

Jeden tylko

Nosorożec, zaślepiony i bezmyślny, odważył się z nim walczyć.

Był on szybki, zwinny, nieustrudzony, zdolny wspinać się na

góry, rozumny i obdarzony niezwykłą pamięcią, chwycił, obra-

biał i mierzył wszelkie rzeczy swoją trąba, badał ziemię olbrzymi-

mi kłami. Kierował swymi wyprawami przemyślnie i znał własną

przewagę. Życie dlań było piękne. Zdrowa krew krążyła w jego

żyłach. Nie ma wątpliwości, że jego świadomość była bardziej

jasna, jego odczucie natury bardziej wnikliwe niż u słoni, spodlo-

nym długowieczna niewola u człowieka.

Zdarzyło się, że wodzowie Żubrów i Mamutów zbliżyli się

jednocześnie do brzegu wód. Mamuty, trzymając się swego pra-

wa, uważały, że to im należy się pierwszeństwo; prawo to nie

spotykało się ze sprzeciwem ani ze strony Turów, ani Żubrów.

**Tu jednakże Żubry zostały podrażnione.
Przyzwyczajone bowiem
były, że inne trawożerne ustępowały im, przy tym
prowadziły ich
byki mało znające Mamuta.**

**A że osiem czołowych byków było olbrzymiego
wzrostu —
największy sięgał rozmiarów Nosorożca —
cierpliwość ich trwała
krótko a pragnienie się wzmogło. Widząc, że
Mamuty chciały
przejść pierwsze, wznosząc łby wydały gardziele
wydęta jak kob-
za przeciągły okrzyk wojenny.**

**Mamuty zatrąbiły. Było to pięć starych samców o
cielskach
jak pagórki, o nogach jak kłody. Ich kły długości
dziesięciu łokci
były zdolne przebijać dęby na wylot. Trąby ich były
podobne do
czarnych pytonów, łby do głazów; poruszały się w
skórze, grubej
jak kora starych wiązów. W tyle postępowało długie
stado koloru
gliny...**

Tymczasem małe ruchliwe oczy zwrócone były na byki. "Stare Mamuty, pokojowo usposobione, niewzruszone i zamyślane, zagradzały drogę. Osiem Żubrów o leniwych źrenicach, o grzbietach pagórkowatych, o kędzierzawych brodatych łbach, o rozchodzących się łukowatych rogach wstrząsnęło gęstymi, ciężkimi, zabłoconymi grzywami. Głębia swego instynktu pojmowały potęgę nieprzyjaciela, lecz ryki stada podniecały w nich zapal wojenny. Największy z nich, wódz wodzów, pochylił zwarty łeb z polyskującymi rogami, runął z kopyta naprzód jak wielki pocisk i podskoczył do najbliższego Mamuta. Kolos, uderzony w łopatkę, chociaż osłabił cios trąba, padł na kolana. Żubr prowadził dalej walkę z zawziętością właściwa jego gatunkowi. Miał przewagę. Jego stalowy róg powtórzył uderzenie a Mamut tylko i to nie bardzo sprawnie posługiwał się swą trąba. W tej walce mięśni Żubr uosabiał zuchwałe szaleństwo, burzę zmysłów, o których mówiły

zamglone oczy, drgający kłęb, zapieniony pysk oraz pewne, krótkie, szybkie, powtarzające się ruchy. Gdyby mu się udało obalić przeciwnika i rozpruć mu brzuch, gdzie skóra była mniej gruba, a ciało bardziej wrażliwe, zostałby zwycięzcą.

Mamut zdawał sobie z tego sprawę, usiłował nie dać się powalić, a niebezpieczeństwo zmuszało do zachowania zimnej krwi. Wystarczyłby mu jeden tylko wysiłek, aby powstać, lecz do tego trzeba było, by Żubr zwolnił swe uderzenia.

Pozostałych samców w pierwszej chwili walka zaskoczyła. Cztery Mamuty i siedem byków stało naprzeciw siebie w natężeniu pełnym grozy. Żaden z nich nie okazywał chęci wmieszania się. Sami czuli się zagrożeni. U Mamutów pojawiły się pierwsze oznaki zniecierpliwienia. Najwyższy z nich dmąc trąbą, poruszył napiętymi jak wielkie błony uszami, podobnymi do olbrzymich nietoperzy i ruszył naprzód. Niemal jednocześnie ten, który wal-

czył z bykiem, zadał gwałtowny cios trąbą w nogi przeciwnika. Z kolei Żubr zachwiał się, a Mamut powstał. Potężne zwierzęta znowu znalazły się oko w oko. Przyplływ szалу zawirował w czaszce Mamuta, podniósł trąbę i wydawszy ostry krzyk rozpoczął natarcie. Zakrzywione kły podrzuciły Żubra, gruchocąc mu kości, po

26

czym Mamut, pochyliwszy się, uderzył trąbą. Ze wzmagającą się wściekłością gniótł kałdun przeciwnika, deptał jelita, a zmiażdżysz mu żebra, zanurzył we krwi aż po pierś swe potworne nogi. Straszliwe jęki konania umilkły w łoskocie walki: rozpoczął się bój wielkich samców. Siedem Żubrów i cztery Mamuty runęły na siebie, zaślepione wściekłością, jaka ogarniała podczas popłochu, kiedy zwierzę zupełnie zatracca wszelką nad sobą władzę. Zawrot-

ny szal opanował stada. Głębokie poryki Żubrów
zderzały się z
ostrymi dźwiękami głosu Mamutów. Nienawiść
podniecała te
długie fale cielsk, te potoki łbów, rogów, kłów i trąb.

Przewodnicy — samce aż dyszały walka. Ich potężne
cielska
obracały się jakby w olbrzymim mrowisku, podobne
do wielkiej
miazgi mięsa, pełnej bólu i wściekłości. Przy
pierwszym zderzeniu
przewaga okazała się po stronie Żubrów, które
liczba przewyższa-
ły Mamuty. Jeden z nich został powalony przez trzy
byki, drugi
— unieruchomiony koniecznością obrony. Ale dwa
inne odniosły
szybkie zwycięstwo. Runąwszy murem na
przeciwników zakłuły
ich, zadusiły i porozrywały, więcej czasu tracąc na
tratowanie
ofiar niż na sama walkę. Spostrzegłszy
niebezpieczeństwo, grożące
towarzyszom, natarły. Trzy Żubry, które zaciekle
napastowały
powalonego olbrzyma, zostały napadnięte z nienacka.
Wywróciły
się, jak rażone piorunem; dwa z nich roztratowano,
trzeci umknął.

Jego ucieczka pociągnęła te byki, które jeszcze walczyły, i Żubry poznały, co znaczy potęga nagłego strachu. Z początku niepokój jak przed burzą, jakaś cisza, jakaś dziwna bezwładność ogarnęła całe stado. Następnie drganie błędnych oczu, jakiś tupot, podobny do chlupotu padającego deszczu i odwrót rwący jak potok. Ucieczka zmieniła się w bój w wąskim przejściu; każde zwierzę przetworzyło się w uciekająca moc żywiołu, w pocisk popłochu. Silni przewracali słabych, szybcy gnali na grzbietach drugich, podczas gdy kości trzeszczały, jak drzewa wywracane przez huragan.

Mamuty nie myślały o pogoni. Raz jeszcze dały dowód swej potęgi, raz jeszcze poczuły w sobie władców ziemi. I zastęp olbrzymów koloru gliny, o długich szorstkich włosach, o twardych grzywach ustawił się na brzegu wodopoju i zaczęły pić tak gwał-

townie, że woda opadała w kotlinach, jakie wydrążyła u brzegu.

Na skłonie wzgórz fala mniejszych zwierząt, które nie ochłoneły jeszcze od widoku walki, patrzyła jak Mamuty gasiły pragnienie. Również Ulhamrowie patrzyli w osłupieniu na jedno z większych wydarzeń przyrody. A Naoh, porównując władcze zwierzęta z Namem i Gawem, ich drobne ramiona, cienkie nogi i wąskie torsy z tymi nogami twardymi jak dęby, z tymi cielskami wyniosłymi jak opoki, zdawał sobie sprawę ze znikomości i kruchości człowieka, tego nędznego życia, tułającego się po powierzchni sawanny. Dumał też o Lwach Żółtych, o Lwach Olbrzymich, o Tygrysach, z którymi się spotka w pobliskim lesie, a pod których pazurem człowiek lub łoś są tak samo bezsilni, jak grzywacz w szponach orła.

W jaskini

Miało się ku trzeciej zmianie nocnego czuwania.

Księżyc, bia-

ły jak kwiat powoju, znaczył drogę wzdłuż obłoków.

Fale jego

światła spływały na rzekę i milczące skały,

roztapiając jedne za

drugimi cienie majaczące u wodopaju. Mamuty

odeszły. Od cza-

su do czasu można było dostrzec pełzające zwierzę

lub jakaś sowę

na skrzydłach milczenia. A Gaw, na którego

przypadła kolej czu-

wania, pilnował wejścia do jaskini. Był znużony.

Jego leniwa i

przelotna myśl budziły jedynie to raptowne hałasy,

to wzmagające

się lub rozchodzące nowe zapachy, to znowu

ucichanie lub podry-

wy wiatru. Żył w jakimś odrętwieniu, gdzie wszystko

było znie-

30

czulone prócz uczucia niebezpieczeństwa i musu.

Nagle pomknęła

antylopa; podniósł głowę. Po drugiej stronie rzeki,
na ściętym
wierzchołku wzgórza ujrzał jakieś grube zarysy
stworzenia, które
kroczyło kołysząc się. Członki ciężkie, a jednak
zwinne, łeb potęż-
ny, zwężony u paszczy, jakaś niesamowita zjawa
człowieka —
wskazywały Niedźwiedzia. Gaw znał Niedźwiedzia
Jaskiniowego,
olbrzymia o czole wypukłym, który żył spokojnie w
swych schro-
nieniach i na pastwiskach, roślinożercę, którego
jedynie głód skła-
niał do karmienia się mięsem. Ten, co się zbliżał, nie
zdawał się
być podobnym do tego gatunku. Gaw upewnił się o
tym, ujrza-
wszy jego zarys w świetle księżyca: ze swa
spłaszczona czaszka, z
szarawym poszyciem, całym swym wyglądem, jak to
spozstrzegł
Ulhamr, okazywał pewność siebie, grozę i
okrucieństwo drapież-
nych zwierząt. Był to Szary Niedźwiedź,
współzawodnik Wiel-
kich Kotów.

Gaw przypomniał sobie legendy, opowiadane przez
tych, co

bywali na wyżynach. Szary Niedźwiedź powala
Żubra lub Tura i
unosi ich z większą łatwością niż Lampart antylope.
Jego pazury
mogą od jednego uderzenia rozplatać pierś lub
brzuch człowieka.
Dusi konia w swych łapach. Nie obawia się Tygrysa i
Lwa Płowego. Stary Goun przypuszcza, że ustępuje jedynie
przed Lwem
Olbrzymim, Mamutem albo Nosorożcem.

Syn Saigi nie uczuł tej nagłej trwogi, jakiej by doznał
wobec
Tygrysa. Przypuszczał, że Niedźwiedź ten jest równie
niewrażliwy i dobroduszny, jak spotykany przez niego
Niedźwiedź Jaskiniowy. Na razie to wspomnienie uspokoiło go, lecz
ruchy drapieżnika w miarę, jak jego zarys stawał się wyraźniejszy,
wydawały się bardziej podejrzane tak dalece, że Gaw
postanowił zwrócić się
do wodza. Wystarczyło dotknięcie jego ręki; z cienia
wyłoniła się
wysoka postać.

— Czego chce Gaw? — rzekł Naoh pojawiając się u
wyjścia

jaskini.

**Młody koczownik wskazał ręką w kierunku
wierzchołka
wzgórza. Oblicze wodza zasępiło się:**

— Szary Niedźwiedź!

31

**Naoh wzrokiem poczuł badać jaskinię. Zdążył
uprzednio na-
gromadzić kamienie i gałęzie, prócz tego kilka
pobliskich głazów
mogło utrudnić dostęp. On jednakże zamyślał
ucieczkę, a odwrót
był możliwy tylko od strony wodopoju. Gdyby
zwierz szybki,
niezmordowany i zawzięty postanowił ich ścigać,
dogoniłby pra-
wie na pewno. Pozostawał jedyny ratunek: wspiąć się
na drzewo.
Szary Niedźwiedź nie wdrapywał się. Natomiast był
zdolny cze-
kać nieskończenie długo, a w pobliżu widać było
tylko drzewa o'
cienkich gałęziach.**

**Czy srogi zwierz widział Gawa, skurczonego,
upodobnionego**

do otaczających głązów, baczącego aby nie zrobić
jednego zbytecz-
nego ruchu? Czy to był mieszkaniec jaskini,
powracający do niej
po długiej wyprawie? Gdy Naoh rozważał te pytania,
zwierz po-
czął schodzić ze stromej pochyłości. Dotarłszy do
gruntu mniej
niewygodnego, podniósł łeb, począł wietrzyć wilgotne
powietrze
i ruszył kłusem. Przez chwilę dwaj wojownicy
sadzili, że się odda-
ła. Ale on zatrzymał się na wprost miejsca, gdzie
krawędź skały
była dostępna. Wszelki odwrót stawał się
niemożliwy. W górze
krawędź kończyła się ostra skała. Chcąc spuścić się
w dół, trzeba
było uciekać przed oczyma zwierza; mógłby bowiem
wówczas
przeprowadzić się przez wąską rzekę i zagrozić im
drogę. Nie po-
zostawało nic innego, jak czekać, by zwierz odszedł
lub przyjąć
jego natarcie w jaskini.

Naoh obudził Nama i wszyscy trzej zabrali się do
staczania
pod jaskinię głązów.

Po chwilowym wahaniu Niedźwiedź postanowił
przeprawić
się przez rzekę. Wyładował z powagą i wygramolił
się na kra-
wędz. W miarę jak się zbliżał lepiej było widać jego
potężne mięś-
nie. Czasami w świetle księżyca błysnęły jego kły.
Nam i Gaw
drżeli. Miłość życia rozsadzała im serca. Poczucie
bezsilności za-
pierało dech. Młoda krew tętniła, jak lęk tętni w
trwożliwej piersi
ptaków. Sam Naoh nie był spokojny. Znał
przeciwnika, wiedział,
że nie trzeba mu było wiele czasu, by zadać śmierć
trzem ludziom.
A jego gruba skóra i kości z granitu były prawie
nieдоступne dla
ran, jakie mogły zadać włócznia, topór lub oszczep.

32

Tymczasem koczownicy kończyli układać w stos
głazy.
Wkrótce pozostał z prawej strony na wysokości
człowieka jeden
tylko otwór. Gdy Niedźwiedź zbliżył się, potrząsnął
grzmiącym
łbem i spojrzął z zakłopotaniem. Bo chociaż
zwietrzył ludzi i sły-

szął hałas ich pracy, nie oczekiwał, iż znajdzie
zaparty dostęp do
legowiska, gdzie spędził tyle lat. W czaszce jego
zaczęło się koja-
rzyć jakieś niejasne zestawienie pomiędzy zawalona
jaskinia, a
tymi, co ja zajmowali. Poza tym, poznawszy wyziewy
stworzeń
słabych, których mięsem spodziewał się uraczyć, nie
wykazywał
żadnej przezorności, był tylko zdziwiony.
Przeciągnął się w świet-
le księżyca, wystawiał pierś srebrzysta i kołysał
stożkowata pasz-
cza — czuł się dobrze w swoim futrze. Potem
rozzłościł się bez
powodu, bo był natury zgryźliwej i brutalnej, której
obca była ra-
dość i począł wydawać chrapliwe pomruki. Wreszcie,
zniecierpli-
wiony, wyprostował się na tylnych łapach, podobny
do włochate-
go wielkoluda o nogach zbyt krótkich, a
nadmiernym tułowiu i
pochylił się nad pozostawionym otworem.

W półmroku Nam i Gaw trzymali w pogotowiu
topory, syn
Lamparta podniósł maczugę. Oczekiwano, że zwierz
wsunie naj-

pierw łapy, co pozwoliłoby ciąć po nich. Lecz w otworze pokazał się jego ogromny łeb pokryty gęstymi kudłami, z wargami ociekającymi śliną, z zębami spiczastymi jak ostrza włóczni. Topory spadły, maczuga zawirosowała lecz wobec występów znajdujących się koło otworu była nie do użycia. Niedźwiedź ryknął i cofnął się. Nie był raniony. Ani jeden ślad krwi nie czerwienił się na jego paszczy. Ruch szczęk, rozzarzone źrenice świadczyły o wzburzeniu obrażonej siły.

W każdym razie nie zlekceważył nauczki, zmienił sposób postępowania. Zwierz ryjący, obdarzony wyostrzonym poczuciem przeszkód, wiedział, że lepiej jest niekiedy je rozwalać, niż wdierać się wprost w niebezpieczne przejścia. Obmacał zaporę, popchnął ją, ruszyła się pod naciskiem.

Potwór wzmagął swój wysiłek, pracując łapami, barami, czaszką. To rzucał się na przeszkodę, to pociągał ją lśniącymi pazura-

mi. Napoczął ją i, znalazłszy słabe miejsce, zachwiał nią. Odtąd

3 — Walka..

33

cała jego zaciekłość skupiła się na tym słabym miejscu. Okazało się ono dla niego tym bardziej korzystne, że ręce ludzi były za krótkie, by mogły go dosięgnąć. Naoh i Gaw, nie tracąc czasu na próżny trud, podparli na wprost Niedźwiedzia chwiejąca się ścianę i udało się im powstrzymać ją, podczas gdy Nam, wychylając się przez otwór, pilnował jego ślepią, w które zamierzał puścić strzałę.

Wkrótce oblegający spostrzegł, że owo słabe miejsce przestało poddawać się jego wysiłkom. Ta niepojęta zmiana, przecząca jego wieloletniemu doświadczeniu, wprowadziła go w zdumienie i rozjątrzyła. Zatrzymał się, siedząc na zadzie, przyglądał się zapo-

rze, obwąchiwał ją i potrząsał łbem z niedowierzaniem. Wreszcie, jakby podejrzewając, że uległ złudzeniu, powrócił do niej. Pchnął łapą, barami, a przekonawszy się, że opór trwa, poniechał wszelkiej ostrożności i poddał się władzy swej bezwzględnej natury. Pozostawiony otwór przykuwał jego uwagę, wydawał się jedyną dostępną drogą. Rzucił się ku niemu z zaciekłością. Świsnął grot i ugodził go blisko powieki. Nie osłabiło to jednak natarcia, które było druzgocące. Cały ten splot nerwów i mięśni, ta bryła mięsa tryskająca krwią, skupiła się w jedną moc wybuchową — ściana runęła.

Naoh i Gaw odskoczyli w głąb jaskini. Nam znalazł się w uścisku potwornych łap. Nie myślał zgoła o obronie, był jak antylopa schwytana przez Wielką Panterę, jak koń, powalony przez Lwa. Z wyciągniętymi ramionami i rozwartymi ustami oczekiwał śmierci w zupełnym odrętwieniu. Lecz Naoh, zrazu zaskoczony,

odzyskał natychmiast zapal bojowy jaki stwarza wódzów i zachowuje gatunek. Jak Nam zapamiętał się w bierności, tak on zapamiętał się w walce. Odrzucił topór, który uważał za zbędny i porwał oburącz dębową sękatą maczugę. Zwierz poczuł jego bliskość. Zaniechał na razie zgładzenia bezsilnej zdobyczy, drgającej pod nim, zwrócił całą swą siłę na przeciwnika. Łapy i kły uderzyły jak grom. W tej samej chwili Ulhamr opuścił maczugę. Broń spadła pierwsza. Potoczyła się po paszczęce Niedźwiedzia, jeden z jej sęków uderzył w chrapy. Cios wymierzony skośnie był mało

34

skuteczny, ale tak bolesny, że zwierz ugiął się pod nim. Powtórne uderzenie koczownika odskoczyło od niezniszczalnej czaszki. Potwór w jednej chwili wrócił do przytomności i natarł zajadle, lecz

Ulhamr skrył się w cień za skalistym zrębem: w stosownym momencie uskoczył a Niedźwiedź grzmotnął cielskiem o skałę. Po-twór zatoczył się. Naoh rzucił się na skos i wydając okrzyk wojenny uderzył maczuga w długie kręgi. Zatrzeszczały kości. Drapieżnik, osłabiony uderzeniem o zrąb skały, zachwiał się na łapach, a Naoh upojony swą mocą miażdżył kolejno chrapy, łapy i paszczękę, podczas gdy Nam i Gaw toporami rozplątywali kałdun.

Kiedy nareszcie cielsko przestało dyszeć, koczownicy spojrzeli po sobie. Była to chwila przedziwna. Naoh okazał się najgroźniejszym z Ulhamrów, a nawet ze wszystkich ludzi, ponieważ ani Fauhm, ani Hoo, syn Tygrysa, ani żaden z tajemniczych wojowników, o których Goun Sucha Kość wspominał, nie pokonali Szarego Niedźwiedzia maczuga. I legenda wryła się w czaszki młodzieńców, ażeby przechodzić z pokolenia na pokolenie i krze-

**pić ich nadzieje, o ile Nam, Gaw i Naoh nie zgina w
wyprawie po
Ogień.**

36

Lew Olbrzymi i Tygrysica

**Upłynął jeden księżyc. Naoh, idąc wciąż naprzód,
dawno
przebył sawannę. Przechodził teraz przez puszcze.
Poprzerzynana
wyspami trawy i kamieni, jeziorami, bagnami i
wglębieniami,
wydawała się bez końca. To zniżala się łagodnie, to
raptownie
wznosiła, dzięki, czemu rodziła wszystkie gatunki
roślin i wszelkie
odmiany zwierząt. Można było spotkać w niej
Tygrysa, Lwa Żół-
tego, Lamparta, Człowieka Drzew, co żył samotnie w
otoczeniu
kilku samic, a przewyższał siłą człowieka zwykłego,
hienę, dzika,
wilka, daniela, jelenia, sarnę, muflona i Nosorożca,
wlokącego**

swój ciężki pancerz. Może znalazłby się w niej i Lew Olbrzymi,

37

choć stał się on nader rzadki, gdyż gatunek jego wymierał od całych setek stuleci.

Zdarzał się i Mamut pustoszący lasy, kruszący gałęzie, wyrwijający drzewa, którego pochod czynił więcej zniszczenia niż powódź albo huragan.

Na tym trwogę budzącym obszarze koczownicy znaleźli obfity pokarm. Wiedzieli, że dla pożeraczy mięsa oni sami są zdobyczą. Szli ostrożnie, jeden z przodu, a dwu w tyle — na równej linii, aby móc objąć okiem jak największą przestrzeń. Wyczulone zmysły mogły ich ustrzec w ciągu dnia przed zasadzkami. Zresztą ich najgroźniejsi wrogowie polowali jedynie w ciemnościach. We dnie nie posiadali wzroku tak ostrego jak ludzie, a powonienie ich

nie mogło się równać z powonieniem wilków. Przed tymi ostatnimi trudniej byłoby skryć ślady, lecz w dobrze zaopatrzonej puszczy nie myślały one tropić zwierząt tak niebezpiecznych jak Ułhamrowie. Spomiędzy Niedźwiedzi najpotężniejszy. Olbrzym Jaskiniowy, nie polował, chyba że byłby przyparty głodem. Jako trawożerca, znajdował na powierzchni to, czym mógł bez walki zaspokoić swą żarłoczność. A Szary Niedźwiedź, który tylko wyjątkowo wałęsał się poza okolicami o chłodniejszym klimacie, dawał znać o sobie już z daleka.

Wszelako dni bywały pełne trwogi, a noce przerażające. Ułhamrowie starannie szukali dla siebie schronisk. Zatrzymywali się na długo przed zmierzchem. Często ukrywali się w jakiejś dziupli, innym razem łączyli głazy lub zaszywali się w głuchy gąszcz, sięgając przeszkody na przejściach. Niekiedy wieczorami wspinali się na blisko siebie rosnące drzewa.

Najbardziej cierpieli z braku Ognia. Podczas bezksiężycowych nocy zdawało im się, że pogrążają się na zawsze w ciemnościach. Przygniatały ich one, pochłaniały ich. Co wieczór wpatrywali się w puszczę, jakby mieli ujrzeć klatkę z żarzącym się płomieniem, rosnącym w miarę, jak pożerał suche gałęzie. Nie rozróżniali nic poza rozrzuconymi iskrami gwiazd lub ślepiami jakiegoś zwierza. Dławiła ich własna bezsilność i przerażający bezmiar. Zapewne mniej by cierpieli pośród hordy, wśród tętniącego życiem

38

tłumu. W nieskończonej samotności piersi ich, zda się, były przygniecione.

Ściany lasu rozwarły się. Podczas gdy cała zachodnia okolica była pokryta lasami, na wschodzie rozciągała się równina, częściowo pokryta trawą, częściowo gąszczem krzaków kolczastych, z

nielicznymi kępami drzew. Trawa broniła swego
obszaru przed
zachłannością wielkich roślin, wspomagana przez
Tury, Żubry,
jelenie, antylopy, muły i konie , które ogryzały młode
pędy. Rze-
ka, otoczona czarnymi topolami, popielatymi
wierzby, osina-
mi, olszyną, łożyną i trzcina, płynęła na wschód.
Kilka kamieni,
zabłąkanych tu w epoce lodowców, tworzyło jakąś
rdzawą masę
o wydatnych wypukłościach; pomimo jasnego
jeszcze dnia długie
cienie górowały nad promieniami słońca.
Koczownicy przyglą-
dali się miejscowości nieufnie. Zapewne, gdy noc
zapada, prze-
chodzi tędy dużo zwierząt. Pospieszyli więc
zaspokoić pragnienie,
po czym zbadali okolicę. Większość owych kamieni,
stojących sa-
motnie, nie mogła się przydać. Niektóre tworząc
grupy, wyma-
gałyby dużo zachodu, aby je użyć do obrony.
Ogarniało ich znie-
chęcenie, już gotowi byli powrócić do lasu gdy Nam
spozostregł
ogromne głązy stojące obok siebie. Dwa z nich
stykały się wierz-

chołkami, tworząc rodzaj sklepionej kryjówki mającej cztery otwory; z tych trzy mogłyby stanowić wejście do wnętrza dla mniejszych od człowieka zwierząt: dla wilków, psów. Panter.

Czwarty był dość obszerny, by przepuścić wojownika silnej budowy, o ile by ten czołgał się po ziemi. Wejście to powinno być niedostępne zarówno dla dużego Niedźwiedzia, jak i Lwa lub Tygrysa.

Na znak towarzysza Naoh i Gaw przybiegli. Obawiali się zrazu, że wódz nie zdoła wślizgnąć się do kryjówki. Lecz Naoh, rozciągnąwszy się na trawie i obróciwszy głowę, wczołgał się bez wysiłku, wylazł tak samo. Wobec tego znaleźli się w posiadaniu schronienia pewniejszego niż wszystkie dotychczas napotykanne. Głazy bowiem były tak ciężkie i tak mocno osiadły w ziemi, że stado Mamutów nie mogłoby poruszyć ich z miejsca. Pomieszczenie było obszerne. Dziesięciu ludzi mogło swobodnie się w nim

obracać. Nadzieja spędzenia bezpiecznie nocy uradowała koczowników. Pierwszy raz od chwili wyruszenia mogli drwić z wszelkich drapieżców. Pożywili się surowym mięsem jelenia i orzechami zerwanymi w lesie, po czym jęli rozglądać się dokoła. To jeleni, to sarna mknęły ku wodzie, kruki unosiły się z okrzykiem wojennym, orzeł zawisł na wysokości obłoków. Dalej ryś w podskokach gonił cyrankę. Lampart chyłkiem prześlizgnął się między wierzbami.

Cienie wydłużały się coraz bardziej. Wkrótce pokryły sawannę. Słońce zapadło za drzewa, niby olbrzymi kolisty stos gorejący, i zbliżał się czas, kiedy życie drapieżne zawładnie ciszą. Na razie nic go nie zapowiadało.

Słyszeć było niewinny pogwar ptaków wędrownych, samot-

nych lub gromadnych. Posyłały one słońcu swą pieśń
spieszna,
pieśń żalości i trwogi, pieśń wielkiej, złowrogiej
nocy...

Z lasu wysunął się Tur. Skąd przybywał? Jaka
przygoda od-
biła go od stada? Czy zapóźnił się? Lub może
przeciwnie, idąc za
szybko, został zaskoczony przez wroga lub przez
jakiś przypadek
niezwykły? Pędził na oślep.

Koczownicy nie zadawali sobie tych pytań. Ogarnęła
ich żą-
dza zdobyczy. O ile myśliwi z ich plemienia nie
napadali na stada
wielkich trawożernych, to czatowali jednak na
pojedyncze osobni-
ki słabe lub ranione. Waleczność i zawziętość Turów
nie ustępo-
wała w poszczególnych odmianach dzisiejszym
bykom, lecz Tur
był zmyślniejszy. Gatunek ten był w pełnym
rozkwicie. Zwinne,
o mocnym oddechu, potrafiące przewidzieć
niebezpieczeństwa, z
rozwinęta przebiegłością, potężne te stworzenia
wspaniale krąży-

ły po ziemi. Naoh powstał z groźnym pomrukiem. Po zwycię-
stwie nad drapieżnikiem czekała go wielka chwała —
ubicie wiel-
kiego trawożericy.

W sercu Ulhamra rozbudziło się to uczucie, dzięki
któremu
trwa wszystko, co jest niezbędne dla rozwoju
człowieka. Jego za-
pał wzmacniał się w miarę zbliżania się szerokiej piersi
i połyskli-
wych rogów. Ale poddawał się on jeszcze innemu
uczuciu — nie
niszczyć daremnie mięsa-żywiciela. A na razie był
dostatecznie za-

40

opatrzone, zdobyczy było dużo. Nadto,
przypominając sobie
zwycięstwo nad Niedźwiedziem, Naoh nie pocztywał
ubicia
Tura za czyn dosyć godny. Opuścił więc włócznię i
zaniechał ło-
wów, w których mógł uszkodzić swa broń. A Tur,
postępując
powoli, skierował się ku rzece.

Nagle trzech ludzie podnieśli głowy. Zmysły ich
naprężyły się
w poczuciu niebezpieczeństwa. Wahanie było
krótkie. Na znak
wodza Nam i Gaw wślizgnęli się pod głazy. A gdy on
sam po-
szedł za ich przykładem, z lasu wyskoczył Jeleń
Olbrzymi. Zwie-
rzę było ogarnięte szalem ucieczki. Łeb miało
uzbrojony rogami
jak konary, które zarzuciło w tył, chrapy ociekały
piana, zabar-
wioną szkarłatem, nogi podrywały jak huragan
gałęzie. Jakieś
trzydzieści skoków za nim ukazał się nieprzyjaciół.
Był to Tygrys
o krępych członkach, o kręgach sprężystych, sadzący
olbrzymimi
susami. Zdawało się, że płynie w powietrzu. Za
każdym razem,
gdy dotykał gruntu, następowała krótka przerwa —
skupienie się
siły rzutu.

Bieg Jelenia był mniej wyciągnięty, lecz nie ulegał
przerwom.
Každy krok był przyśpieszonym następstwem
poprzedniego sko-
ku. W okresie pogoni tracił on na różnicy odległości.
Dla Tygrysa

bieg dopiero się zaczął podczas gdy Jeleń przybywał z daleka.

— Tygrys dojdzie Wielkiego Jelenia! — rzekł Nam głosem drżącym.

Naoh, przyglądając się z przejęciem tym łowom, odpowiedział:

— Wielki Jeleń jest niezmordowany!

W pobliżu rzeki odległość pomiędzy zwierzętami zmniejszyła się o połowę. W ostatnim wysiłku Jeleń przyspieszył biegu. Oba ciała rzucały się naprzód z równą szybkością, przy czym susy Tygrysa stały się krótsze. Poniechałby zapewne pogoni, gdyby nie bliskość rzeki. Liczył na swą przewagę w pływaniu, w czym miało mu dopomóc jego długie, giętkie ciało. Gdy przybliżył się do brzegu, Jeleń był oddalony od niego o dwa kroki. Tygrys spłynął falą z nadzwyczajną bystrością lecz z nie mniejszą parł Jeleń na-

przód. Była to chwila śmierci lub życia. Jako że rzeka nie była sze-

41

roka Jeleń powinien by dopływając do brzegu, wyprzedzić Tygrysa.

Jedna chwila wahania, a będzie pojmany. Wiedział o tym. Nie ba-

cząc na niebezpieczeństwo zakręcił półkole, by wybrać miejsce lą-

dowania. Był to mały zwirowaty przylądek o łagodnym spadku.

Pomimo, że Jeleń trafnie obliczył, gdzie należy przybić, zawahał

się jednak na chwilę, podczas której Tygrys zbliżył się. Trawożer-

ca wyskoczył na brzeg. Oddalony był o jeden długi skok Tygry-

sa, kiedy z kolei Tygrys dosięgnął stałego lądu i dał pierwszego

susa. Skok ten był zbyt pośpieszny, drapieżnik zaplątał swe łapy,

potknął się i runął. Zwyciężył Jeleń. Nie było celu gonić Jelenia.

Tygrys pojął to i przypomniawszy sobie zarysy wysokiej postaci,

dostrzeżonej podczas gonitwy, pośpiesznie przeprowił się z po-

wrotem przez rzekę. Tur był jeszcze widoczny...

Podczas pogoni cofnął się ku puszczy. Następnie
okazywał
niepokój, wzrastający w miarę, jak wielki drapieżnik
oddalał się,
a zwłaszcza gdy zniknął w trzcinach. Ostatecznie
Tur postanowił
zawrócić, gdy chrapy jego uderzyła złowroga woń.
Wyciągnął
szyję, a upewniwszy się, skąd grozi
niebezpieczeństwo, wytknął
sobie kierunek ucieczki. Przybył w ten sposób do
owych głązów,
gdzie spoczywali Ulhamrowie. Wyziwy ludzkie
przypomniały
mu potyczkę, kiedy to młody jeszcze i słaby, został
raniony strza-
łą. Zboczył przeto ponownie. Biegł teraz klusem i już
miał znik-
nąć w gęstwinie, gdy naraz stanął jak wryty. Tygrys
zbliżał się
wielkimi susami. Nie obawiał się, by Tur wymknął
się mu jak Je-
leń Olbrzymi, a wcześniejsze niepowodzenie
zniecierpliwiło go
jeszcze.

Na widok drapieżnika wahanie Tura minęło. Stanął
oko w

oko z niebezpieczeństwem, wiedząc, że nie może
liczyć na swoją
szybkość. Z łbem opuszczonym, ryjąc racicami
ziemię, z szeroką,
rudą piersią, ze ślepiami jarzącymi się ogniem
fioletowym, przed-
stawiał wspaniały okaz wojownika puszczy i stepu.
Ślepa wściek-
łość wymiotła wszelki lęk. Krew tętniąca w jego
sercu była krwią
walki, zmysł samozachowawczy przemienił się w
odwagę.

Tygrys odgadł wartość przeciwnika. Nie napadł go
raptow-
nie, podchodził kołując, pełzając jak gad,
wyczekiwał jakiegoś ru-

42

chu, zbyt pośpiesznego lub nieopatrzego, który by
pozwolił mu
okraczyć grzbiet Tura, przegryźć kręgi lub gardło.
Lecz Tur, ba-
cząc na obroty napastnika, nadstawiał ciągle swój
zwarty łeb i
ostre rogi...

Nagle drapieżca zamarł w bezruchu. Na
wyprężonych łapach

wielkimi żółtymi ślepiami z wyrazem niemal szaleństwa patrzył na zbliżającego się potwora. Był on podobny do Tygrysa, postawę miał wyższą i bardziej zwartą. Swą grzywą, głęboką pierś i poważnym ruchem przypominał Lwa. Pomimo, że biegł bez zatrzymywania się, z poczuciem wyższości, okazywał jednak wahanie zwierza, który jest na obcym obszarze łowieckim. Tygrys zaś był u siebie! Przez dziesięć pór łowów władał tą ziemią, a inni mięsożercy, Lampart, Pantera, hiena, żyły tu w jego cieniu. Wszelka zdobycz, skoro ją sobie obrał, należała do niego. Żadna istota nie stała mu na drodze, gdy w przypadkowych spotkaniach zagryzał łośia, daniela. Jelenia Olbrzymiego, Tura, Żubra lub antylopę. Może Szary Niedźwiedź przechodził podczas pory chłodów przez jego ziemie, lecz Tygrysy trzymały się na północy, a Lwy okolicy rzeki; ani jedno z nich nie ważyło się uchybić jego potędze. Unikał jedynie spotkania z Nosorożcem, tym, którego kły i pazury nie

imały się, lub z Mamutem o potężnych nogach,
uważając walkę z
nimi za próbę zbyt groźną. Nie znał więc dziwnej
postaci, która
przed nim wyrosła, wstrząsając wszystkimi jego
zmysłami.

Było to zwierzę bardzo rzadkie, zwierzę czasów
minionych,
którego gatunek wymierał od tysiącleci. Tygrys
całym swym jes-
testwem wyczuwał, że było ono silniejsze od niego,
lepiej uzbro-
jone, równie szybkie, lecz przyzwyczajenie i pamięć
zwycięstw
tkwiły w nim tak głęboko, że buntował się przeciw
trwodze. W
ruchu jego wyrażała się ta dwoistość popędów. W
miarę, jak
wróg podchodził, nie cofał się przed nim, a raczej
usuwał; posta-
wa jego pozostawała groźna. Gdy odległość
dostatecznie się już
zmniejszyła. Lew—Tygrys wydał swą szeroką pierś,
po czym
przypadł do ziemi, wykonał swój pierwszy skok
natarcia, skok
dwudziestopięciometrowy. Tygrys cofnął się. Przy
drugim skoku

olbrzyma zawrócił z zamiarem odwrotu. Ten ruch był ledwie za-

43

znaczony. Natychmiast wściekłość zawróciła go, jego żółte oczy pozieleniały: przyjmował walkę. Nie był już sam. Wśród traw ukazała się Tygrysica. Biegła połyskująca, gwałtowna, wspaniała na pomoc swojemu samcowi.

Z kolei zawahał się Lew Olbrzymi, zwątpiwszy o swojej mocy. Może byłby się w tej chwili cofnął, ustępując pola Tygrysom, gdyby przeciwnik, podniecony miauczeniem zbliżającej się Tygrysicy, nie wykonał ruchu jak do napaści. Ogromny Kot mógł zgodzić się na porzucenie placu, ale jego straszne mięśnie, wspomnienia tego mięsa, które w życiu rozszarpał, i pomiażdżonych kości, zniewoliły go do ukarania zaczepki. Dzielila go od Tygrysa przestrzeń jednego skoku. Przebył ja, chybiwszy celu,

gdyż tamten odskoczył, próbując napaść z boku.
Lew zatrzymał
się i przyjął natarcie. Pazury i paszcze splotły się ze
sobą. Słysząc
było kłapanie szarpiących kłów i charczące oddechy.
Tygrys, jako
niższy, usiłował złapać wroga za gardziel. Był już
bliski osiągnię-
cia tego, gdy odrzucony nieomylnym ciosem został
powalony i
znalazł się pod władną łapą potwora, który jął mu
pruć wnętrznoś-
ci. Wyskoczyły jelita, niby błękitne liany, szkarłatna
krew poląła
się wśród traw i straszny ryk wstrząsnął sawanną.
Lew począł
miażdżyć kości, gdy nadbiegła Tygrysica. Stropiona,
węszyła go-
rące mięso, porażkę swego samca. Wydała
miauknięcie na znak
wyzwania.

Na ten głos Tygrys powstał. Przemóżna fala odruchu
bojo-
wego przemknęła przez jego czaszkę, lecz przy
pierwszych kro-
kach wlokące się wnętrzności zatrzymały go.
Znieruchomiał z
członkami omdlewającymi, oczami pełnymi jeszcze
życia. Tygry-

sica wyczuła, ile mocy życiowej pozostało w tym, który tylokrotnie dzielił się z nią zdobyczami tętniącymi życiem, czuwał nad pokoleniami, bronił gatunku przed niezliczonymi zasadzkami. Ponura tkliwość wstrząsnęła jej grubymi zmysłami, odczuwała wspólność ich walk, radości, cierpień. A mimo tego prawo natury ją zmogło. Poznała, że siła bardziej groźna, niż siła jej Tygrysa stała przed nią i drżąca od potrzeby życia, z głuchą skargą, rzucając długie spojrzenie poza siebie, uciekła w bór.

44

Lew Olbrzymi nie poszedł za nią. Nasycił się przewagą swych mięśni, wdychał zapachy wieczorne, zapachy przygód, miłości i zdobyczy. Tygrys nie niepokoił go więcej. Lew Olbrzymi śledził go jednakże, wahał się dobić go, miał on duszę ostrożna i

zostawszy zwycięzcą obawiał się niepotrzebnych ran...

Nastąpiła czerwona godzina, płynęła przez głąbie lasów, powolna, zmienna i zwodnicza. Zwierzęta dzienne zamilkły. Było słychać od czasu do czasu wycie wilków, szczekanie psów, złośliwy śmiech hieny, poświst drapieżnego ptaka, rechotanie żab lub zgrzyt zapóźnionego pasikonika. Podczas gdy słońce gasło za mierzchołków, od wschodu wznosiła się ogromna tarcza księżyca.

Nie było widać innych zwierząt, prócz dwóch drapieżników. Tur zniknął podczas walki. W mrokach nocy tysiące wyczulonych nozdrzy wiedziało już o groźnym sąsiedztwie. Lew Olbrzymi jeszcze raz przekonał się o nikłości swej mocy. Mnóstwo zdobywszy tętniło życiem w głąbi gąszczów i na polanach, tymczasem on musiał codziennie lękać się głodu. Albowiem towarzyszyło mu

powietrze, przesycone jego wyziewami, które wcześniej stwierdzało jego obecność, niż jego chód, trzeszczenie ziemi, traw, liści i gałęzi. Rozchodziło się ono ostre, krwiożercze, wyczuwało sieje w ciemnościach i aż do powierzchni wód było zarazem postrachem i obroną słabych. Wtedy wszystko uciekało, kryło się, znikało. Ziemia pustoszała z wolna. Nie było już na niej życia, nie było zdobyczy. Wielki Kot zdawał się być sam na świecie.

Otóż, gdy noc zapadła, olbrzym był głodny. Wygnały go z jego ziemi wybuchy rozszalałej przyrody, przebył strumienie i rzekę, włócząc się po nieznanym przestrzeniach. A teraz, gdy pokonał Tygrysa, zdobywszy nową siedzibę, nastawiał chrapy, szukał w powiewie wiatru zapachów rozproszonej zwierzyny. Wszelka zdobycz wydawała się mu odległa. Postrzegał z trudem kołysanie się traw, wywołane przez drobną zwierzynę, kilka gniazd

wędrownych ptaków, dwie czaple siedzące na
rozwidlonej czar-
nej topoli, których czujność nie dałaby się zwieść,
nawet gdyby
Kot ten mógł wspiąć się na drzewo. Ale gdy Lew
osiągnął swój

46

pełny wzrost, laził jedynie po niskich pniach i
pomiędzy grubymi
konarami.

Głód pchnął go ponownie do tej ciepłej cieczy, która
płynęła
z jelitami pokonanego. Podszedł i począł ją
obwąchiwać. Wstrętna
mu była jak jad. Zniecierpliwiony, skoczył na
Tygrysa i zmiąz-
dził mu kręgi, po czym oddalił się szukając żeru.

Pociągały go zarysy prastarych głazów. Jako że
wznosiły się
teraz pod wiatr, a węch jego nie dorównywał
węchowi wilków,
nie wyczuł od razu obecności ludzi. Zbliżywszy się,
zwiąrzył tam
zdobycz i nadzieja przyśpieszyła mu oddech.

Ulhamrowie przyglądali się z trwogą wysokiej postaci pło-
wego zwierza. Od ucieczki Jelenia Olbrzymiego cała ponura le-
genda, to wszystko, co każe żyjącym drzeć ze strachu, przesunęło
się przed ich źrenicami. Na tle czerwieni zachodu widzieli potwo-
ra krążącego koło schroniska. Paszczą próbował ryć pomiędzy
szczelinami kamieni. Ślepiea jego rzucały błyski zielonych gwiazd.
Cała jego istota dyszała pośpiechem głodu.

Gdy podszedł do otworu, którym wślizgnęli się ludzie, po-
chylił się, usiłując wsunąć łeb i łopatki. Ulhamrowie zwątpili, czy
głazy ustoją w miejscu. Przy każdym ruchu tego falującego cielska
Nam z Gawem kurczyli się z westchnieniem rozpaczy. Nienawiść
nurtowała Naoha, nienawiść pożądanego ciała, nienawiść przeja-
wów rodzącego się rozumu do swego odwiecznego instynktu i do
przemóżnej potęgi. Wzmocniła się ona, gdy zwierz począł ryć zie-
mię. Acz Lew Olbrzymi nie należał do zwierząt ryjących, umiał

wszakże rozszerzać przejścia lub obalać przeszkody.
Jego usiłowa-
nia tak wielce napęłniły trwogą ludzi, że Naoh
przysiadł i pchnął
oszczepem. Drapieżnik uderzony w łeb ryknął
wściekle i zaprze-
stał kopania. Ślepa jego, ciskające błyski świetlne,
badały mrok.
Jako nocny zwierz rozróżniał wyraźnie trzy ludzkie
postacie, które
tym bardziej go drażniły, że znajdowały się tak
blisko.

Począł obchodzić glazy przyglądając się przejściom,
ciągle jed-
nak powracał do otworu, którym wsunęli się ludzie.
W końcu
wziął się do rycia; nowe uderzenie oszczepem
przerwało jego ro-
botę i zmusiło do cofnięcia, lecz mniej był zdziwiony,
niż za

47

pierwszym razem. Jego nieporadna głowa
zrozumiała, że dostęp
do schronienia przez ten otwór jest dlań
niemożliwością, lecz nie
wyrzekał się zdobyczy. Miał nadzieję, że będąc tuż
obok i tak mu

nie ujdzie. Pociągnąwszy raz jeszcze powietrze i rzuciwszy ostatnie spojrzenie, skierował się ku puszczy, jakby zapomniał o obecności ludzi.

W koczowników wstąpiła otucha. Schronisko wydało się im bardziej pewne. Wdychali upajające powiewy nocy. Była to jedna z tych chwil, kiedy nerwy stają się wrażliwsze, a mięśnie posiadają więcej mocy życiowej, niezliczone uczucia, podniecając ich chwiejną duszę, wydobywały pierwotne piękno. Kochali w tej chwili życie i wszystko, co je otacza, rozkoszowali się czymś, co powstało z tego wszystkiego, szczęściem, stworzonym poza cieniem doraźnym i ponad nim. A ponieważ nie byli zdolni podzielić się ze sobą takimi wrażeniami, ani pomyśleć nawet o udzieleniu ich sobie wzajemnie, zwracali się ku sobie ze śmiechem, ta zaraźliwa wesołością, która rozjaśnia jedynie twarze ludzkie. Oczywiście spodziewali się ujrzeć Lwa Olbrzymiego, gdy będzie powracał,

lecz nie mając dokładnej świadomości czasu —
byłaby ona dla
nich złowrogą — używali terażniejszości w całej
pełni. Trwanie
czasu, które dzieli zmierzch od poranka, zdawało się
niewyczerpa-
nym.

Według zwyczaju Naoh podjął się pierwszego
czuwania. Nie
był śpiący. Podniecony walką Tygrysa z Lwem
Olbrzymim, gdy
już Nam z Gawem legli, poczuł, iż przebudziły się w
nim pewne
pojęcia, które podania pokoleń i przeżyte
doświadczenia nagroma-
dziły w jego czasce. Splatały się one niewyraźnie ze
sobą, two-
rzyły legendę świata. A świat był już obszerny w
kiełkujących
przejawach rozumu Ulhamrów. Znali pochów słońca
i księżycy,
okresy ciemności następujące po świetle, i światła
następującego
po ciemnościach. Znali przemiany pory zimna i pory
gorącej,
drogi rzek i strumieni, narodziny, starość i śmierć
ludzi, kształt,
zwyczaje i siłę mnogich zwierząt, rozrastanie się
drzew i traw,

szukę obrabiania oszczepów, toporów, maczug,
rylców, i harpu-
nów oraz sztukę posługiwania się nimi. Umieli
dostrzec kierunek

48

wiatru i obłoków, zmienność deszczu i okrucieństwo
gromu.

Wreszcie znali Ogień, najstraszniejszą i najśłodsza z
rzeczy żyją-
cych, dość silną, by zniszczyć całą sawannę i puszcę
z jej Mamu-
tami, Nosorożcami, Lwami, Tygrysami,
Niedźwiedziami, Żubra-
mi i Turami.

Naoha życie Ognia pociągało zawsze nieprzeparcie...

Tak

samo, jak zwierzęta, Ogień potrzebuje zdobyczy.

Żywi się gałę-

ziami, suchymi trawami, tłuszczem; rośnie. Każdy

Ogień rodzi

inne Ognie. Każdy Ogień może skończyć. Lecz wzrost

Ognia jest

nieograniczony, daje się jednak krajać bez końca,

każda cząstka

może żyć sama. Zamiera, gdy pozbawić go pokarmu.

Staje się

mały jak pszczoła, jak mucha, a jednak może
odrodzić się wzdłuż
źdźbła trawy i stać się ponownie rozległy jak
moczary. Jest on
zwierzęciem i zarazem nie jest. Nie posiada łap, ani
ciała pełzające-
go, a wyprzedza antylopy, bez skrzydeł, a lata w
obłokach, bez
paszczy, a dmie, grzmi i ryczy, bez rąk i pazurów, a
zagarnia
przestworza... Naoh kochał, nienawidził i obawiał się
Ognia. Bę-
dąc jeszcze dzieckiem, doświadczał niekiedy jego
ukąszeń. Wie-
dział, że nikogo nie wyróżnia, gotów pożreć nawet
tych, co go
podtrzymują; bardziej skryty od hieny, bardziej
okrutny od Pan-
tery. Lecz jego obecność jest rozkoszą, rozprasza
srogość zimnych
nocy, daje wypoczynek po trudach, nawet słabych
ludzi obdarza
mocą!

W mroku kamieni bazaltowych widział Naoh swym
cichym
pragnieniem Ogień obozowiska i blaski muskające
twarz Gamli.

Wschodzący księżyc przypominał mu płomień. Z
jakiego zakątka

ziemi wypływa księżyc i czemu tak jak i słońce, nigdy
nie gaśnie?

Zmniejsza się, bywają wieczory, że nie jest większy
od nędznego

Ognia, co tli się u źdźbła trawy, to znowu ożywa. Na
pewno Lu-

dzie Ukryci troszczą się o niego i żywią go stosownie
do pory...

Tego wieczora jest on w pełni sił. Z początku tak
samo wysoki

jak drzewa, w miarę, jak wyżej podnosi się na niebie
staje się

mniejszy lecz świeci bardziej. Ludzie Ukryci musieli
mu poddać

obficie drzewa.

Podczas gdy syn Lamparta tak dumiał o tych
rzeczach, nocne

4 — Walka..

49

zwierzęta zaczęły swe pełne przygód życie. Jakieś
kształty przesu-

wały się ukradkiem w trawie. Rozróżniał susły,
skoczki, świnki

morskie, lekkie kuny, łasice o ruchach jaszczurki.

Potem w świet-

le księżycyca ukazał się jeleni-dziesiątak i przeleciał
strzała zataczając
półkola. Naoh przyglądał się jego postaci koloru
ziemi i dębu,
jego konarom, pochylonym na szyć. Znikł. Wilki
pokazały swe
łby okrągłe, pyski wąskie, łapy suche i bystre, kałdun
jasny, boki
i grzbiet rudawe z czarna pręga, która uwydatniała
kręgosłup, o
grubym karku ze splotami silnych mięśni — miały w
swym ca-
łym zachowaniu coś skrytego i przebiegłego, co
uwydatniały bar-
dziej jeszcze spojrzenia pełne podejrzliwości.

Wietrzyły jelenia, lecz on wyczuł w wilgoci mroku
ich zbliża-
nie się. Wyprzedzał ich znacznie. Wrażliwe chrapy
wyczuły, że
siła wyziewów słabnie: już wiedza, że trawozerny
oddala się.
Przebiegły wszakże sawannę aż do krzaków. Pogoń
okazała się jed-
nak bezcelową. Zawróciły wszystkie wolnym
krokiem, zawie-
dzione, niektóre z nich wyjąc i skowycząc. Po czym
nozdrza zno-
wu poczęły badać powietrze. Nie zdradzało ono nic
pobliskiego,

prócz ścierwa Tygrysa i ludzi, ukrywających się
pomiędzy głaza-
mi. Ludzie — zdobycz zanadto niebezpieczna i
mięso, które wilki
pomimo swego łakomstwa uważają za wstrętne.
Podeszły doń jed-
nak po okrażeniu legowiska ludzi.

Z początku wilki chodziły koło padliny z tą
nadzwyczajną
ostrożnością, która nigdy nie dowierza przypadkowi.
W końcu
niecierpliwsze z nich ośmieliły się podejść. Zbliżyły
swe pyski do
łba Tygrysa, do jego wielkiej rozwartej paszczy,
która dopiero co
wydychała zjadliwe i groźne życie, badając cielsko,
liznęły czer-
wone rany. Jednakże żaden z nich nie odważył się
dotknąć zębem
tego cierpkiego, trującego mięsa, na które jedynie
żołądki sępów
i hien były dość odporne.

Głośny krzyk wzmógł ich wahanie — jakieś skargi,
wycia,
śmiechy szydercze. W świetle księżyca pojawiło się
sześć hien.
Przybliżały się niesamowitym krokiem. Przednią
część ciała miały

silnie rozwiniętą, tułów zniżał się i zwężał, aby zakończyć się cienką, nędzną parą nóg, skrzywionych ku wewnątrz. O krótkiej, ale

50

tak potężnej paszczy, że mogły miażdżyć nią lwie kości; o źrenicach, zwężających się ku dołowi, o uszach spiczastych i szorstkiej grzywie. Obracały się wkoło, podchodziły bokiem lub podskakiwały jak pasikoniki. Wilki czuły coraz silniej rozchodzącą się wstrętną woń, jaką wydzielaly ich gruczoły.

Były to włóczęgi wzrostu dużego, które dzięki ogromnej sile swych szczęk, były zdolne stawić opór Tygrysom. Lecz nie stały oko w oko z nieprzyjacielem, chyba, że były do tego zmuszone, co zresztą nigdy się nie zdarzało, żaden bowiem drapieżnik nie pożałował ich cuchnącego mięsa, a inni pożeracze padliny byli słabsi. Aczkolwiek wiedziały one o swojej przewadze nad wilkami

wahały się, kręciły w blasku nocnym, to zbliżając się,
to oddala-
jąc, i wydawały urywane, wzmagające się krzyki.
Wreszcie rzuci-
ły się gromadą na padlinę.

Wilki nie próbowały stawić oporu, a że były pewne
swej
większej zręczności, pozostawały przeto w pobliżu.
Pożałowały
tej pogardzonej zdobyczy, skoro im się zaczęła
wymykać. Krążyły
koło hien, wyły, udawały napaść, podchodząc
ruchami podstęp-
nymi zadowolone, że niepokoją wroga.

Hieny zaś, ponure i groźnie warczące, zabrały się do
Tygrysa.
Wolałyby go zgniłego, rojącego się od robactwa, lecz
ich ostat-
nie posiłki były skromne, a obecność wilków
podniecała ich żar-
łoczność! Smakowały najpierw wnętrzności,
zmiążdżywszy żebra
swymi potężnymi kłami wyrwały serce, płuca,
wątrobę, i język
chropowaty, wypchnięty z gardzieli przez
przedśmiertne skurcze.
Była to bądź co bądź rozkosz pokrzepiać żyjące
mięso martwym

mięsem, błogie uczucie — nasycić się, miast błędzić z pustym
brzuchem i skołataną głową. Dobrze to zrozumiały wilki, one,
które na próżno od zmierzchu uganiały się za wyziewami powietrza i ziemi.

W przystępie szału wywołanego zawodem, niektóre rzuciły się w stronę głązów kryjówki i poczęły je obwąchiwać. Jeden z nich wsunął łeb przez otwór. Naoh z pogardą uderzył weń oszczepem. Dosięgnięty w łopatkę zwierz, podskakując na trzech łapach, żałośnie zaskowyczał. Wówczas wszystkie zawyły gromko' i

51

złowrogo, w tym jednak okrzyku groźba była tylko udana. Ich rude cielska kołysały się w świetle księżyca, oczy błyszczwały zapalem życia, a zarazem lękiem przed nim, kły lśniły piana, podczas gdy ich smukłe łapy skrobały z cichym szelestem ziemię lub prę-

żyły się w oczekiwaniu. Żądza żeru stawała się nie do zniesienia.

Lecz wiedząc, że za ścianą bazaltową obrały legowisko stworzenia podstępne i odporne, które można by zwyciężyć jedynie napadając z nienacka, przerwały swe zabiegi. Zgromadzone na radę łowiecka, wymieniały między sobą jakieś skomlenia i ruchy, niektóre siedziały na zadzie z wyczekującym pyskiem, inne, podniecone, ocierały się grzbietami. Stare nawoływały do uwagi, głównie zaś jeden duży wilk o wypłowiałym poszyciu, o kłach pożółkłych. Słuchano go, patrzono na niego i obwąchiwano z szacunkiem.

Naoh nie wątpił, że posiadały one swoją własną mowę. Porozumiewały się, by urządzać zasadzki, otaczać koliskiem zdobycz, zmieniać się podczas pogoni, dzielić łup. Przypatrywał się im z ciekawością, jakby przypatrywał się ludziom, usiłując odgadnąć ich zamiary.

Jedna gromada przeprowiła się przez rzekę wplaw,
inne roz-
biegły się po zaroślach. Słuchać było tylko hieny
pożerające
szczątki Tygrysa.

Księżyc, zmniejszony lecz bardziej świetlany,
zaćmiewał
gwiazdy. Bledsze pozostawały niewidoczne,
jaśniejsze zdawały się
być źle zapalone i jakby przysłonięte mgłą. Puszcza i
sawanna
były ogarnięte jakimś niesamowitym odrętwieniem.
Czasem
sowa znaczyła bruzdę w błękitnym przestworzu,
niezwykle mil-
cząca na swych skrzydłach puchowych, czasem
zielone żabki re-
chotały gromadą, spoczywając na liściach białych
nenufarów lub
siedząc na badyłach. Ćmy zrywające się do
chwiejnego lotu potra-
cały napotkanego nietoperza, który starał się przebić
mrok nocy.

Wreszcie rozległy się wycia. Odpowiedziały sobie
wzdłuż
rzeki i w głębiach gęstwiny. Naoh wiedział, że to wilki
otoczyły

zdobycz. Nie czekał długo, aby się upewnić. Jakieś zwierzę wy-
skoczyło na równinę. Można było pomyśleć, że to koń o wąskiej
piersi, czarna pręga kreśliła jego grzbiet. Rzuciło się z chyżością

52

jelenia, gonione przez trzy wilki, które, mniej bystre od niego,
mogły liczyć jedynie na swą wytrzymałość lub na jakiś wypadek,
aby go dopaść. Zresztą nie dobywały z siebie całej swej szybkości,
odpowiadały tylko w dalszym ciągu na wycie zaczajonych towarzyszy. Niezadługo tamte ukazały się... Duży stepowy osioł był
okrażony. Zatrzymał się na drżących przegubach badając horyzont nim postanowił jaki obrać kierunek. Wszystkie wyjścia były
zagrodzone z wyjątkiem północy, gdzie widniał jedynie stary,
wypłowiąły wilk. Osaczone zwierzę wybrało tę drogę. Stary
wilk, stojąc nieruchomo, pozwolił mu biec. Gdy zwierzę było już

blisko i miało wymknąć się na ukos — zawył
złowrogo. Wtedy
pojawiły się na pagórku trzy inne wilki.

Stepowiec zatrzymał się i zarżał przeciągle. Poczł
dokoła
śmierć i ból. Przestrzeń, na której jego chytróść
potrafiła zniwe-
czyć tyle pożądań, została zamknięta. Jego
przebiegłość, jego
zwinne nogi, jego siła omdlewały jednocześnie.
Zwrócił parokrot-
nie łeb w stronę tych istot, które nie żywiły się ani
trawą, ani liść-
mi, lecz żywym mięsem, z bezwiednym błaganiem.
One zaś, wy-
mienając okrzyki, zacieśniały koło. Ich oczy zionęły
trzydziesto-
ma ogniskami mordy, doprowadzały swą ofiarę do
szału, bały się
jednak jej twardych rogowych kopyt. Te, które
znajdowały się z
przodu, udawały chęć natarcia, aby odwrócić uwagę
osła od bo-
ków... Najbliższe były o parę metrów. Wówczas
osaczone zwie-
rzę, uciekając się raz jeszcze do nóg-oswobodzicieli
skoczyło na
osłep, by złamać i przebyć tę żywą obręcz.
Przewróciło pierwsze-

go wilka, potrafiło drugiego, upajająca dal rozwarła się przed nim. Jednak nowy drapieżnik podchodząc niespodzianie skoczył ku jego bokom, inne wbiły weń swe ostre kły. Zwierzę wierzgało rozpaczliwie. Jakiś wilk z przetrąconą paszczką potoczył się wśród traw lecz gardziel ofiary została rozplątana, jej boki pokryły się purpurą, dwa przeguby trzasnęły w zetknięciu się z kłami. Stepowiec padł pod nawałą paszcz, które pożerały go żywcem.

Jakiś czas Naoh przypatrywał się temu ciału, z którego wydobywały się jeszcze westchnienia, skargi, bunt przeciwko śmierci. Z radosnym skowytom wilki rwały ciepłe mięso i piły gorącą

53

krw. Życie wchodziło bez przerwy w nienasycone kałduny. Czasem któryś ze starych wilków odwracał się, zaniepokojony, ku gromadzie hien, wołałyby one bardziej miękką i mniej jadowitą

zdobycz. Wiedziały jednak, że nawet tchórzliwe zwierzęta nabiera-
ją odwagi, by stanąć w obronie tego, co zdobyły własnym wysiłkiem, wiedziały o pogoni i zwycięstwie wilków. Pozostały więc przy twardym szkielecie Tygrysa.

Księżyc był właśnie w połowie drogi do zenitu. Naoh zdrzemnął się, Gaw wziął na siebie obowiązek czuwania. W oddali widniała niewyraźnie rzeka płynąca w głębokiej ciszy. Nagle powstał zamęt; bory napęłniły się rykiem, krzaki zatrzeszczały, wilki i hieny podniosły wszystkie razem zakrwawione paszcze, a Gaw wysunąwszy głowę w cieniu kamieni wyteżył słuch, wzrok i powonienie. Jakiś krzyk skonu, jakiś urywany pomruk, po czym gałęzie rozwarły się. Trzymając w paszczy daniela Lew Olbrzymi wyłonił się z lasu. Obok niego pokorna jeszcze, aczkolwiek już pufała, ruchem ogromnej jaszczurki sunęła Tygrysyca. Oboje podszli do schroniska ludzi.

**Przejęty trwogą Gaw dotknął ramienia Naoha.
Koczownicy
długo śledzili obu drapieżników: Lew rozdzierał
zdobycz ruchem
jednostajnym i szerokim. Tygrysica miała chwile
niepewności,
nagłego lęku. Rzucała nieufne spojrzenia w stronę
tego, który po-
walił jej samca. A Naoh poczuł, że wielki strach
zżyma mu pierś i
zapiera dech.**

54

Pod głazami bazaltowymi

**Poranek rozjaśnił już ziemię, a Lew Olbrzymi i
Tygrysica
wciąż jeszcze pozostawali na tym samym miejscu. W
promieniach
bladego słońca drzemały koło szkieletu daniela. A
trzej ludzie
spod kamiennego schroniska nie mogli odwrócić
oczu od strasz-**

nych sąsiadów. Jakaś pogodna wesołość spływała na puszcze, sawannę i rzekę. Czaple prowadziły swe młode na połów. Błyskawica perłowa poprzedzała perkozy dwuczubne. Na wszystkich kępach traw i gałęzi zerowało ptactwo. Muśnięta z nagłą falą zaiskrzyła się — zwiastowało to zimorodka, sójka chwaliła się swa suknią błękitna, srebrzystordzawa, to znów rubaszna sroka, skrze-

56

czac na widłowatej gałęzi kołysała ogonem rzucając nim na przemian — to cień, to światło. Tymczasem kawki i wrony krakały na kośćcach osła i Tygrysa. Zawiedzione ogołoconymi z mięsa kośćmi poleciały skośnym lotem ku resztkom daniela. Tam dwa ciężkie popielate sępy zagradzały drogę. Stworzenia te o gołych szyjach, oczach mętnowodnistych nie ośmielały się dotknąć zdobyczy Kotów. Wyciągały swe dzioby o cuchnących nozdrzach, to

cofały je, obchodziły, zbliżały się bokiem bezmyślnie
przestępując
z nogi na nogę lub raptownie podlatując. To znowu
nieruchome
zdawały się pogrążyć we śnie, który przerywało
nagle podrzucenie
głową. Poza ruchliwą wiewiórką, natychmiast tonącą
w listowiu,
nie było widać innych ssących. Zapach Wielkich
Kotów trzymał
je w mroku lub w głębi bezpiecznych kryjówek.

Naoh przypuszczał, że wspomnienie o uderzeniach
oszcze-
pem pobudziło Lwa Olbrzymiego do powrotu,
żałował tego nie-
potrzebnego czynu. Bo Ulhamr nie wątpił, że
drapieżcy potrafią
się porozumieć, żeby kolejno czuwać przy
schronisku. Przez
mózg jego przesuwały się opowiadania, w których
była mowa o
zawziętości zwierząt skrzywdzonych przez
człowieka. Czasem
wściekłość rozsadzała mu pierś, wstawał potrząsając
groźnie ma-
czugą lub toporem. Ten gniew przechodził prędko.
Pomimo swe-
go zwycięstwa nad Szarym Niedźwiedziem uważał
człowieka za

**zbyt słabego by przeciwstawić się wielkim
drapieżnikom. Wy-
bieg, jaki udał się w mroku jaskini, nie udałby się
wobec Lwa
Olbrzymiego i Tygrysicy. Jednak nie widział innego
wyjścia niż
walka. Trzeba będzie zginąć z głodu pod kamieniem
lub skorzys-
tać z chwili, kiedy Tygrysica zostanie sama. Czy
mógł całkowicie
liczyć na Nama i Gawa?**

**Wzdrygnął się jakby z zimna, ujrzał oczy swych
towarzyszy
zwrócone na siebie. Poczul, że trzeba im dodać
otuchy:**

**— Nam z Gawem uniknęli kłów Niedźwiedzia,
unikną rów-
nież pazurów Lwa Olbrzymiego!**

**Młodzi Ulhamrowie zwrócili oblicza ku śpiącej
groźnej pa-
rze.**

Naoh odgadując ich myśl odpowiedział:

— Lew Olbrzymi i Tygryś nie będą ciągle razem.
Głód
rozłączy ich. Gdy Lew pójdzie do lasu zaczniemy
walkę, lecz
Nam i Gaw będą musieli poddać się moim rozkazom!

Słowa wodza napęłniły nadzieją młodzieńców.
Śmierć nawet, o
ile walczyć będą razem z Naochem, wydawała się im
mniej strasz-
na.

Syn Topoli, bardziej skory do mówienia, krzyknął:

— Nam będzie posłuszny aż do śmierci!
Drugi podniósł ramiona:

— Gaw niczego się nie obawia, gdy jest z Naochem!

Wódz spoglądał na nich łagodnie. Z tego spojrzenia
jakby
zstępowała do ich piersi moc świata wzniecając
niezliczne uczucia,
z których ani jedno nie znajdowało odpowiednich
słów. Wydając
okrzyk wojenny Nam z Gawem potrzęsali toporami.

Na czyniony hałas Koty podskoczyły. Koczownicy na
znak

wyzwania głośniejszy zawyli, drapieżcy wydali groźny pomruk...

Zapadła znowu cisza. Światło objęło puszcę. Sen Kotów dodawał pewności szybko przelotnym zwierzętom przechodzącym wzdłuż rzeki.

Sępy co pewien czas chwytaly ochłapy mięsa. Kielichy kwiecica podnosiły się ku słońcu. Życie rozlewało się tak uporczywie i bujne, jakby miało zawładnąć przestworem niebieskim.

Trzej ludzie wyczekiwali z równą cierpliwością jak zwierzęta.

Nam i Gaw w przerwach zasypiali. Naoh powracał do swych przelotnych zamiarów, tak samo jednostajnych, jak zamiary Mamutów, wilków lub psów. Mięsa mieli jeszcze na jeden posiłek, lecz pragnienie poczęło im dokuczać. Dopiero jednak za kilka dni stanie się nie do zniesienia.

Zbliżał się zmierzch, gdy Lew Olbrzymi powstał.

Rzucając groźne spojrzenie na glazy, upewnił się o obecności swych wrogów. Niewątpliwie nie pamiętał już dokładnie zaszłych wypad-

ków, lecz uczucie zemsty rozpalało się i
podtrzymywało wskutek
wyziewów Ulhamrów. Parsknął gniewnie i obszedł
szczeliny
schroniska. Przypomniawszy sobie wreszcie, że te
umocnione ka-
mienię były niedostępne i razily pazurami, przestał
krążyć i za-
trzymał się koło szkieletu daniela, z którego mało co
porwały

58

sępy. Tygrysica już tam była. Nie stracili dużo czasu
na pożarcie
resztek, po czym Lew zwrócił ku Tygrysicy swe
czerwone
czoło. Z dzikiego zwierzęcia promieniowało coś
tkliwego. Tygry-
ska tocząc swe długie ciało po trawie odpowiedziała
miaucze-
niem. Lew pocierając swa paszcza grzbiet
towarzyszki lizał ja
szorstkim a giętkim ozorem. Poddawała się tej
pieszczocie z oczami
na wpeł przymkniętymi, pełnymi zielonkawych
blasków, po
czym dała susa w bok i przybrała postawę niemalże
groźna. Sa-

miec ryknął głosem przytłumionym i łaskawym — w
zmierzchu
igrała Tygryśca. W pomarańczowym oświetleniu
wydawała się
płaszącym płomieniem. Rozpłaszczyła się na ziemi
jak ogromna
jaszczurka, czołgała się i chowała w trawie, by za
chwilę uskoczyć
olbrzymim susem.

Towarzysz jej, z początku nieruchomy, na
wyprężonych czar-
niawych łapach, z oczami czerwieniejącymi od
słońca, rzucił się
ku niej. Uciekła, wślizgnęła się pomiędzy rozłożyste
jesiony, do-
kąd on podążył za nią.

A gdy skryły się, Nam powiedział:

— Odeszły — trzeba przejść przez rzekę.

— Czy Nam nie ma już uszu i węchu? — zapytał
Naoh —
lub może przypuszcza, że potrafi czynić dłuższe
skoki od Lwa
Olbrzymiego?

Nam opuścił głowę. Jakiś zaduch jaskiniowy szedł od
jesio-

nów, co dodawało znaczenia słowom wodza.
Wojownik przyznał,
że niebezpieczeństwo było równie bliskie jak wtedy,
gdy drapież-
cy spali pod głazami bazaltowymi.

Niemniej w sercach Ulhamrów powstał promyk
nadziei.

Lew Olbrzymi i Tygryśca przez sam już swój
związek zaczęły sil-
niej odczuwać potrzebę jakiegoś schronienia,
ponieważ wielkie
drapieżniki rzadko urządzały swe legowiska na gołej
ziemi, zwła-
szcza w porze deszczów.

Kiedy trzech ludzie ujrzeli słoneczne ognisko,
staczające się w
ciemności, doznali tej samej tajemniczej udręki, jaka
w rozległej
krainie drzew i traw przejmuje trawożerców.
Zwiększyła się ona,
gdy spostrzegli jak ich nieprzyjaciele powracają.
Lew kroczył z

59

powagą niemal ociążała, Tygryśca z wesołością
pełną grozy krą-

żyła koło niego w podskokach. W chwili, gdy
zapadała czerwona
słoneczna kula, gdy niezmierne echo odgłosów
wygłodzonych
zwierząt przejmowało dreszczem równinę, powrócili
węszyć na-
dal obecność ludzi. Potworne paszcze przewijały się
tam i z po-
wrotem przed Ulhamrami, zielono-płomienne ślepie
pląsały jak
błędne ognie. Wreszcie Lew przysiadł, a jego
towarzyszka zwin-
nym ruchem skryła się w trawach, by tropić w
zaroślach rzeki.

W toni niebios zaświeciły wielkie gwiazdy. Po czym
prze-
stworza zamigotały małymi nieruchomymi
światełkami i gęsto
rozsiane wysepki drogi mlecznej wyraźnie
zarysowały swe zatoki
i cieśniny błyszczące.

Gaw i Nam nie przyglądali się wcale gwiazdom, lecz
Naoh
był na nie wrażliwy. Jego dusza czerpała z nich
jakieś doskonalsze
rozumienie nocy, ciemności i przestrzeni. Wierzył,
że większość

z nich pojawiała się tylko jako rozżarzony pył
gorejącego stosu,
zmieniając się co noc; wierzył też, że niektóre
powracały stale.
Bezczynność, w jakiej trwał od chwili, gdy stanął na
czatach,
przywracała mu część utraconego wysiłku mięśni.
Naoh marzył
wpatrując się w tę czarną zasłonę, jaką tworzyła
roślinność i w te
nikłe światełka, rozsiane tam w górze. A w sercu jego
rozniecało
się nieokreślone uczucie, które ściślej zespalało go z
ziemią.

Księżyc płynął pomiędzy gałęziami. Oświetlał Lwa
Olbrzy-
miego, który przysiadł wśród wysokich traw i
Tygrysicę żerującą
na sawannie aż pod puszczą, w nadziei napędzenia
jakiejś zwierzy-
ny. Usiłowania te zaniepokoiły wodza.

Tymczasem Tygryśca podeszła tak blisko lasu, że
można by-
łoby wydać walkę jej towarzyszowi. Gdyby siła
Nama i Gawa
była równa jego sile, to Naoh, nie bacząc na
niebezpieczeństwo,

spróbowałby może przygody. Dokuczało mu
pragnienie. Nam
cierpiał bardziej i chociaż nie była to jego kolej
czuwania, nie
mógł zasnąć. Młody Ulhamr otwierał w mroku
zgorączkowane
oczy. Nawet sam Naoh był smutny. Nigdy dotąd nie
odczuwał
aby odległość, jaka dzieliła tę małą wysepkę ludzi od
hordy była
tak znaczna, a poza nią gubił się w okrutnym
bezmiarze. Kształt

60

kobięcy unosił się wokół niego jako siła bardziej
łagodna, bardziej
pewna i bardziej trwała niż siła męska.

Dumając zasnął czujnym snem, który przerywa
najłżejszy
szmer. Gwiezdna noc upływała. Naoh przebudził się,
gdy powra-
cała Tygrysica. Nie przyniosła zdobyczy, wydawała
się znużona.
Lew Olbrzymi powstawszy, jął obwąchiwać ją długo
i on z kolei
ruszył na łowy. Szedł również wzdłuż rzeki,
przesunął się przez

krzaki, dalej pobiegł puszcza. Naoh śledził go
niespokojnie. Już
chciał budzić towarzyszy (Nama zmógł sen), lecz
jakieś nieomylnie
czucie uprzedziło go, że potwór nie był jeszcze zbyt
daleko. W
końcu namyślił się, dotknął pleców swych przyjaciół,
a gdy po-
wstali wyszeptał:

— Czy Nam i Gaw gotowi są walczyć?

Odpowiedzieli:

— Syn Saigi pójdzie z Naohem!

— Nam będzie walczył oszczepem i włócznią!

Młodzieńcy przypatrywali się Tygrysy. Zwierz,
choć wciąż

leżał w pewnym oddaleniu, zwrócony grzbietem do
bazaltowych

głazów nie spał jednak, czuwał. Naoh podczas swej
nocnej zmia-

ny oczyścił po cichu wyjście. Przekonawszy się, że
broń była w

porządku, Naoh wypchnął na zewnątrz najpierw swą
włócznię i

maczugę, po czym z nieustającą ostrożnością
wysunął się sam.

Szcście mu sprzyjało. Wycia wilków i krzyk sowy
przygłuszyły

szmer tarcia ciała o ziemię. Ledwie Naoh znalazł się na łące, już głowa Gawa ukazała się w otworze. Młody wojownik wyszedł nagłym ruchem. Tygrysica obróciła się i wlepiła w nich wzrok. Zaskoczona, nie natarła od razu, tak że z kolei mógł wydobyć się Nam. Wówczas Tygrysica dała susa miauknąwszy jakby z wezwaniem, następnie jąła zbliżać się do ludzi, nie śpiesząc się, pewna że się jej nie wymkną. Oni tymczasem podnieśli włócznie. Najpierw Nam miał cisnąć swoją, potem Gaw, a obaj mieli mierzyć w łapy. Syn Topoli wyzyskał odpowiednią chwilę. Broń świsnęła. Uderzył cokolwiek za wysoko, koło łopatk. Czy odległość była zbyt wielka, czy też ostrze ześlizgnęło się ukośnie. Tygrysica zdało się, nie odczuła żadnego bólu, ryknęła tylko i przyśpieszyła

61

biegu. Z kolei Gaw wyrzucił pocisk. Ale chybił, bo zwierz odsko-

czył w bok. Teraz przyszła kolej Naoha. Silniejszy od swych towarzyszów, mógł zadać głęboka ranę. Cisnął włócznią, gdy Tygrysica znajdowała się w odległości dwudziestu kroków, ugodził ją w kark. I ta rana nie zatrzymała zwierza, wzmogła jedynie jego pęd.

Spadła na trzech ludzi, jak bryła granitu. Gaw runął ugodzony pazurem w pierś. Lecz ciężka maczuga Naoha uderzyła, Tygrysica miała przetrącona łapę. Ryknęła, gdy syn Topoli natarł włócznią. Wygięła się z nadzwyczajną szybkością, rozplaszczyła Nama na ziemi i podniosła się na tylnych łapach, by chwycić Naoha. Potworna paszcza, zwrócona nań, zionęła gorącym, cuchnącym oddechem, jakiś pazur darł go... Maczuga opadła znowu, drapieżnik oszołomiony zawył z bólu. Koczownikowi dało to sposobność aby usunąć się i przetrącić Tygrysicy drugą łapę. Tygrysica zakręciła się w miejscu szukając równowagi, łapami chwy-

tała próżnię, a maczuga Naoha nie przestawała walić po jej członkach. Zwierz padł i Naoh mógłby go dobić, lecz spieszo mu było do rannych towarzyszy. Zastał Gawa stojącego z tułowiem czerwonym od krwi tryskającej z piersi: trzy podłużne rany znały pręgami ciało. Nam leżał ogłuszony. Rany jego wydawały się lekkie, lecz głęboki ból dławił jego pierś i krzyż, nie miał siły powstać. Na pytania Naoha odpowiadał jak człowiek na pół uśpiony.

Wtedy wódz zapytał:

— Czy Gaw może dojść do rzeki?

— Gaw dojdzie do rzeki — wyszeptał młodzieniec. Naoh przypadł do ziemi i przyłożył ucho, po czym długo wdychał powietrze. Nic nie wskazywało, by Lew Olbrzymi przybliżał się, a jak zwykle po gorączce walki, pragnienie stawało się nie do zniesienia. Wódz wziął Nama na ramiona i zaniósł go na brzeg

wody. Tam pomógł Gawowi ugasić pragnienie, napił się sam i napił Nama, wlewając mu wodę dłonią pomiędzy wargi. Następnie z przyciśniętym do piersi Namem, podtrzymując chwającego się Gawa, skierował się z powrotem ku bazaltowym gła-

zom.

62

Ulhamrowie wcale nie umieli pielęgnować ran. Przykrywali je kilkoma liśćmi. Ich intuicja, bardziej zwierzęca niż ludzkie doświadczenie, nakazywała im wybierać zioła co silniej pachnące. Naoh wyszedł narwać liści wierzby i mięty a zrobiwszy z nich miazgę, przyłożył ją Gawowi do piersi. Krew broczyła słabiej, nic nie zapowiadało, by rany miały być śmiertelne.

Odrętwienie Nama przechodziło, chociaż jego
członki, zwła-
szcza nogi, pozostawały bezwładne. I tu Naoh nie
zapomniał słów
stosownych.

— Nam i Gaw walczyli dzielnie... Synowie Ulhamrów
będą
głosić ich odwagę...

Policzki młodzieńców ożywiły się radością, że było
im dane
raz jeszcze oglądać ich zwycięskiego wodza.

— Naoh pobił Tygrysicę — wyszeptał niskim głosem
syn
Saigi — tak jak powalił Szarego Niedźwiedzia!

— Nie masz wojownika równie silnego, jak Naoh! —
wyję-
czał Nam.

Wtedy syn Lamparta powtórzył słowa nadziei z taką
mocą, że
ranni przeczuwali już błogą przyszłość.

— My przyprowadzimy Ogień!
I dodał:

— Lew Olbrzymi jest jeszcze daleko... Naoh pójdzie
poszu-
kać zdobyczy!

Naoh biegał i zawracał po równinie, szczególnie koło
rzeki.

Niekiedy zatrzymywał się przed Tygryśca. Żyła. Z
okrwawione-
go ciała patrzyły błyszczące nienaruszone ślepia.
Śledziła uwijają-
cego się wielkiego koczownika. Rany boków i
grzbietu były lek-
kie, lecz łapy będą mogły wyzdrowieć dopiero po
upływie dłuż-
szego czasu.

Naoh zatrzymał się nad zwyciężona, a że przypisywał
jej
wrażenia podobne ludzkim, krzyknął:

— Naoh połamał łapy Tygryścy... Uczynił ja słabsza
od

wilczycy.

Gdy wojownik podchodził, unosila się, parskając ze
złości i
strachu. Podniósł maczugę:

— Naoh może zabić Tygrysicę, a ona nie może
podnieść na
Naoha nawet jednego pazura!

Naraz dał się słyszeć jakiś niewyraźny szmer. Naoh
poczołgał
się w wysokiej trawie. Pokazały się sarny, uciekające
przed niewi-
docznymi jeszcze psami, których szczekanie było już
.słyszeć.

Skoro poczuły zapach Tygrynicy i człowieka,
skoczyły do wody,
lecz grot oszczepu Naoha przeciął powietrze. Jedna z
saren ugo-
dzona w bok upadła. Naoh szybkimi rzutami
podpłynął do niej.
Dobiwszy ją uderzeniem maczugi, włożył na plecy i
wyciągnię-
tym kłusem poniósł do schroniska, w pobliżu bowiem
poczuł nie-
bezpieczeństwo. Gdy wsuwał się pomiędzy gałęzi,
Lew Olbrzymi
wyszedł z lasu.

5 — Walka...

Ucieczka wśród nocy

Sześć dni upłynęło od walki koczowników z Tygryską. Rany Gawa goiły się, lecz wojownik nie odzyskał jeszcze siły jaka uszła wraz z krwią. Nam zaś, który już przestał cierpieć, miał jedna nogę jeszcze ociężałą. Naoh usychał z niecierpliwości i niepokoju. Każdej nocy nieobecność Lwa Olbrzymiego przeciągała się bardziej, albowiem inne zwierzęta znały coraz lepiej jego legowisko, którego wyziewy przesycaly ciemności puszczy i odstraszały od brzegów rzeki. A że był żarłoczny i nie przestawał żywić Tygryscy, zadanie jego stawało się coraz cięższe. Często oboje cierpieli

66

głód, życie ich było nędzniejsze i bardziej kłopotliwe, niż życie wilków.

Tygryśica powracała do zdrowia. Wlokła się po sawannie powoli i z taką niezręcznością poruszała łapami, że Naoh, ilekroć Lew oddalał się, nigdy nie mógł powstrzymać zwycięskiego okrzyku. Nie chciał jej zabić, ponieważ zabiegi, związane z dostarczeniem dla niej pożywienia, męczyły jej towarzysza i przedłużały jego nieobecność. Pomiędzy człowiekiem a okaleczonym zwierzem nawiązywały się pewne stosunki. Z początku obrazy walki, rozżarzając się na nowo, napęłniały pierś Tygryśicy złością i lękiem. Słuchała z nienawiścią wyraźnego głosu człowieka, tego głosu nierównego i zmiennego, a tak różnego od głosów, które mruczą, wyją lub ryczą. Podnosiła zwarty łeb i pokazywała swą broń straszliwą, która zdobyła jej potężne szczęki.

Człowiek, obracając maczugą lub podnosząc topór, powtarzał:

— Co warte są teraz pazury Tygryśicy? Naoh może połamać

jej zęby maczugą, rozplatać brzuch oszczepem.
Tygrysica jest
słabsza wobec Naoha, niż daniel lub antylopa!

Przyzwyczajala się do jego przemówień, do obrotów,
wyko-
nywanych bronią, wlepiała już rozwarte, zielone,
błyszczące oczy
w tę niesamowitą prostopadłą postać. A chociaż
pamiętała strasz-
ne ciosy maczugi, nie bała się powtórných, bo natura
istot pole-
ga na wierze w trwałość powtarzających się wciąż
obrazów. Ponie-
waż Naoh za każdym razem podnosił maczugę i nie
uderzał nią,
spodziewała się, że więcej nie uderzy. A z drugiej
strony, przekona-
wszy się, że człowiek był groźnym przeciwnikiem, nie
uważała go
już więcej za zdobycz. Wytwarzała się po prostu
pewna zażyłość
pomiędzy nimi, a zażyłość taka u wszystkich
zwierząt jest pewnego
rodzaju wzajemnym porozumieniem. Naoh
ostatecznie znajdował
przyjemność w tym, że Kocica żyje. Zwycięstwo jego
nabierało
dzięki temu większej ciągłości i było okazalsze. Sam
również od-

czuwał w stosunku do niej jakieś nieokreślone przywiązanie.

Nastąpiły dni, gdy podczas nieobecności Lwa Olbrzymiego Naoh nie szedł już sam ku rzece. Gaw włókł się za nim. A ugasi-

67

wszy pragnienie, przynosili Namówi wodę we wklęsłej korze. Zdarzyło się, że piątego wieczora Tygrysica doczołgała się do wody, posiłkując się bardziej ciałem niż łapami i piła z trudem, ponieważ brzeg był pochyły. Naoh z Gawem poczęli się śmiać.

Syn Lamparta mówił:

— Hiena jest teraz silniejsza, niż Tygrysica. Nawet wilki by ją zagryzły!

I napelniwszy wklęsłą korę wodą, takie zuchwalstwo podo- bało mu się, postawił ją przed Tygrysica. Zamruczała cicho i wy- piła. Rozbawiło to tak dalece koczowników, że Naoh powtórzył

to raz jeszcze, po czym żartobliwie krzyknął:

— Tygrysica nie umie już pić z rzeki!

I spodobała mu się jego moc.

Ósmego dnia Nam i Gaw poczuli się na siłach przebyć roz-
taczającą się przed nimi równinę, a Naoh przygotowywał wszystko do ucieczki na noc następną. Noc zapadała wilgotna i cięż-
ka. Gliniasto-czerwony zmierzch długo snuł się w głębi niebios;

trawy i drzewa uginały się pod drobnym, gęstym deszczem, li-
ście spadały, czyniąc szelest, podobny do szelestu nikłych skrzy-
deł lub do brzęczenia owadów. Gromkie skargi wznosiły się z głębin leśnych i z kołyszących się zarośli, bo drapieżniki były smutne, a te, które głód zaspokoili, kryły się w swych lego-
wiskach.

Całe popołudnie Lew Olbrzymi czuł się nieswojo.
Budził się

z dreszczem, wspominał dawne schronisko dobrze
zabezpieczone,
jakby jaskinię, w której pędził życie przed wielkim
przewrotem
żywołów. Teraz wybrał na sawannie zagłębienie,
urządził je części-
ciowo dla siebie, częściowo dla Tygrysicy lecz nie
czuł się w nim
swobodnie. Naoh sądził, że prawdopodobnie tej nocy
Lew, uda-
jąc się na łowy, zacznie jednocześnie szukać jakiegoś
legowiska i
długo będzie nieobecny. Ulhamrowie mieliby dosyć
czasu na
przeprawienie się przez rzekę. Deszcz sprzyjał ich
odwrotowi,
rozmiękczał ziemię, zacierał zapach i ślady, zresztą
Lew Olbrzymi
nie potrafił zręcznie tropić.

Ledwo zmierzch zapadł, Lew począł zerować. Z
początku

68

zbadał otoczenie, przekonał się, że w pobliżu nie było
zdobyczy,
następnie — jak i innych wieczorów — udał się do
lasu. Naoh

wyczekiwał w niepewności, bo przez silną woń wilgotnych roślin niełatwo przenikał zapach drapieżników. Szmer listowia i padających kropel wody rozpraszał słuch. Wreszcie dał znak i stanął na czele wyprawy, podczas gdy Nam z Gawem postępowali za nim, jeden z prawej, drugi z lewej strony. Ten porządek pozwalał lepiej ustrzec się przed spotkaniem i ułatwiał zachowanie ostrożności. Trzeba było przede wszystkim przebyć rzekę. Naoh podczas swych wycieczek znalazł pewne niegłębokie miejsce, którym można było dostać się na środek rzeki. Następnie należało płynąć do skały, u której zaczynał się bród. Zanim przystąpili do przeprawy, wojownicy zatarli za sobą ślady: krążyli jakiś czas w pobliżu rzeki, krzyżując poprzednie i znacząc nowe ścieżki, zatrzymywali się i deptali w taki sposób, aby uwidocznić drogę, jaką pozornie obra-
li. Ostrożność nakazywała wystrzegać się i nie iść wprost do bro-
du: dostali się do niego wplaw. Na drugim brzegu znowu zaczęli

krzyżować kroki, opisując wielkie pętle i dziwaczne krzywizny, w końcu wyszli z tych zakrętów na kupę trawy, wyrwanej z sawanny. Kładli te naręcza zielska jedno przed drugim, usuwając je stopniowo: był to podstęp, którym człowiek przewyższał najbardziej czujnego jelenia i najbardziej przenikliwego wilka. Gdy tak przeszli trzysta do czterystu metrów sądząc, że dosyć uczynili, by zniechęcić do pogoni, rozpoczęli wędrówkę na nowo, ruszając już prosto przed siebie.

Postępowali jakiś czas w milczeniu. Nam z Gawem zagadali do siebie, tymczasem Naoh nastawił uszu. W dali rozległ się ryk, powtórzył się trzy razy, po nim nastąpiło przeciągłe miauczenie.

Nam powiedział:

— To Lew Olbrzymi!

— Idźmy prędzej! — szepnął Naoh.

Zrobili sto kroków w ciszy ciemności, niczym nie zamąco-

nej. W następnej chwili głos zagrział bliżej.

— Lew Olbrzymi jest nad brzegiem rzeki!

Przyspieszyli jeszcze kroku. Teraz poryki następowały po so-

69

bie, urywane, ostre, pełne gniewu i zniecierpliwienia.

Koczowni-

cy poznali, że potwór biegnie poprzez ich skrzyżowane tropy.

Serca ich łomotały w piersi, jak dzięcioł łomocze w korę drzew,

czuli się nadzy i słabi wobec ogromu przytłaczających ich mro-

ków. Z drugiej jednak strony ten cień dodawał im pewności,

ochraniał nawet przed wzrokiem dzikich zwierząt.

Lew mógł iść

jedynie ich śladami, gdyby zaś przeprowił się przez rzekę, musiał-

by podjąć walkę z przebiegłością ludzka — nie wiedziałby, które-

dy oni przeszli.

Groźny ryk rozdarł przestrzeń. Nam z Gawem

przybliżyli się

do Naoha:

— Wielki Lew przebył wodę! — szepnął Gaw.

— Idźcie naprzód! — rozkazał wódz, podczas gdy sam położył się, by lepiej słyszeć drganie ziemi. Raz za razem wybuchały dalsze ryki.

— Wielki Lew jest jeszcze na tamtym brzegu!

Grzmiący głos cichł. Potwór zaniechał pogoni i cofał się ku północy. Było nieprawdopodobne, by inny Wielki Kot poważił się wejść mu w drogę. Zaś Szary Niedźwiedź rzadko już pojawiał się na ziemiach, gdzie Naoh go zwalczył, a tym bardziej było wątpliwe spotkanie go tak daleko i tak bardzo na południe. Zresztą we trzech nie obawiali się ani Lamparta, ani Wielkiej Pantery.

Szli bardzo długo. Deszcz ustał, lecz otaczały ich głębokie ciemności. Gruba ściana chmur zasłaniała gwiazdy. Były jedynie widoczne te słabe świetlane promienie, jakie dobywają się z roślin

lub układają na wodzie. Jakieś zwierzę to parskalo w ciszy, to szeleściło łapami. Jakiś pomruk toczył się po mokrych trawach, żerujące drapieżniki wyły, skowyczały, szczeptały.

Ulhamrowie zatrzymali się, by uchwycić odgłosy i zapachy, które są jakby odbiciem w powietrzu tropów zwierzęcych. W końcu Nam i Gaw poczęli ustawać. Nam czuł osłabienie mięśni, rany Gawa rozpały się. Trzeba było wyszukać jakieś schronienie. Przeszli jednakże jeszcze cztery tysiące kroków. Powietrze stało się wilgotniejsze, przestrzeń oddychała szerzej. Domyślili się, że duża woda była w pobliżu. Wkrótce przekonali się o tym.

70

Zdawało się, że wokoło panuje zupełny spokój. Ledwie jakieś przemijające szelesty świadczyły o ucieczce drobnej zwierzyny, ja-

kieś kształty ukazywały się i znikwały raptownymi
susami. Naoh
wybrał miejsce noclegu przy ogromnej czarnej
topoli. Drzewo nie
mogło dać żadnej obrony od napaści drapieżników,
lecz jakże zna-
leźć w ciemnościach jakiegokolwiek schronienie, które
by jeszcze me
było zajęte? Mech był mokry i powietrze chłodne.
Niewiele to
obchodziło Ulhamrów, ciała ich były równie odporne
na zmiany
powietrza, jak ciało Niedźwiedzi i dzików. Nam z
Gawem roz-
ciągnęli się na ziemi i natychmiast zapadli w głęboki
sen. Naoh
czuwał. Nie był zmęczony, zażył długiego
odpoczynku pod bazal-
towymi głazami, a będąc doskonale zaprawionym do
pochodów,
pracy i walk, postanowił przedłużyć swą kolej
czatów, aby Nam
i Gaw nabrali sił.

CZEŚĆ DRUGA

Ślady ogniska

Długi czas pozostawali koczownicy w tej bezgwiezdnej ciemności, która opóźniała ich ucieczkę. Wreszcie na wschodzie zaczęło sączyć się światło. Rozchodziło się łagodnie wśród obłoków zanim spadło na ziemię, jak wodospad z pereł. Naoh ujrzał jezioro zagradzające drogę na południe. Oko jego nie mogło dostrzec końca wody. Powierzchnia jeziora lekko marszczyła się. Koczownik zastanawiał się, czy należałoby okrążyć je kierując się ku wschodowi, gdzie widział rząd wzgórz, czy też ku zachodowi, który przedstawiał się płasko i bezbarwnie, porośnięty tu i ówdzie drzewami.

73

Światło było jeszcze słabe, świeży powiew płynął miękko od ziemi ku falom jeziora. Wysoko, na wyżynach, zerwał się silny wiatr pędząc i dziurawiąc obłoki. Księżyc w ostatniej kwadrze za-

rysował się już wśród strzępiastych mgieł. Wkrótce
na wielkie
błękitne sklepienie wypłynął jego łukowaty kształt.
Dla wnikliwej
źrenicy Naoha okolica była dostępna aż po sam
widnokrąg. Na
wschodzie wódz rozróżniał stoki wzgórz, pasma
drzew ciągnące
się półksiężycem, którego rogi zacierały się
stopniowo w dali, jak-
by wskazując drogę. Ku południowi jezioro toczyło
swe wody
bez końca.

Zapanowała cisza, która zdała się rozlewać od
gładkiej toni
wód aż po srebrzysty miesiąc. Powiew wiatru tak
osłabł, iż zaled-
wie od czasu do czasu dochodziły uszu lekkie
poszmery roślinnoś-
ci.

Znużony bezczynnością, żądny wrażeń Naoh wyszedł
z cie-
nia topoli i błędził wzdłuż brzegu. Okolica ta
rozpościerała się sze-
roko, to zwężała, granice wschodnie jeziora widniały
dokładniej,
liczne ślady wskazywały, że przechodziły tędy stada
oraz płowe

zwierzęta.

Nagle koczownikiem wstrząsnął dreszcz. Staął.
Oczy i
nozdrza jego rozszerzyły się, serce poczęło silniej bić
z niepokoju,
a zarazem z niesamowitego zachwytu. Wspomnienia
tłoczyły się
z tak zawrotną siłą, że zdało mu się, iż ujrzał płomień
obozowiska
Ulhamrów i gibki kształt Gamli. W łonie zielonej
trawy widniała
halizna z na wpół zwęglonymi głowniami i gałęziami,
wiatr nie
rozzucił jeszcze białawego prochu popiołu. Naoh
wyobraził sobie
błogi spokój postoju, zapach pieczonego mięsa, miłe
gorąco i rude
podskoki płomienia, lecz jednocześnie widział i
wroga.

Pełen lęku, jednocześnie przezorny, ukląkł, by lepiej
zbadać
ślady nieznanych włóczęgów. Wkrótce już wiedział,
że było ich
co najmniej trzy razy tyle, ile palców u jego obu rąk,
nie było zaś
kobiet, ani starców i dzieci. Prawdopodobnie była to
jedna z tych

wypraw, jakie wysyłają czasami hordy na dalszą odległość. Stan, w jakim znalazł kości ogryzione i kawałki żył, wskazywał na słusność jego pierwotnych przypuszczeń.

74

Dla Naoha ważne było dowiedzieć się skąd przybyli myśliwi i którędy przeszli. Obawiał się, żeby nie należeli do plemienia Pożeraczy Ludzi, którzy od czasu młodości Gouna zajmowali obszary południowe po obu stronach Wielkiej Rzeki.

Plemię to przewyższało wzrostem nie tylko Ulhamrów, ale i wszystkie inne plemiona, jakie spotykali wodzowie i starcy. Oni jedyni żywili się mięsem podobnych sobie istot, nie przedkładając go jednak nad mięso jeleni, dzików, danieli, saren, koni i osłów. Liczebność owego plemienia nie zdawała się być wielka. Nie sły-

szano by istniało ich więcej niż trzy hordy, podczas
gdy Mag, syn
Rysia, największy wędrowiec wśród Ulhamrów,
spotykał wyłącz-
nie hordy, które nie jadły ludzkiego mięsa.

Naoh, przebiegając myślą te wspomnienia, nie
zaniedbywał
badania śladów pozostawionych na ziemi i wśród
roślinności. Za-
danie było łatwe, albowiem ci co się wtedy wałęsali,
ufni w swą li-
czebność, nie dbali o to, by ukrywać swą drogę.
Postępowali
wzdłuż jeziora ku wschodowi i starali się
prawdopodobnie dotrzeć
do brzegu Wielkiej Rzeki.

Dwa pomysły równocześnie przyszły do głowy
koczownikowi. Dogonić wyprawę, zanim dojdzie ona do swych
obszarów łow-
wieckich i podstępem wyrwać Ogień lub wyprzedzić
ją, a zbliży-
wszy się do hordy, pozbawionej swych najlepszych
wojowników,
wyczekiwać sprzyjającej chwili.

A zatem, aby nie obrać niewłaściwej drogi, należało najpierw

postępować pozostawionym śladem. I pierwotna wyobraźnia nie przestawała widzieć włóczęgów, unoszących ze sobą poprzez wody, góry i stepy największą moc, jaka była w posiadaniu człowieka. Dumania Naoha posiadały dokładność rzeczywistości, były one pełne czynu, pełne siły rzutu, pełne stanowczych ruchów. Długo czatownik poddawał się im... tymczasem podmuch wiatru ścichał, opadał, zanikał od listka do listka, od źdźbła do

źdźbła...

76

W obliczu wrażego Ognia

Ulhamrowie od trzech dni podążali śladem Pożeraczy Ludzi.

Z początku szli wzdłuż jeziora aż do pasma pagórków, po czym wstąpili w krainę pokrytą na przemian trawą i drzewami. Zadanie mieli łatwe, ponieważ włóczędzy postępowali opieszale i rozniecali wielkie ogniska, by upiec zdobycz lub chronić się przed chłodem mglistych nocy.

Naoh zaś odwrotnie — wciąż uciekał się do różnych podstępów, aby zwieść tych, co mogliby iść za nim. Wybierał twardy grunt, sprężyste trawy, na których ślad nie pozostawał, korzystał z koryt strumieni, przechodził brodem lub wpływ niektóre zakrę-

77

ty jeziora, a niekiedy wikłał swe tropy. Pomimo tych ostrożności zbliżał się. W końcu trzeciego dnia znajdował się już tak blisko Pożeraczy Ludzi, że uważał za możliwe dojść ich w ciągu jednego nocnego pochodu.

— Niech Nam i Gaw przygotują swą broń i odwagę
— po-
wiedział — dziś wieczór ujrzą znowu Ogień!

Młodym wojownikom, czy to gdy rozmyślali o
radości uj-
rzenia skaczących płomieni, czy też gdy myśleli o sile
nieprzyja-
ciół, dech to się wzmagał, to znów im w piersi
zamierał.

— Odpoczniemy najpierw! — mówił dalej syn
Lamparta
zbliżywszy się do Pożeraczy Ludzi podczas ich snu
— a potem

stojących na czatach postaramy się podejść.

Nam z Gawem pojęli, że są w pobliżu
niebezpieczeństwa

groźniejszego od wszystkich dotychczasowych.
Legenda o Poże-
raczach Ludzi była przerażająca. Siłą, śmiałością i
okrucieństwem
przewyższali wszystkie znane hordy. Kilka razy
Ulhamrowie na-
padali zniemacka i wytępili mniejsze oddziały.
Najczęściej jednak

Ulhamrowie padali pod razami ich ostrych toporów i maczug dębowych. Zdaniem starego Gouna pochodzili oni od Szarego Niedźwiedzia. Ręce mieli dłuższe niż inni ludzie, ciała ich były pokryte włosiem tak samo, jak ciało Aghoo i jego braci. A ponieważ zjadali trupy swych wrogów, przejmowali trwogą hordy bojaźliwe.

Gdy syn Lamparta przestał mówić, Nam i Gaw, drżąc całym ciałem, pochyłili głowy, po czy legli, by zażyć spoczynku.

Wstali nim miesiąc pobielił głębię nieba. Naoh już uprzednio rozpoznał szlak, nie tracąc więc czasu poszli w ciemnościach. Gdy księżyc wypłynął na niebo zauważyli, że zboczyli z właściwej drogi, lecz wkrótce odnaleźli ją. Stopniowo przedzierali się przez • kolczaste krzaki, przeszli wzdłuż moczarów i przeprawili się przez rzekę.

**Wreszcie z wierzchołka jakiegoś pagórka, ukryci
wśród gę-
tych traw, przejęci ogromnym wzruszeniem ujrzeli
Ogień.**

**Nam z Gawem zadrżeli. Naoh stał nieruchomo, nogi
miał
zmęczone, oddech w nim grał. Po tylu nocach
spędzonych w zim-
nie, na deszczu i w ciemnościach, po tylu walkach —
głód, prag-**

78

**nienie. Niedźwiedź, Tygrysica i Lew Olbrzymi —
zjawiał się na-
reszcie ten olśniewający Znak Potęgi Ludzi.**

**Na równinie porośniętej drzewami terpentynowymi i
jawo-
rami, niedaleko od bagniska zarzyło się półkoliste
ognisko, które-
go płomienie tliły się wzdłuż głowni. Rzucalo ono
blask, który
przenikał, pogrążał a zarazem ożywia! wszystkie
kształty.**

**Szarańcze czerwone, świetliczki z rubinów, z
karbunkułu lub**

topazów zamierały w powiewie cichego wiatru.
Szkarłatne skrzyd-
ła pękały rozszerzając się, kłęby dymu wzbiły się
nagle wężyko-
wato i rozpląszczyły w świetle księżyca, niektóre
płomyki podno-
siły się niby żmije, drgały jak fale, strzępiły jak
obłoki.

Ludzie spali okryci skórami jeleni, wilków,
muflonów sierś-
cią do wewnątrz. Topory, maczugi i dzidy leżały
rozrzucone na
sawannie. Dwóch wojowników czuwało. Jeden z
nich, siedząc na
stosie suchego drzewa, z zarzuconą na ramiona
skórą kozła trzy-
mał rękę na oszczepie. Na twarzy jego zarośniętej po
oczy wło-
sem, podobnym do sierści lisa, świeciła miedziana
pręga. Skóra
jego, pokryta kudłami, przypominała runo
muflonów. Pod spłasz-
czonym nosem o okrągłych nozdrzach wydatne
wargi tworzyły
ogromną ssawkę. Dwoje długich rąk jak u Ludzi
Drzew zwisało
po bokach, nogi krótkie, grube i łukowate były
podgięte.

**Drugi wojownik obchodził leniwie ognisko.
Zatrzymywał
się co jakiś czas, nadstawiał uszu, badał nozdrzami
wilgotne po-
wietrze opadające na ziemię w miarę, jak wznosiły
się nagrzane
opary. Postawą dorównywał Ulhamrowi, czaszkę
miał ogromną
o uszach wilka, spiczastych i ruchomych; gęste włosy
i zarost po-
przedzielane były kępami skóry koloru szafranu;
oczy to błyszczą-
ły w mroku, to krwawiły się odblaskiem płomienia;
piersi miał
strome, brzuch płaski; udo, szerokie u nasady,
zweźało się ku
przegubowi, goleń miał jak ostrze topora, a stopy
były małe, gdy-
by nie długość wielkich palców. Cała postać, ciężka,
przypomina-
jąca budowę bizona, wskazywała na niezmierną siłę,
ale też na
mniejszą niż u Ulhamrów zdolność do biegu.**

**Czatownik stanął. Wyciągnął głowę w kierunku
pagórka.
Prawdopodobnie zaniepokoiła go jakaś niewyraźna
woń, w której**

nie poznawał zapachu ni zwierząt, ni ludzi ze swej
hordy, towa-
rzysz zaś jego nie obdarzony tak czułym
powonieniem drzemał.

— Znajdujemy się za blisko Pożeraczy Ludzi! —
cicho zau-
ważył Gaw. — Wiatr niesie ku nim nasz ślad.

Naoh skinął głowa, bardziej bowiem lękał się ich
powonienia

niż wzroku lub słuchu.

— Trzeba stanąć pod wiatr!— rzucił z cicha Nam.

— Wiatr idzie drogą Pożeraczy Ludzi! —
odpowiedział

Naoh. —Jeżeli go obejdziemy, to oni będą szli za
nami.

Nie miał potrzeby tłumaczyć swej myśli. Nam z
Gawem
wiedzieli równie dobrze, jak płowe zwierzęta, że
zdobyczy nie na-
leży wyprzedzać, a postępować za nią, chyba że się
przygotowuje

zasadzkę.

**Czatownik tymczasem przemówił do swego
towarzysza, lecz**

**ten zrobił ruch przeczący. Zdawało się, że tamten
również siądzie,
ale widocznie rozmyślił się, bo poszedł w kierunku
pagórka.**

— Trzeba się cofnąć — szepnął Naoh.

**Szukał wzrokiem jakiejś kryjówki, która mogłaby
osłabić ich
wyziewy. Gęsty krzak rósł koło szczytu. Ulhamrowie
zaszyli się
woń, a że wiatr był łagodny, przeto załamywał się i
unosił woń
zbyt słabą, by zdołała podrażnić ludzkie powonienie.
Wkrótce
czatownik przystanął, pociągnąwszy parę razy
mocno powietrze,
zawrócił do obozowiska.**

**Ulhamrowie pozostawali dłuższy czas nieruchomo.
Syn
Lamparta z oczami zwróconymi na słabnące światło
ogniska prze-
myśliwał wybiegi.**

Silił się jednak na próżno. Bo jeżeli najmniejsza
przeszkoda
zwodzi przenikliwy wzrok, jeżeli można iść po stepie
dość cicho,
by oszukać antylopę lub osła, to wyziewy
rozchodzące się podczas
pochodu, jedynie odległość i wiatr przeciwny mogą
skryć.

Dało się słyszeć skamlenie szakala. Wielki koczownik
pod-
niósł głowę. Słuchał z początku w milczeniu, po czym
zaśmiał się

z cicha:

— Oto jesteśmy w krainie szakali — rzekł. — Nam z
Ga-
wem spróbują zabić jednego z nich.

80

Towarzysze zwrócili ku niemu zdziwione twarze.

iMówił da-

lej:

[

— Naoh będzie czuwał w tym oto krzaku. Szakai jest
równie

przebiegły jak wilk. Nigdy człowiek nie zdołałby
zbliżyć się do
niego. Lecz jest on wiecznie głodny. Nam i Gaw
położą kawał
mięsa i będą czekać w pobliżu. Szakal podejdzie i
oddali się. Na-
stępnie znów zbliży się i zawróci; po czym zacznie
krążyć wokół
was i mięsa. Jeżeli nie poruszycie się, jeżeli wasza
głowa i ręce za-
mienią się w kamień, upłynie jeszcze długa chwila,
zanim rzuci się
na mięso. Przyskoczy — i już go nie będzie. Wasza
włócznia win-
na być szybsza od niego.

Nam z Gawem udali się na poszukiwanie szakali.
Tropienie ich
nie przedstawiało trudności, albowiem zdradza je
głos, wiedzą,
iż żadne zwierzę nie poszukuje ich jako zdobyczy.
Dwaj Ulham-
rowie spotkali się z nimi koło grupy drzew
terpentynowych.
Cztery szakale coraz doskakiwały do kupy kości, z
których wy-
żarły już wszystkie włókna. Nie uciekły przed
ludźmi, utkwily w
nich swe ruchliwe źrenice, zaskomlały cicho gotowe
do odwrotu

z chwilą, gdy osądzą, że przybysze nadto się zbliżyli.

Nam z Gawem postąpili według wskazówek Naoha.

Położyli

na ziemię ćwiartkę sarniny i oddaliwszy się

zneruchomieli na po-

dobieństwo pni drzew terpentynowych. Szakale

poczęły krążyć

drobnymi krokami po trawie. Obawa ich ustawiała

wobec zapa-

chu mięsa. Pomimo, że się im często zdarzało spotkać

pionowe

zwierzę, ani jedno z nich nie doświadczyło jego

przebiegłości.

Wszelako uważając, że jest ono silniejsze od nich,

szły za nimi w

przyzwoitej odległości. A ponieważ ich zmysły były

wyczulone i

wiedziały, że niebezpieczeństwo ani w świetle, ani w

ciemność-

ciach nie ustaje, zachowywały się nieufnie. Więc

długo obchodziły

Ulhamrów, długo kołowały, czaiły się za drzewami

terpentyno-

wymi, to wypadały, często okrążając nieruchome

postacie. Księ-

życ już poczerwieniał na wschodzie, zanim

wątpliwości ich i cier-

pliwość wyczerpały się. Poczęły na koniec śmieiej

podchodzić.

**Zbliżały się na dwadzieścia kroków do przynęty.
Długo zatrzy-
mywały się' mrużąc, wreszcie ich pożądlwość
przebrała miarę;**

— Walka..

81

**postanowiły rzucić się wszystkie razem, aby żadne z
nich nie zys-
kało przewagi nad innymi. Było to wykonane z tą
samą szyb-
kością, o której mówił Naoh. Lecz włócznie były
jeszcze szybsze
— przebiły boki dwóch szakali, podczas gdy reszta
unosila zdo-
bycz; po czym topory dokończyły tego, co było
jeszcze żywe w
ranionych zwierzętach.**

**Gdy Nam i Gaw przynieśli swą zdobycz, Naoh
zaśmiał się:**

**— Teraz będziemy mogli oszukać Pożeraczy Ludzi,
bo woń**

szakali jest silniejsza od naszej.

Ogień, nakarmiony konarami i gałęziami, przebudził się. Na

równinie wznosiły się jego żarłoczne i dymne płomnienie. Było widać teraz wyraźniej rozciągniętych, śpiących wojowników, broń i zapasy. Dwaj nowi czatownicy zastąpili poprzednich, siedzieli z opuszczonymi głowami, nie podejrzewając niebezpieczeństwa.

— Tych — rzekł Naoh, przypatrzywszy się im z uwagą —

będzie łatwiej zaskoczyć... Nam z Gawem polowali na szakale, teraz z kolei syn Lamparta zapoluje.

Zszedł z pagórka, unosząc ze sobą skórę jednego z szakali, i

znikł w zaroślach, rosnących ku zachodowi. Z początku oddalał się od Pożeraczy Ludzi, żeby go przed czasem nie odkryli. Przebył gąszcz, przeczołgał się przez wysokie trawy, przeszedł wzdłuż

ocienionego sitowiem i łożyną ogniska, skręcił pomiędzy lipami i znalazł się w końcu w krzaku o czterysta kroków od ogniska.

Czatownicy nie poruszyli się. Być może któryś z nich zwęszył szakala, co jednak nie mogło zbudzić żadnych podejrzeń.

I Naoh nappełnił swe oczy wszystkimi szczegółami obozowiska.

Zdał sobie najpierw sprawę z liczby i budowy wojowników.

Wszyscy prawie wykazywali budzące podziw mięśnie: potężne

piersi, długie ręce i krótkie nogi. Ulhamr pomyślał, że żaden

z nich nie wyprzedziłby go w biegu. Następnie zbadał ukształto-

wanie terenu. Pusta przestrzeń, gdzie ziemia była naga, oddzielała

go na prawo od niewielkiego kopca, poza nim rosło kilka drzew,

dalej pasmo wysokich traw zbaczające w lewo.

Trawa ta, niby

przyłodek, ciągnęła się aż po samo ognisko.

Naoh nie wahał się długo. Ponieważ czatownicy obróceniu byli do niego prawie że tyłem, podczołgał się najpierw do kopca. Nie mógł przyśpieszać. Przy każdym ruchu czatowników zatrzymywał się rozplaszczony jak płaz. Miał wrażenie jakby muskały go jakieś miękkie ręce — podwójne światło: ogniska i księżyc. Wreszcie dotarł pod osłonę, a przemknąwszy poza drzewami, przebył pasmo trawy i "stanął w pobliżu Ognia.

Śpiący wojownicy otaczali go prawie koliskiem. Większość z nich była nie dalej, jak na rzut włócznią. Gdyby czatownicy przy jego niezręcznym ruchu wydali okrzyk trwogi, zostałby pojmany. Tymczasem miał on jedną sprzyjającą okoliczność — wiatr dął w jego kierunku, unosząc i pogrążając jednocześnie woń jego i skóry szakala. Nadto czuwający jakby drzemali, zaledwie od czasu do czasu podnosili głowy...

Naoh ukazał się w pełnym świetle, dał lamparciego susa, wy-

ciągnął rękę i chwycił głownię. Już nawracał ku
pasmu trawy, gdy
rozległo się wycie. Natenczas jeden z czatowników
rzucił się ku
niemu, drugi zaś cisnął włócznię. Prawie
równocześnie zerwało
się z dziesięć postaci.

Zanim którykolwiek z Pożeraczy Ludzi puścił się w
pogoń,
Naoh przebył już linię, po której można było
przeciąć mu od-
wrót. Wydając okrzyk wojenny, biegł wprost ku
pagórkom,
gdzie oczekiwali go Nam i Gaw.

Kzamowie rozproszeni następowali warkocząc jak
dziki. Po-
mimo swych krótkich nóg biegli szybko, nie na tyle
jednak, by
doścignąć Ulhamra, który potrząsając głownią
wyprzedził ich sa-
dząc jak Jeleń Olbrzymi. Dosięgną! pagórka,
pozostawiając ich o
pięćset kroków poza sobą, zastał Nama i Gawa,
stojących w po-
gotowiu.

— Uciekajcie przed siebie! — krzyknął.

**Ich smukłe postacie puściły się ze wzgórza z
chyżością dorów-
nującą chyżości wodza. Naoh radował się, że
przedłożył tych gib-
kich młodzieńców nad bardziej dojrzałych i rosłych
wojowników.**

**Wyprzedzając bowiem Kzamów, nadrabiali przy
każdyh dziesię-
ciu skokach po dwa kroki. Syn Lamparta biegł za
nimi bez wysił-**

l

83

**ku zatrzymując się niekiedy, by zbadać głównię.
Jego wzruszenie
rozdwajało się pomiędzy niepokojem przed pogonią,
a pragnie-
niem, by nie uronić swej zarzącej się zdobyczy, dla
której prze-
trwał tyle cierpień. Płomień zgasł. Pozostało jedynie
czerwone
światelko, co z ledwością wgryzało się w wilgotne
wnętrze drze-
wa. Jednakże było ono na tyle żywotne, że Naoh ufał,
iż na**

pierwszym postoju zdoła je rozniecić i nasycić.

**Gdy miesiąc przebył trzecia część swej drogi,
Ulhamrowie
znaleźli się przed siecią bagnisk. Ta okoliczność była
dla nich
sprzyjająca. Poznawali raz już przebyta drogę, która
wskazała im
obecność Kzamów, wąska, wijąca się, lecz pewna na
podkładzie z
porfiru. Weszli na nią bez wahania i zatrzymali się.**

**Z trudnością mogłoby na niej stanąć dwóch ludzi
obok sie-
bie, zwłaszcza do walki; Kzamowie musieliby bądź to
narazić się
na wielkie niebezpieczeństwo, bądź też obejść tę
placówkę; w każ-
dym razie Ulhamrom byłoby łatwo ich wyprzedzić.
Naoh, roz-
ważając te możliwości swoimi południowymi
zmysłami zwierzę-
cia i człowieka wiedział, że miał dosyć czasu, by
rozniecić Ogień.
Żarząca się część głowni jeszcze bardziej się
skurczyła, ciemniała i
traciła blask.**

**Koczownicy szukali trawy i suchego drzewa.
Powiędłe trzci-**

ny, poźółkłe sitowia, uschnięte gałęzie wierzby leżały tu w obfitości, lecz cała roślinność była wilgotna. Otarli kilka gałązek o cienkich końcach, trochę liści i źdźbeł trawy.

Zamierający acz żarzący się jeszcze węgielek ledwie ożywał się pod tchnieniem wódza. Parokrotnie końce traw rozjaśniły się słabym światłem, które na chwilę zwiększało się, zatrzymywało się i konało zwalczane przez parę wódza. Wtedy przyszła myśl Naohowi, by użyć sierści szakala. Wyrwał jej kilka garści i próbował ją zatlić. Nieco włosia poczerwieniało. Radość i lęk przytłaczały Ulhamrów, za każdym razem, pomimo nieskończonych ostrożności, wężutkie, nierówne drgania płomyka ustawały i gasły. Nie było już nadziei! Spopieliała głównia rzucała za ledwie nikły blask, zamierała już ostatnia szkarłatna cząsteczka, z początku wielkości, osy, potem muchy, wreszcie jak te drobniutkie owady,

co się unoszą na powierzchni błot. W końcu wszystko zgasło.

Bezgraniczny smutek zmroził duszę Ulhamrów —
obnażył ja.

To słabe światełko było jednak wspaniała
rzeczywistością
świata. Miało ono rosnać, miało ono osiąść potęgę i
trwałość, mia-
ło żywić ogniska postojów, przerażać Lwa
Olbrzymiego, Tyg-
rysa, Niedźwiedzia Szarego, zwalczać ciemności i
wytwarzać w
ciałach rozkoszną błogość. Byliby przyprowadzili
owo olśniewa-
jące światło do hordy, a horda uznałaby ich moc...
Otóż, ledwo
zdobyte, już skonało, a Ulhamrów po zasadzkach
ziemi, wód i
zwierząt czekały jeszcze zasadzki ludzi.

Na brzegach Wielkiej Rzeki

Naoh uciekał przed Kzamami. Dziesięć dni trwała
już pogoń.

Była zaciekła, uporczywa, pełna podstępów.

Pożeracze Ludzi, czy

to przez troskę o przyszłość — Ulhamrowie mogli być wywiadowcami jakiejś hordy — czy też z potrzeby niszczenia lub nienawiści do obcych jak szaleni naprężali swe siły. Wytrzymałość uciekających nie ustępowała ich szybkości. Mogliby codziennie wyprzedzać swych prześladowców o pięć do sześciu tysięcy kroków. Lecz Naoh zawział się zdobyć Ogień! Co noc, upewniwszy się, że Nam i Gaw oddalili się dostatecznie, krążył wokół nieprzyjacielskiego obozowiska. Sen jego był krótki acz głęboki. Jako że prze-

87

bieg tej pogoni wymagał licznych odchyień od właściwej drogi, syn Lamparta był zmuszony zbaczać znacznie ku wschodowi i to tak dalece, że ósmego dnia spostrzegł Wielką Rzekę. Było to na szczycie stożkowatego pagórka utworzonego z porfiru, w którym powodzie, ulewy, rozwijająca się roślinność poszarpały krawę-

dzie, wyźłobiły szczeliny, poobrywały głązy, lecz
który przez
mnogie jeszcze tysiąclecia zdoła się oprzeć
podstępnej cierpliwości
i nieubłaganym ciosom żywiołów przyrody.

Szeroka rzeka toczyła swe spienione fale. Poprzez
tysiące kra-
in kamieni, traw i drzew wypijała źródła, połykała
strumienie, po-
żerała dopływy. Dla niej gromadziły się lodowce w
ponurych
wglębieniach gór, dla niej źródła przeciekały do
pieczar, potoki
źłobiły granity, piaskowce i wapienie, dla niej
chmury wyciskały
swe olbrzymie, lekkie ggbki, wodospady zaś w swych
gliniastych
źłobowiskach rwały w pośpiechu. Świeża, spieniona i
bystra, któ-
ra tylko poskramiały brzegi, rozlewała się jeziorami
na płaszczyz-
nach lub sączyła się przez bagniska. Otaczała wyspy,
grzmiała
wodospadami lub łkała, rwać po kamieniach. Pełna
życia, użyż-
niała życie nieustające. Od stref ciepłych do
chłodnych, od pokła-
dów przedpotopowych do gleb ubogich pojawiały się
na jej brze-

**gach niezliczone rodzaje drzew. Hordy drzew
figowych, oliw-
nych, sosnowych, terpentynowych, więzozółdów,
pokolenia ja-
worów, platanów, kasztanów, klonów, buków i
dębów, stada
leszczyny, jodeł, jesionów, brzoź, rzędy topoli
białych, czerw-
nych, szarych, srebrzystych, osik i rody olch, wierzb
białych,
purpurowych, zielonych i płaczących.**

**W jej głębiach poruszał się niemy tłum mięczaków,
ukrytych
w swych schroniskach wapiennych i w konchach
perłowych, sko-
rupiaków o członkach opancerzonych, ryb
bystropletwych, które
jednym zgięciem ciskały się poprzez wartkie wody z
równa szyb-
kością, jak mknie ptak w obłokach, ryb płaskich, co
leniwie plus-
kają się na dnie błotnistym, gadów giętkich jak
trzcina lub nie-
mrawych, szorstkich i grubych.**

**Zależnie od pory, od okoliczności wywołanych burza,
siłami
przyrody lub walka, opadały na rzekę klucze żurawi,
gromady**

spasionych gęsi, stada kaczek zielonopiórych,
cyranek, czarnych
kaczek, siewek i czapli, tłumy jaskółek i mew, dropie,
bociany,
łabędzie, flandryjczyki, kuliki, derkacze, zimorodki,
niewyczerpa-
ny zlot wędrownych ptaków. Sępy, kruki, wrony
rozkoszowały
się obfita padlina. Orły czuwały na krańcach
obłoków, sokoły
szybowały na swych śmigłych skrzydłach, jastrzębie
lub pustułki
przelatywały nad wysokimi szczytami, kanie
zjawiały się przelot-
nie nieoczekiwane i tchórzliwe a wielki puchacz,
puszczyk i sowa
pruły ciemności na swych skrzydłach milczenia.

Niekiedy dostrzegało się jakiegoś hipopotama,
kołyszącego
się jak pień klonowy, kuny przemykające wśród
łoziny, szczury
wodne o czaszkach królików, nadbiegające lękliwe
gromady jele-
ni, danieli, saren, Jeleni Olbrzymich, lekkie stada
antylop, osłów

stepowych i koni, gęste zastępy Mamutów, Turów i Żubrów.

Nosorożec pogrążył w zatoce swój ciemny pancerz, dzik znęcał

się nad starymi wierzbami, Niedźwiedź Jaskiniowy pokojowo u-

sposobiony, ogromny, toczył swe niemrawe cielsko.

Ryś, Pante-

ra, Lampart, Szary Niedźwiedź, Tygrys, Lew Żółty i Lew Czarny

czaiły się w zasadzkach lub rwały drgająca jeszcze zdobycz. Cuch-

nąca woń zdradzała lisa, szakala i hienę. Tłuszcza wilków i psów

wyęczała przeciw słabym, rannym lub znużonym zwierzętom cały

swój upór i ostrożna przebiegłość. Wszędy roił się drobny tłum

zajęcy, królików, dużych myszy polnych, susłów, łasic i kosza-

tek..., ropuch, żab, jaszczurek, żmij i węży...,

robaków, poczwerek

i gąsienic..., szarańczy, mrówek i szczypawek...,

wołków, panien i

krówek..., trutni, os, pszczoł, trzmieli! much...,

rusalek, sfinksów,

bielinek, ciem, świerszczy, świetliczek, pajaków,

karaluchów...

Rzeka unosiła ze sobą zgniłe drzewa, piaski, gliny,
szkielety,
liście, łodygi, korzenie.
I Naoh kochał te groźne wody.

Przyglądał się, jak spływały w gorączce jesiennej —
w jakimś
nieustającym wylewie. Potrącały o wyspy i uderzały
o brzegi sza-
lone wodospady z piany, to długie, płaskie jak jeziora
po-
wierzchnie, to leje szyfrowe lub malachitowe, to fale
perłowe, to
znów wiry dymne, to grzbiety o białych grzywach...
przeciągła

89

wrzawa młodości, gwałtownego rzutu i podniecenia.

Woda tak samo, jak Ogień wydawała się Ulhamrowi
istotą
wieloraka. Tak jak Ogień zamiera ona, zwiększa się,
wyłania z
niewidzialnej czeluści, rzuca się w dal przed siebie,
pożera zwie-
rzęta i ludzi, spada z nieba i napelnia ziemię;
niezmordowanie niszczy
skały, porywa kamienie, piach i glinę. Ani jedno
stworzenie

**i roślina nie może żyć bez niej. Świszczę, krzyczy,
ryczy, śpiewa,
śmieje się, łka, przenika tam gdzie nie przeniknąłby
najmniejszy
owad, słycać ją pod ziemia. Zupełnie nikła w
źródle, rośnie w
strumieniach, dopływy rzek są silniejsze od
Mamutów, a ona roz-
legła jest jak las. Woda śpi w moczarach, wypoczywa
w jeziorze,
podażą wielkimi krokami w rzece, rzuca się w
potoku, daje skoki
Tygrysa lub muflona, gdy napotyka w swym biegu
oporne ka-
mienie.**

**Tak czuł Naoh stojąc nad toczącymi się wodami, co
zdawały
się niewyczerpane. Tymczasem jednak należało się
ukryć. Wyspy
dawały schronienie przed napaścią zwierząt, lecz nie
przed napaś-
cią ludzi, poza tym krępowałyby ruchy, czyniłyby
prawie niemoż-
liwym zdobycie Ognia i narażałyby na wszelkie
zasadzki. Naoh
wybrał wybrzeże. Umieścił się na skale szyfrowej,
która części-
wo panowała nad okolica. Zbocza jej były strome,
górna część**

tworzyła płaszczyznę, gdzie mogło rozłożyć się
dziesięciu ludzi.

Przygotowania do obozowiska ukończono przed
zmiernem. Odległość pomiędzy Ulhamrami a pogonię
była na tyle
znaczna, że mogli się nie obawiać przynajmniej do
północy.

Powietrze było chłodne. Na szkarłatnym zachodzie
pełzały
nieliczne obłoki. Wojownicy posilając się surowym
mięsem, orze-
chami i grzybami, wpatrywali się nieustannie w
czerniejącą zie-
mię. Było dość widno, by rozróżnić, jeżeli już nie
przeciwny
brzeg, to wyspy przynajmniej. Przeszły muły, stado
koni zbiegło
do rzeki. Były to krępe zwierzęta, z powodu
rozwichrzonych
grzyw ich łby wydawały się duże. Ruchy ich nie były
pozbawione
wdzięku, oczy wypukłe i szalone rzucały błękitne
błyski. Niepo-
kój łamał i przyśpieszał ich pęd, schylone nad -wodą
stały drżą-
ce, wężąc, pełne niedowierzania. Napoiły się szybko
i pognały.

A noc rozpostarła swe ciemne skrzydła nad ziemią,
pokrywała już
wschód, podczas gdy na zachodzie stała się łagodna
purpura. Jakiś
ryk zagrział w oddali.

— Lew! — wyszeptał Gaw.

— Brzeg jest przepelniony zdobycze — odpowiedział
Naoh.

— Lew jest rozumny, napadnie chętniej antylopę lub
jelenia, niż
ludzi!

Ryk oddalił się. Zaskomlały szakale i widać było
zarysy ich lek-
kich postaci. Ulhamrowie spali na zmianę do świtu.
Po czym jęli
chodzić po brzegu Wielkiej Rzeki. Zatrzymały ich
Mamuty. Stado
zajęło teren szerokości tysiąca kroków, a długości
trzy razy więk-
szej. Mamuty pasły się, wyrywały soczyste rośliny,
wykopywały
korzenie i bytowanie ich wydało się trzem ludziom
szczęśliwe,

bezpieczne i wspaniałe. Niekiedy, radując się w swej
mocy, goni-
ły się po miękkim gruncie lub lekko uderzały
wzajemnie pokryty-
mi włosami trąbami. Pod ich ogromnymi nożyskami
Lew Ol-
brzymi byłby bryła gliny- Ich kły wyrywały z
korzeniami dęby,
ich granitowe łby łamały je. A przypatrując się
zręczności z jak[^]
poruszały trąbami Naoh nie mógł powstrzymać się
od uwagi:

— Mamut jest władca wszystkiego, co żyje na ziemi!
Nie bał się ich wcale, wiedział, iż nie napadają ani
jednego
stworzenia, o ile nie wejdzie im w drogę. I powiedział
jeszcze:

— Aoum, syn Kruka, zawarł przymierze z
Mamutami.

— Czemu nie mielibyśmy uczynić tak, jak Aoum? —
spytał
Gaw.

— Aoum rozumiał Mamuty — rzekł Naoh — my ich
nie ro-
zumiemy.

Jednakże zastanowiło go to pytanie. Wracił wciąż do niego,
krążąc w oddaleniu dookoła olbrzymiego stada. A że
myśl jego
wypowiadała się głośno, mówił dalej:

— Mamuty nie posiadają takiej mowy, jak ludzie.
Rozumieją
się wzajemnie, znaj[^] głos swych wodzów. Goun
mówi, że na roz-
kaz swego wodza Mamuty zajmuje miejsce, jakie im
jest wskaza-
ne i że obraduje przed każdą nową wyprawą. Jeżeli
odgadniemy
ich znaki porozumiewawcze, to zawrzemy z nimi
przymierze. '

91

Gdy przechodzili, ujrzeli olbrzymiego Mamuta
patrzącego na
nich. Samotny, stojąc na pochyłym brzegu rzeki
wśród młodych
topoli, pasł się soczystymi pędami. Naoh nigdy nie
napotkał
zwierzęcia równie wielkiego. Wzrost jego dosięgał
dwunastu met-
rów; grzywa, gęsta jak u Lwów, pokrywała jego
kark. Trąba, po-

rośnięta włosem, zdawała się być oddzielna istota,
podobna zara-
zem do drzewa i do węża.

Widok trzech ludzi zdawał się go zaciekawiać, nie
można
było bowiem przypuszczać, by go niepokoił. I Naoh
zawołał:

— Mamuty są silne! Wielki Mamut jest silniejszy od
wszyst-
kich. Zgniółby Tygrysa i Lwa jak robaka,
przewróciłby dziesięć
Żubrów jednym uderzeniem piersi... Naoh, Nam i
Gaw są przy-
jaciółmi Wielkiego Mamuta!

Mamut nastawił swych szerokich błoniastych uszu.
Słuchał
dźwięków wydawanych przez pionowe zwierzę,
poruszył trąba i
zatrąbił.

— Mamut zrozumiał! — wykrzyknął Naoh z
radością — on

wie, że Ulhamrowie uznają jego potęgę.
I ciągnął dalej:

— Jeżeli synowie Lamparta, Saigi i Topoli odnajdą
Ogień,
upieką kasztanów i żołądzi, by je złożyć w darze
Wielkiemu Ma-
mutowi!

Gdy to mówił wzrok jego natrafił na kałużę, gdzie
rosły

wschodnie nenufary. Naoh wiedział o tym że Mamut
lubi ich pod-
ziemne łodygi. Dał znak towarzyszom: poczęli
wyrывать długie
rdzawe rośliny. Gdy nazbierali dużą wiązkę, oplukali
ją starannie
i ponieśli ku olbrzystemu zwierzęciu. Podszedłszy
doń na pięć-
dziesiąt kroków, Naoh przemówił:

— Oto narwaliśmy tych roślin, byś mógł się nimi
pożywić.
W ten sposób poznasz, że Ulhamrowie są
przyjaciółmi Mamuta.

I odszedł.

Zaciekawiony olbrzym zbliżył się do korzeni. Znał je
dobrze
i lubił je bardzo. Gdy je spożywał, nie śpiesząc się,
robiąc długie

przerwy, przyglądał się trzem ludziom. Niekiedy podnosił trąbę, wężąc, po czym kołysał nią pokojowo.

Wtedy Naoh jął przybliżać się nieznacznymi ruchami. Znalazł się u olbrzymich nóg pod tą trąbą, która wrywała drzewa, pod kłami, długimi jak ciało Tura. Był niby mysz polna przed Panterą. Jednym ruchem mógł go potwór skruszyć. Lecz wódz, przejęty całym dreszczem wiary, drżał nadzieją i natchnieniem... Trąba musnęła go, przesunęła się wężąc wzdłuż jego ciała. Naoh z zapartym oddechem dotknął włochatej trąby. Po czym narwał traw i młodych pędów, które podał na znak przymierza. Rozumiał, że

czyni coś doniosłego i niebywałego i serce wezbrało mu uniesieniem.

**Przymierze człowieka
z Mamutem**

Otóż Nam i Gaw widząc Mamuta zbliżającego się do
wodza
pojęli lepiej małość człowieka. Gdy zaś ogromna
trąba spoczęła na
Naohu, szepnęli:

— Oto Naoh będzie zgnieciony. Nam i Gaw zostaną
sami
wobec Kzamów, zwierząt i wód.

Ujrzeli potem, jak ręka Naoha dotknęła lekko
zwierzęcia i
dusza ich wezbrała radością i duma.

— Naoh zawarł przymierze z Mamutami! — szepnął
Nam.

— Naoh jest najpotężniejszym z ludzi.
Tymczasem syn Lamparta wołał:

— Niech Nam i Gaw przybliża się kolejno tak jak
przybliżał

94

się Naoh, a narwawszy trawy i młodych pędów, niech
poniosą je
w darze Mamutowi.

**Słuchali go z piersią płomienna, pełni wiary.
Podchodzili po-
wolnym krokiem, zrywając po drodze za
przykładem wodza to
miękkie trawy, to młode korzenie. Gdy byli blisko,
podali zebra-
ne rośliny, a że jednocześnie podawał Naoh, Mamut
podszedł,
aby je spożyć.**

**Tak zawarte zostało przymierze Ulhamrów z
Mamutami.
Nowy księżyc urósł. Zbliżała się pora tych nocy, gdy
zacznie
wschodzić tak wielki, jak słońce. Otóż jednego z tych
wieczorów
Kzamowie i Ulhamrowie obozowali w odległości
dwudziestu ty-
sięcy kroków jedni od drugich. Było to jeszcze nad
brzegami rze-
ki. Kzamowie zajmowali suchy pas ziemi, grzali się
przy huczą-
cym Ogniu, pochłaniali ciężkie ćwiartki mięsa, bo
łowy były ob-
fite, podczas gdy Ulhamrowie w wilgotnym i
chłodnym cieniu,
milcząc, dzielili się kilkoma korzeniami i mięsem
grzywacza.**

**W oddaleniu dziesięciu tysięcy kroków od brzegu,
spały
wśród jaworów Mamuty. Za dnia znosiły one
obecność wojowni-
ków, nocą jednak usposobienie ich było bardziej
drażliwe, może
dlatego, że znały przebiegłość ludzi, a może obecność
innych
istot, nie z ich gatunku, przeszkadzała im w
zażywaniu spoczyn-
ku. Co wieczór więc Ulhamrowie oddalali się za linię,
spoza któ-
rej już nie docierały niemile Mamutom wyziewy.**

Otóż tym razem Naoh zapytał swych towarzyszy:

**— Czy Nam i Gaw gotowi są do dalszych trudów?
Czy ich
członki są znowu giętkie, a pierś ich pełna oddechu?
Syn Topoli odpowiedział:**

**— Nam spał za dnia, dlaczegóżby nie miał być
gotowy do
walki?**

Gaw zaś rzekł:

**— Syn Saigi może pędem przebiec odległość dzieląca
go od
Kzamów!**

— Dobrze zatem, Naoh i jego wojownicy pójdą w kierunku
Kzamów. Będ[^] walczyć całą noc dla zdobycia Ognia!

Nam z Gawem zerwali się i poszli za swym wodzem.
Aby

95

zajść zniemacka nieprzyjaciela, nie można było liczyć
na ciemności.
Księżyc prawie w pełni wschodził na przeciwnym
brzegu Wielkiej
Rzeki. Ukazywał się to czerwony, gdy stykał się na
horyzoncie
z wyspami, to jakby pokrajany linią wierzchołków
wysokich to-
poli, poprzez które dzielił się na małe półksiężyce,
gdzie indziej
znów pogrążał się w czarne fale, a jego drgające
odbicie czasami
przypominało błyszczący wśród lata obłok, to pełzał
jak pyton
miedziany, to znów wydłużał się jak łabędź. Kaskada
szylkretu i
miki szła śladem jego drogi, rozszerzając się ukośnie
od jednego
brzegu do drugiego.

Na razie Ulhamrowie pośpieszali, wybierając miejsca o niskiej roślinności. W miarę, jak zbliżali się do obozowiska Kzamów zwalniali kroku, szli równolegle do siebie w znacznym oddaleniu, ażeby mieć możliwość pilnowania jak największej przestrzeni, jak również, by nie zostać otoczonymi. Nagle na zakręcie zaśniły dalekie jeszcze płomienie, wyglądały blado przy świetle księżyca.

Kzamowie spali. Trzech czatowników podtrzymywało ogień, wsłuchując się w noc. Koczownicy ukryci wśród krzaków śledzili obozowisko z zawziętą pożądlivością . Och, żeby tak mogli porwać choć jedną iskierkę! Trzymali w pogotowiu suche patyki i zaostrome gałazki. Teraz Ogień nie skona już w ich rękach, zdążą go uwięzić w klatce z kory, wyłożonej wewnątrz płaskimi kamieniami. Lecz jak tu zbliżyć się do płomienia? Jak odwrócić uwagę Kzamów, mających się na baczności od owej nocy, gdy syn Lamparta pojawił się u ich ogniska?

Naoh odezwał się:

— Otóż, podczas gdy Naoh będzie szedł w górę Wielkiej Rzeki, Nam z Gawem niech krążą po równinie wokoło obozowiska Pożeraczy Ludzi. Będą się chować, bądź też pokazywać. Gdy wrogowie podążą ich śladem zaczną uciekać, lecz nie z całą szybkością, bo Kzamowie muszą mieć nadzieję ich pojmania. Chodzi o to, aby gonili ich długo. Nam i Gaw zdobędą się na odwagę niebiec za szybko. Pociągną za sobą Kzamów aż do Czerwonego Głazu. Jeżeli Naoha tam nie będzie, to przebiegną pomiędzy Mamutami a Wielką Rzeką. Naoh odszuka ich szlak.

96

Młodzi wojownicy zadrżeli. Ciężko im było rozłączyć się z Naohem, gdy mieli przed sobą strasznych Kzamów. Posłusznie jednak prześlizgnęli się przez niskie zarośla, a syn Lamparta skie-

rował się ku brzegowi. Uplłynął pewien czas. Wtem ukazał się Nam i zniknął. Po czym postać Gawa zarysowała się przelotnie na stepie... Czatownicy krzyknęli ostrzegawczo. Kzamowie porwali się w nieładzie i wyjąc przeciągle, skupili się koło swego wodza. Był to wojownik średniego wzrostu, krępy jak Niedźwiedź Jaskiniowy. Podniósł do góry dwa razy maczugę, wydał kilka chrapliwych dźwięków, wreszcie dał znak do pogoni.

Kzamowie utworzyli sześć band, rozrzuconych w półkole. Naoh, pełen zwątpienia i niepokoju patrzył na nich, jak znikali. Po czym wyteżył całą uwagę, by zdobyć Ogień.

Pilnowało go czterech ludzi, wybranych spośród najroślejszych. Szczególnie jeden z nich wydawał się groźny. Był równie barczysty jak ich wódz, ale wyższy wzrostem. Już sam rozmiar maczugi świadczył o jego sile. Stał w pełnym świetle. Naoh odróżnił jego ogromne szczęki, oczy, przysłonięte krzaczastymi brwiami, krót-

kie grube nogi, szerokie u nasady, zwężające się ku przegubom.

Trzej inni, mniej ciężcy, posiadali szerokie klatki piersiowe i długie ręce o stwardniałych mięśniach.

Placówka obrana przez Naoha była dogodna. Stały łagodny wiatr dął w jego stronę unosząc woń z dala od czatowników. Po sawannie żerowały szakale wydając przenikliwy zapach. Naoh zatrzymał w dodatku jedną ze zdobytych skór. Te okoliczności dały mu możliwość zbliżenia się na sześćdziesiąt kroków od Ognia. Zatrzymał się na dłuższą chwilę. Księżyc był już ponad topolami, gdy on porwał się z miejsca i wydał swój okrzyk wojenny.

Kzamowie, zaskoczeni jego nagłym pojawieniem, wpatrywali się weń. Osłupienie ich nie trwało jednak długo. Wszyscy naraz, wyjął, chwycili za topory kamienne, maczugi i włócznie.

Naoh zawołał:

— Syn Lamparta przybył przez sawanny, lasy, góry i rzeki,
albowiem jego plemię jest bez Ognia... Jeśli Kzamowie dadzą mu wziąć kilka głowni z ich ogniska, oddali się bez wydania walki.

Walka...

97

Nie mogli zrozumieć tych słów, wyrzeczonych w mowie tak obcej, jak obce jest wycie wilków. Widząc, że jest sam, myśleli jedynie o tym, aby go zmiażdżyć. Naoh cofnął się w nadziei, że pogonią za nim w rozsypce i że uda mu się odciągnąć ich daleko od Ognia. Rzucili się całą gromadą.

Najwyższy z nich, skoro zbliżył się na odległość rzutu włócznią, cisnął pocisk o krzemiennym końcu. Cisnął silnie i zręcznie. Broń, musnąwszy ramię Naoha, spadła na wilgotną ziemię. Uhamr wołał oszczędzać swą broń, podniósł zatem rzuconą i cisnął

nią z kolei. Włócznia ze świstem opisała łuk i
przeszyła gardło jed-
nemu z Kzamów, który zachwiał się i padł.
Towarzysze jego,
skowycząc jak psy, wyrzucili jednocześnie pociski.
Naoh ledwie
zdążył paść na ziemię, by uniknąć ostrych grotów, a
Pożeracze
Ludzi sądząc, że został trafiony, podbiegli dobić go.
Ale on już
podskoczył i natarł. Jeden z Kzamów, ugodzony w
brzuch, za-
przestał walki, podczas gdy dwaj inni cisnęli jeden za
drugim swe
włócznie. Z biodra Naoha trysnęła krew, lecz on
czując, iż rana
nie była głęboka, jął krążyć wokół nieprzyjaciół. Już
nie lękał się
być osaczony. To oddalał się, to nawracał tak
zręcznie, iż znalazł
się pomiędzy Ogniem a swymi wrogami.

— Naoh jest bystrzejszy od Kzamów! — zawołał. —
Zabie-
rze Ogień, a Kzamowie już utracili dwóch
wojowników.

Dał jeszcze parę susów, podbiegł do płomienia i
wyciągnął

ręce, by chwycić głównię, gdy spostrzegł z przerażeniem, iż prawie wszystkie one zamieniły się w żarzące węgle. Okrążył ognisko w nadziei znalezienia gorejącej gałęzi, którą mógłby ująć. Poszukiwania jego były jednak daremne.

A Kzamowie nadbiegali.

Chciał uciekać, uderzył się o jakiś pień i potknął się. Dzięki temu jego przeciwnikom udało się zagrozić mu drogę i przepieć do Ognia. Chociaż ognisko zajmowało znaczną przestrzeń, mógłby przez nie przeskoczyć i uciec. Straszna rozpacz nappełniła jego pierś, myśl o powrocie bez Ognia, w mrokach nocy była dlań nie do zniesienia. Potrząsając więc jednocześnie toporem i maczugą, przyjął walkę.

Dla Ognia

Dwaj Kzamowie nie przestawali przybliżać się, mimo że zwolnili kroku. Ten z nich, który był silniejszy, wywijał włócznia i cisnął nią, gdy był już zupełnie blisko. Naoh odbił rzut odwrotna strona topora, lekki pocisk znikł w płomieniach. W tej samej chwili zawirowały trzy maczugi.

Maczuga Naoha spotkała się jednocześnie z dwiema innymi.

Zderzenie to załamało pęd przeciwników. Mniej silny z Kzamów zachwiał się. Spostrzegł to Naoh, skoczył ku niemu i gwałtownym ciosem złama mu kark. Lecz on sam również został ugodzo-

100

ny. Sęk maczugi rozdarł mu głęboko lewą rękę; ledwie że uniknął uderzenia w samą czaszkę. Ciężko dysząc odstąpił w tył, by wró-

cić na początkowe stanowisko, po czym wzniosłszy broń czekał.

Mimo że pozostał jeden tylko wróg,
niebezpieczeństwo było
groźne. Naoh z trudem poruszał lewą ręką, podczas
gdy Kzam
stał przed nim podwójnie uzbrojony, w pełni sił. Był
to wojow-
nik dużego wzrostu, z wypukłą klatką piersiową,
objętą żebrami
podobnymi bardziej do żeber Żubra niż człowieka, z
rękami dłuż-
szymi o jedną trzecią od rąk Naoha. Jego krzywe
nogi, do biegu
za krótkie, zapewniały mu potężną równowagę.

Przed ostatecznym natarciem badał spode łba
rosłego Ulham-
ra. Sądząc, że będzie miał większą przewagę bijąc
oburącz, zatrzy-
mał jedynie maczugę, po czym uderzył.

Broń ich, prawie równa wagą, wyciosana z twardego
dębu,
starła się ze sobą. Cios Kzama był mocniejszy od
ciosu Naoha, bo
nie mógł on użyć lewej ręki. Lecz syn Lamparta
odbił ukośnym

••uchem. Gdy Kzam ponowił uderzenie, napotkał
próżnię. Naoh
uskoczył. Teraz on natarł. Przy trzecim spotkaniu
maczuga jego
spadła jak skała. Byłaby rozłupała czaszkę
przeciwnika, gdyby nie
jego długie żylaste ręce, które podniosły się w
odpowiedniej
chwili. Znowu dębowe sęki spotkały się i Kzam z
kolei był w
opałach. Lecz odpowiedział natychmiast
gwałtownym ciosem,
omal nie wytracił Naohowi maczugi z rąk. Zanim
Naoh zdołał-
przybrać postawę obronną, ręce Pożeracza Ludzi
podniosły się i
opuściły. Ulhamr mógł osłabić uderzenie, lecz nie
mógł odbić go.
Został ugodzony w samą czaszkę. Kolana ugięły się
pod nim, za-
krążyła mu przed oczami ziemia, drzewa i Ogień. W
tym mgnie-
niu jednak, gdy śmierć go musnęła, zmysły nie
opuściły go. W
najwyższym skupieniu swych sił, wydobytych z głębi
istoty, nim
przeciwnik zdołał się opamiętać, grzmotną na odlew
maczugą.
Zatrzeszczały kości i Kzam zwałił się na ziemię.
Krzyk jego za-

stygl w śmierci.

Radość Naoha zaszumiała jak potok; spoglądał,
śmiejąc się
chrapliwie, na ognisko, gdzie płąsały płomienie.

Mając nad sobą w głębi gwiazdy, sam w poszumie
rzeki, w

m

cichym poszepcie wiatru, przerywanym kaszlem
szakala i rykiem
Lwa zabłąkanego na przeciwnym brzegu, zdawał
sobie na razie z
trudnością sprawę ze swego zwycięstwa.
I wołał głosem zadyszczanym:

— Naoh jest władca Ognia!

Zdawało mu się, iż jest potęgą życia świata.
Obchodził z wol-
na czerwone zwierzę, wyciągał doń rękę i nadstawiał
swa pierś
pod tę pieszczotę, tak dawno utracona. I znów w
zachwycie i za-
dziwieniu wyszeptał:

— Naoh jest władca Ognia!

Z wolna uspokajało się jego gorączkowe uniesienie. Jął obawiać się powrotu Kzamów. Należało czym prędzej unieść zdobywcz. Rozwiązawszy płaskie kamienie, które nosił przy sobie do chwili opuszczenia Wielkiego Moczaru, przystąpił do łączenia ich patykami, korą i trzcina. Szukając po obozowisku, doznał nowej radości: w jednym z wgłębień gruntu spostrzegł klatkę, w której Pożeracze Ludzi przechowywali Ogień.

Miała jakby kształt gniazda z kory, wyłożonego płaskimi kamieniami, starannie i trwale. Żarzył się jeszcze w niej płomyk. Pomimo że Naoh umiał lepiej od niejednego z hordy sporządzać klatki do Ognia, trudno by mu było zbudować tak doskonałą. Wymagałoby to więcej czasu, większej uwagi przy dobieraniu kamieni i dużo pracy. Klatka Kzamów składała się

z potrójnej warstwy łupku, obłożonego dookoła korą zielonego dębu. Kora była powiązana cienkimi, giętkimi gałązkami. Pozostawiono jedynie szparę dla utrzymania w niej lekkiego ciągu.

Klatki te wymagały bezustannej opieki. Należało ochraniać płomień od deszczu i wiatru, czuwać, by nie zmniejszył się zbytnio, a zarazem, by nie przekroczył pewnej granicy, oznaczonej przez tysiącletnie doświadczenie, trzeba też było często zmieniać korę.

Naohowi nie był obcy ani jeden z tych obrządków przekazywanych przez pokolenia. Podsycił z lekka Ogień, zwilżył powierzchnię wodą, zaczerpniętą z kałuży, zbadał szparę i stan łupku.

W3

Zanim uciekł, zebrał rozrzucone topory i włócznie, ogarnął ostatni raz wzrokiem obozowisko i równinę.

Dwóch z jego przeciwników zwracało zastygłe
twarze ku
gwiazdom, dwaj inni pomimo cierpień leżeli
nieruchomo, udając
martwych. Ostrożność oraz prawo ludzi pierwotnych
nakazywały
ich dobić.

Naoh zbliżył się do tego, który był raniony w udo i
już nasta-
wił włócznię: lecz serce jego przeniknęło niesamowite
obrzydze-
nie, cała jego nienawiść rozplynęła się w uczuciu
radości... nie
mógł się zdobyć na zgaszenie ich ostatniego tchu.

Przede wszystkim musiał pośpieszyć z zagaszeniem
ogniska.
Jedn[^] z maczug, pozostawionych przez pokonanych
wrogów,
rozzucił żarzące głownie, rozbił je na części zbyt
małe, aby mogły
dotrwać do powrotu wojowników, po czym,
skrępowawszy ran-
nych trzciniami i gałęziami, zawołał:

— Kzamowie nie chcieli dać jednej głowni synowi
Lamparta,

to Kzamowie nie będą więcej mieli Ognia. Będą
błądzili w po-
mrokach nocy i w chłodzie, dopóki nie połączy się ze
swoją hordą!
Tak więc Ulhamrowie są mocniejsi od Kzamów!

Naoh stał sam u podnóża pagórka, gdzie miał się
spotkać z
Namem i Gawem. Nie był tym wcale zdziwiony.
Młodzi wojow-
nicy musieli daleko odbiec, by ująć pogoni.

Opatrzywszy ranę liśćmi wierzby, siadł przed
słabym płomy-
kiem, w którym tliło się jego przeznaczenie.

Czas płynął z wodami Wielkiej Rzeki i z
promieniami wscho-
dzącego miesiąca. Gdy księżyc osiągnął zenit, Naoh
podniósł głó-
wę, w tysiącu rozproszonych szmerów rozpoznał
osobliwy od-
głos, który mógł być wywołany jedynie przez
człowieka. Był to
szybki krok, lecz mniej złożony niż krok
czworonożnych. Z po-
czątku prawie nieuchwytny, stawał się coraz
wyraźniej szy, a gdy
wzmógł się podmuch wiatru przyniósł
niespodziewanie zapach,

Ulhamr powiedział do siebie:

**— Oto syn Topoli zmylił pościg nieprzyjaciół.
Albowiem na równinie nie było żadnych oznak
pogoni.**

**"Wkrótce pomiędzy jaworami zamajaczyła jakaś
gibka postać.**

104

**Naoh nie omylił się, był to Nam, który zbliżał się w
srebrzystej
kaskadzie księżycowego światła i niezdługo stanął u
podnóża pa-
górka.**

Wódz zapytał:

— Czy Kzamowie stracili ślad Nama?

**— Nam wyprowadził ich daleko na północ, po czym
znacz-
nie ich wyprzedził i długo szedł korytem rzeki.
Potem zatrzymał
się, więcej już nie widział, nie słyszał i nie wyczuwał
Pożeraczy**

Ludzi.

— To dobrze! — odpowiedział Naoh kładąc rękę na jego karku. — Nam był zręczny i przebiegły, lecz co się stało z Gawem?

— Syn Saigi był ścigany przez inny oddział Kzamów. Nam nie napotkał jego tropu.

— Będziemy czekać na Gawa! A teraz niech Nam patrzy. Naoh pociągnął towarzysza. Za rogiem pagórka we wgłębieniu Nam ujrzał iskrzący się mały, chwiejny, gorący płomień.

— Oto — rzekł z prostotą wódz — Naoh zdobył Ogień! Młodzieniec wydał głośny okrzyk radości. Oczy rozszerzyły się mu z zachwytu, pokłonił się do ziemi przed synem Lamparta i

rzekł:

— Naoh jest tak przebiegły, jak cała horda ludzi! Będzie on

wielkim wodzem Ulhamrów i żaden wróg nie ostoi się przed

nim.

Usiedli przed słabym Ogniem i było tak, jak gdyby nocne

ognisko wzięło ich pod opiekę swej mocy na skraju rodzinnych

jaskiń pod chłodnymi gwiazdami i wobec błędnych ogników

Wielkiego Moczaru. Myśl o długiej powrotnej drodze nie była im

już udręka. Gdy opuszcza okolice Wielkiej Rzeki, Kzamowie nie

będ[^] ich dalej ścigać; będ[^] przebywać tam, gdzie jedynie zwierzęta żeruje w ostępach.

Długo obaj dumali, na nich spoczywała przyszłość, a przed

nimi stał otworem cały świat pełen obietnic. Lecz gdy księżyc na

zachodnim nieboskłonie począł przybierać większe rozmiary, nie-

pokój nappełnił ich piersi.

— Gdzie pozostał Gaw? — wyszeptał wódz. —
Czyżby nie
potrafił ukryć swych śladów przed Kzamami? Czy
też został za-
trzymany przez jakieś bagno lub wpadł w pułapkę?

Równina była milcząca. Zwierzęta uciszyły się.
Nawet wiatr
uspokoił się na rzece i zginał wśród wierzb. Nie było
nic słycać
prócz przytłumionego szumu rzeki. Czy należało
czekać do rana,
czy też niezwłocznie rozpocząć poszukiwania? Naoh
dziwnie nie
miał ochoty zostawiać Ognia pod opieką Nama. Z
drugiej zaś
strony myśl o młodym wojowniku ściganym przez
Pożeraczy Lu-
dzi podniecała go. Mógł ze względu na konieczność
utrzymania
Ognia pozostawić Gawa własnemu przeznaczeniu, a
nawet powi-
nien był tak uczynić. Lecz wspólny los jaki połączył
go z towarzy-
szami wyzwolił w nim nieznane dotąd uczucie
opiekuńczej tkli-
wości. Stanowili jakby część jego istoty. Niepokoiły
go grożące
im niebezpieczeństwa niczym jego własne, nawet
bardziej, albo-

wiem wiedział, że byli oni bardziej wystawieni na zasadzki, bardziej zagrożeni przez żywioły i stworzenia.

— Naoh uda się na poszukiwanie Gawa! — rzekł w końcu.

— Pozostawi syna Topoli na czatach przy Ogniu. Nam nie będzie miał chwili spokoju. Będzie zwilżał korę, gdy się zanadto nagrzej, nigdy nie oddali się na dłużej niż to potrzebne, jedynie by dojść do rzeki i wrócić.

— Nam będzie pilnował Ognia jak własnego życia!

— odpowiedział z siłą młody wojownik.
I dorzucił z dumą:

— Nam umie podtrzymywać płomień! Tego uczyła go matka, gdy był tak mały jak wilcze szczenię.

— To dobrze! Jeśli Naoh nie powróci do czasu, kiedy słońce stanie na wysokości topoli. Nam schroni się w pobliżu Mamutów... a jeżeli Naoh nie zjawi się przed schyłkiem dnia, to Nam

**będzie uciekał sam w kierunku obszarów łowieckich
Ulhamrów.**

**Oddalił się. Przejęty troska, drżąc całym ciałem,
odwracał się
parokrotnie ku znikającej postaci Nama, ku małej
klatce z Og-
niem i wydało mu się, że widzi wciąż jeszcze słabe
światelko, gdy
ono zlało się już ze światłem księżyca.**

106

Poszukiwanie Gawa

**By odnaleźć ślad Gawa musiał najpierw zawrócić ku
obo-
wisku Pożeraczy Ludzi. Szedł wolniej. Ramię pod
liśćmi wierzby,
którymi przyłożył sobie ranę paliło go, w głowie
huczało, w miej-
scu, gdzie ugodziła go maczuga dokuczał ból.
Doznawał wielkie-
go zniechęcenia, albowiem mimo że zdobył Ogień,
zadanie jego
pozostawało nadal trudne i niepewne. Tak
rozmyślając doszedł do**

zakrętu ocienionego jesionami, skąd obserwował przedtem wraz ze swymi towarzyszami obozowisko Kzamów. Wtedy jednak go-rejące tam czerwone ognisko przyćmiewało światło wschodzącego miesiąca. Teraz obozowisko było ponure, wszystkie głównie roz-

W7

rzucione przez Naoha pogasły, srebrzysty połysk nocy kładł się na nieruchome postacie ludzi i przedmioty. Słysząc jedynie jęk któregoś z ranionych.

Naoh natężywszy zmysły, upewnił się, że pogoń nie powróciła. Poszedł ku obozowisku, jęki rannego ustały. Zdawać by się mogło, że nie było tam nikogo prócz trupów. Naoh nie zatrzymywał się tam wcale, zwrócił się w kierunku skąd zaczął uciekać i odnalazł ślad. Z początku utrzymanie tropu nie przedstawiało żadnej trudności, tym bardziej, że tuż obok widniały liczne ślady

**Kzamów. Prowadził on prawie po prostej linii,
potem zbaczał,
okrążał pagórki, zawracał, przechodził przez
kolczaste krzaki. Ja-
kieś bagno przecięło raptownie ślad, Naoh odnalazł
go dopiero za
zakrętem brzegu. Teraz ślad był wilgotny, jakby
Gaw i inni byli
zamoczeni.**

**Przed jaworowym gajem Kzamowie rozdzielili się
widocznie
na kilka oddziałów. Naoh zdołał jednakże rozpoznać
właściwy
kierunek. Przeszedł jeszcze jakieś trzy do czterech
tysięcy kroków.
Wtedy dopiero musiał się zatrzymać. Ciężkie
chmury pochłaniały
księżyc, jutrznia jeszcze się nie pokazała. Syn
Lamparta siadł pod
jaworem rosnącym już od dziesięciu ludzkich
pokoleń. Drapieżni-
ki skończyły swe łowy, aienne zwierzęta, ukryte w
zagłębie-
niach ziemi, w gąszczach, w dziuplach lub w
rozgałęzieniach
drzew, nie wyruszyły jeszcze.**

**Naoh wypoczywał. Parę tchnień wieczności zapadło
przez**

ten czas w mknące życie leśne. Później chłodna biel
jęła rozcho-
dzić się od wierzchołka do wierzchołka, od szczytu
do szczytu.

Jesienny poranek, ociężały i martwy, muskał lekkim
wietrzy-
kiem, który zdawał się być oddechem jaworów. Naoh
stojąc
w bladym jak biały popiół ogniska świetle posilił się
kawałkiem
suszonego mięsa, pochylił się ku ziemi i poszedł
śladem. Prowa-
dził on go na przestrzeni tysiąca kroków. Ślad,
wybiegłszy z gaju,
przecinał piaszczystą równinę, gdzie trawa była
rzadka a drzewa
karłowate, wił się wśród bajor o czerwonych,
spróchniałych trzci-
nach, wznosił się na wzgórze, szedł pomiędzy
pagórkami i zatrzy-
mał się wreszcie nad brzegiem rzeczki, którą Gaw
musiał na pew-

108

no przebyć. Naoh przeprowadził się przez nią i po
długich poszuki-
waniach odkrył, że są dwa szlaki Kzamów, dążące do
jednego

punktu. Gaw był już może osaczony.

Wtedy Naoh znów pomyślał, że należałoby pozostawić ukajającego własnemu przeznaczeniu, aby nie wystawiać na niebezpieczeństwo swego życia, Nama i Ognia dla uratowania jednego istnienia. Lecz pogoń jątrzyła go, jakaś gorączka biła mu w skroniach, pomimo wszystko tkwiła w nim uporczywa nadzieja. Ulegał również prostemu pociągowi, jaki czuje się do rzeczy raz rozpoczętej .

Prócz dwóch oddziałów Kzamów, których przebiegłość poznał właśnie Naoh, należało się obawiać jeszcze tej bandy, która gonila Nama, a która po tylu obchodach i obrotach miała dosyć czasu, aby zająć dogodne stanowisko, nawet gdyby nie podzieliła się na oddziały okrążające. Ufny w swą rącość i chytrość syn Lamparta podążył bez wahania śladem Gawa, ledwie zatrzymując się dla zbadania okolicy.

Ziemia stawała się twarda. Przez ubogą warstwę
gleby prze-
bijał błękitny kolor granitu, potem ukazało się
stromie wzgórze,
na które Naoh postanowił się wspiąć, albowiem tropy
były teraz
dość świeże i spodziewał się, że ujrzy Gawa lub część
pogoni. Ko-
czownik prześlizgnął się wśród krzaków i dotarł na
sam szczyt pa-
górką. Wydał cichy okrzyk. Gaw ukazał się na
paśmie czerwonej
ziemi, na ziemi z minii, która wyglądała, jakby ją
polano krwią
niezliczonych stad.

O tysiąc kroków poza nim ludzie o wielkich
tułowiach i
krótkich nogach zbliżali się w rozsypce. Od północy
wyłaniał się
drugi oddział. W każdym razie, mimo że pościg
trwał już długo,
syn Saigi nie okazywał zmęczenia. Kzamowie
zdradzali znużenie,
równe co najmniej znużeniu Gawa. W ciągu długiej
jesiennej nocy
Gaw jedynie dla umknienia zasadzek lub też w celu
niepokojenia
wrogów uciekał się do ostrego biegu. Na nieszczęście
manewry

Kzamów zmyliły go. Biegł nie orientując się już czy był na zachód, czy na południe od skały, gdzie się miał spotkać z wodzem.

Naoh miał możliwość śledzenia pogoni. Gaw pośpieszał w kie-

109

runku lasu iglastego na północo-wschód. Pierwszy oddział postępował za nim linia łamana, odcinająca mu odwrót na przestrzeni tysiąca kroków. Drugi oddział, który wyłaniał się od północy jął zbaczać, aby dotrzeć do lasu jednocześnie z gonionym. Lecz gdyby Gaw dopadł go z południowo-zachodniej strony, oni powinni byli wejść doń ze strony wschodniej. To położenie nie było wcale rozpaczliwe, ani nawet zbyt niekorzystne, o ile zbieg skręci ku północo-zachodowi z chwila, gdy znajdzie się w lesie. Szybko-nogiemu łatwo będzie wyprzedzić ich znacznie, a jeżeli Naoh przyłączyłby się do niego, wtedy mogliby obrać kierunek ku

Wielkiej Rzece.

**Jednym rzutem oka poznał wódz właściwą drogę.
Była to prze-
strzeń zarośnięta krzakami, gdzie nie byłby
widoczny, a która za-
prowadziłaby go na zachodni skraj lasu. Już
zamierzał spuścić się
ze wzgórza, gdy nowe wydarzenie, o wiele
groźniejsze, wstrząs-
nęło nim. Trzeci oddział ukazał się z północo-
zachodu. Gaw mógł
uniknąć osaczenia przez Kzamów jedynie uciekając
z największą
szybkością na zachód. Widocznie nie zdawał sobie
sprawy z gro-
żącego mu niebezpieczeństwa, gdyż biegł prosto
przed siebie.**

**Jeszcze raz zawahał się pomiędzy chęcią obrony
Ognia, siebie
i Nama, a pokusą okazania pomocy Gawowi i jeszcze
raz ustąpił
przed tajemniczą siłą, która skłaniała człowieka i
zwierzęta, by do-
prowadzić do końca rozpoczęte dzieło. Syn
Lamparta, rzuciwszy
przeziębłe spojrzenie na okolicę, której wszystkie
szczegóły**

utrwały się na jego siatkówce, spuścił się ze wzgórza.

Przebiegł wzdłuż zarośli trzymając się ich wschodniego skraju, po czym skręcił przez wysokie, błękitne i rudawe trawy, a że szybkością znacznie przewyższał Kzamów i Gawa, który oszczędzał sił, przybył na linię lasu zanim goniony ukrył się w nim.

Teraz należało dać znać o swej obecności. Udał bek jelenia, powtarzając go trzy razy. Był to umówiony znak wśród Ulhamów. Lecz odległość była zbyt znaczna. Może w zwykłych okolicznościach Gaw byłby go usłyszał, wołanie to uszło jednak uwagi zmęczonego, zajętego jedynie myślą o pościgu.

Wtedy Naoh postanowił ukazać się. Wskoczył z wysokości

traw, stanął przed nieprzyjaciółmi i wydał swój okrzyk wojenny.

Przeciągłe wycie, powtarzane przez oddział Kzamów nad-

biegających z zachodniej i wschodniej strony lasu,
odbiło się w
przestrzeni. Gaw zatrzymał się, drżący z radości i
zdziwienia, po
czym rzuciwszy się z największą szybkością
przybiegł do syna
Lamparta. Gdy Naoh upewnił się, że Gaw za nim
podąża, po-
mknął w jedynym możliwym kierunku, lecz trzeci
oddział Kza-
mów zorientowany krzykiem również zmienił drogę i
śpieszył, by
odciąć im odwrót. Tymczasem pierwsza banda
ruszyła pełnym
biegiem po linii prawie równoległej do uciekających.
Te manewry
udały się. Droga na zachód została zagrodzona przez
Kzamów
i przez grupę skał prawie niedostępnych, niemożliwe
zaś było
zboczyć ku południo-zachodowi, gdzie wojownicy
tworzyli pół-
kole.

Ponieważ Naoh wiódł Gawa wprost na skały,
Kzamowie za-
ciskali półkole wydając zwycięskie okrzyki. Wielu z
nich zbliżyło
się na prawie pięćdziesiąt kroków do Ulhamrów i
rzucało włócz-

nie. Lecz Naoh, przedzierając się przez zasłonę z krzaków, pociągnął swego towarzysza wąwozem, który dostrzegł jeszcze ze szczytu wzgórza.

Kzamowie wyli z wściekłości. Niektórzy z nich dotarli aż do wąwozu, inni starali się obejść przeszkodę.

Tymczasem Naoh i Gaw uciekali co sił. Byliby znacznie wyprzedzili nieprzyjaciół, gdyby nie droga twarda, nierówna i usuwająca się spod nóg. Gdy wyszli z przeciwnego krańca skał, trzech Kzamów już biegło od północnej strony zamykając odwrót. Naoh mógł uniknąć starcia skręcając na południe, lecz słyszał zwiększający się hałas pogoni. Wiedział, że z tamtej strony bieg jego również zostanie wstrzymany. Wszelkie wahanie groziło śmiercią.

Rzucił się wprost na zbliżających się — z maczugą w jednej, a z toporem w drugiej ręce, Gaw zaś chwycił za włócznię.

**W obawie, aby Ulhamrowie im nie umknęli, trzej
Kzamowie
oddzielili się. Naoh skoczył ku temu, który znajdował
się z jego
lewej strony. Był to bardzo młody wojownik, zwinny
i gibki, pod-**

**niósł on topór, by odbić natarcie. Cios maczuga
wyrwał mu broń,
drugie uderzenie rozciągnęło go na ziemi.**

**Dwaj inni Pożeracze Ludzi napadli Gawa sadząc, że
go powa-
la dość szybko, by połączyć swe siły przeciwko
Naohowi. Młody
Ulhamr cisnął włócznia i zranił, lecz lekko, jednego z
napastni-
ków. Nim zdążył użyć oszczepu został uderzony w
pierś. Szybkie
cofnięcie się oraz ukośny skok dały mu możliwość
stanąć w posta-
wie obronnej. Podczas gdy jeden z Kzamów nacierał
zawzięcie z
przodu, drugi starał się uderzyć nań z tyłu. Gaw już
miał ulec,**

gdy nadbiegł Naoh. Ogromna maczuga spadła z
łoskotem walące-
go się drzewa. Jeden z Kzamów padł, drugi uskoczył
ku oddziało-
wi wojowników, który wyłaniał się z północy i
nadbiegał pędem.
Było już jednak za późno.

Ulhamrowie wydobywali się z uścisku, uciekali w
stronę za-
chodu wzdłuż linii, na której ani jeden wróg nie
zagradzał im
przejścia. Za każdym skokiem zwiększali dzieląca
ich od Kzamów
odległość.

Biegli długo to po twardej ziemi, to po błocie, to
przez u-
schnięte trawy, to znowu przez krzaki lub
torfowiska, wspinali się
na wzgórza lub spuszczały się w dół z zawrotną
szybkością.

Duża jeszcze drogę miało słońce przed sobą, aby
dosięgnąć
środką przestworzy niebieskich, a oni już oddalili się
na ponad
sześć tysięcy kroków. Myśleli, że wróg zaprzestanie
pogoni, lecz

skoro wydostali się na jakiś szczyt, stale widzieli za sobą zawzięta zgraję Pożeraczy Ludzi.

I oto Gaw począł słabnąć. Rana jego nie przestawała broczyć.

Niekiedy była to prawie niewidoczna nitka krwi, pomimo szalonego biegu rana zdawała się zamknięta, po czym nagle z powodu wysiłku lub po jakimś fałszywym kroku wśród rozpadlin, czerwony płyn poczynął gwałtowniej wyciekać.

Napotkali młode to-

pole. Naoh zrobił okład z ich liści, lecz rana krwawiła nadal. Z

wolna szybkość Gawa stawała się równa, a następnie mniejsza od

szybkości Kzamów. Teraz za każdym razem, gdy się obejrzel, oddział czołowy Kzamów zbliżał się stopniowo. I syn

Lamparta

ze wzmagającą się wściekłością myślał, że o ile Gaw nie nabierze

8 — Walka... '113

sił zostaną napadnięci zanim zdążą dotrzeć do stada Mamutów.

Lecz Gaw sił nie nabierał. Znaleźli się przed
wzgórzem, na które
wspiął się z trudem. Stanąwszy drżącymi nogami na
wierzchołku,
z twarzy barwy popiołu, z sercem wyczerpanym,
zachwiał się. A
Naoh zwrócony do dzikiej zgrai, co już wdzierała się
na pochy-
łość, widział, jak dzieląca ich odległość znowu się
zmniejszała.

— Jeżeli Gaw nie może nadal biec— rzekł głosem
bezdźwięcz-
nym — Pożeracze Ludzi dogonią nas, nim ujrzymy
rzekę.

— Gawowi ćmi się w oczach, uszy brzęczą jak
świerszcze —
wyjąkał wojownik — niech syn Lamparta sam dalej
podażą, Gaw
umrze za Ogień i wodza.

— Gaw nie umrze!

I obróciwszy się ku Kzamom, Naoh wydał wściekły
okrzyk
wojenny, po czym zarzuciwszy Gawa na plecy,
popędził znowu.
Z początku dzięki ogromnej sile i potężnym
mięśniom mógł

utrzymać tę sama odległość. Na pochyłej drodze
dawał susy party
ciężarem. Ściągną jego nóg giętkie, jak gałęzie
jesionu, wytrzy-
mywały ten ogromny wysiłek. U podnóża pagórka
oddech jego
przyśpieszył się, nogi ociężały. Gdyby nie rana, która
dotkliwie
go piekła, gdyby nie uderzenie maczuga w głowę,
które jeszcze
sprawiało mu szum w uszach, mógłby nawet z
Gawem na plecach
wyprzedzić Pożeraczy Ludzi na krótkich nogach,
znużonych dłu-
gim biegiem. Lecz on nadużył swych sił, ani jedno
zwierzę na ste-
pie, ani w gęstwinie lasu nie byłoby w stanie sprostać
tak długo-
trwałemu i uciążliwemu biegowi. Teraz odległość
dzieląca go od
Kzamów bezustannie malała. Słyszał tupanie ich
nóg, ich pod-
skoki, czuł, że z każdą chwilą zbliżają się. Byli o
pięćset kroków,
potem o czterysta, wreszcie o dwieście. Wtedy syn
Lamparta po-
łożył Gawa na ziemię, oczy jego gorzały gorączka. W
ostatecznej
chwili zawahał się.

— Gawie, synu Saigi — rzekł w końcu — Naoh już
nie może
dłużej unosić cię przed Pożeraczami Ludzi!
Gaw podniósł się i powiedział:

— Naoh powinien pozostawić Gawa i ratować
Ogień!
Odrętwiały ze snu, gdyż pomimo wszystko spał
jednak na

114

plecach wodza, otrząsnął się, wyciągnął ręce.
Tymczasem Kzamo-
wie, podszedłszy na sześćdziesiąt kroków, podnieśli
włócznie, aby
rozpocząć walkę. Naoh, postanowiwszy tylko w
ostateczności
uciekać samemu, obrócił się do nich twarzą.
Zabrzęczały pierwsze
pociski. Rzucone ze zbyt wielkiej odległości, spadły
nie dosięg-
nawszy Ulhamrów, jeden tylko trafił Gawa w nogę,
drasnawszy
go jakby ukłuciem kolca dzikiej róży. W odpowiedzi
Naoh ugo-
dził najbliższego z Pożeraczy Ludzi, potem przebił
brzuch innemu
z wojowników biegnącemu wielkimi susami. Ten
podwójny, cel-

ny cios wywołał zamieszanie wśród napastujących z czołowego oddziału. Wydali straszny krzyk, lecz zatrzymali się w oczekiwaniu posiłków.

Ta przerwa była nader korzystna dla Ulhamrów.

Ukłucie

jakby rozbudziło Gawa. Osłabiona jeszcze ręką chwycił włócznie,

by cisnąć w odpowiedniej chwili. Naoh widząc ten ruch rzekł:

— Gaw zatem nabrał sił, niech ucieka! Naoh opóźni po-
goń!... — Młody wojownik zawahał się, lecz wódz krótko po-
wtórzył:

— Idź!

Gaw pobiegł krokiem ociężałym wprawdzie i chwiejnym, lecz coraz szybszym. Naoh cofnął się ruchem powolnym, lecz groźnym, trzymając w każdej ręce po włóczni. Kzamowie przy-
stanąwszy namyślali się, co począć. W końcu ich wódz nakazał

natarcie. Groty zaszumiały, ludzie rzucili się naprzód. Naoh zatrzymał w biegu jeszcze dwóch wojowników i rozpoczął odwrót.

I na bezmiernym obszarze rozpoczął się pościg. Gaw od czasu do czasu odzyskiwał siły, to znów zwalniał bieg, mięśnie jego słabły, oddech znowu stawał się cięższy. Naoh wiódł go za rękę. Kzammowie ponownie zbliżyli się do uciekających. Podążali oni równym klusem, nie śpiesząc się zbyt, ufni w swą wytrzymałość. Naoh nic mógłby już unieść swego towarzysza. Wielkie znużenie i gorączka stawały się coraz bardziej dokuczliwe, w głowie mu huczało, na domiar złego uderzył nogą o głaz.

— Gaw musi umrzeć! — nie przestawał powtarzać młody wojownik — Naoh powie, że dobrze walczył!

115

Wódz chmurny nic nie odpowiedział. Nasłuchiwał biegu nie-

przyjaciół. Znowu byli o dwieście kroków za nimi,
potem o sto,
podczas gdy uciekający wspinali się na pochyłość.
Wówczas syn
Lamparta, zebrawszy całą moc ukryta w głębi swej
istoty zdołał
utrzymać tę odległość aż do wierzchołka wzgórza! I
tam, rzucając
przeciągłe spojrzenie ku zachodowi, z pierśią
falującą jednocześnie
znużeniem i nadzieją, krzyknął:

— Wielka Rzeka!... Mamuty!

Przed nimi rozlewała się szeroko woda, błyszcząca
wśród to-
poli, olch, jesionów i olszyny. Było tam również o
prawie cztery
tysiące kroków stado pasące się korzeniami i młoda
drzewina.
Naoh rzucił się naprzód ciągnąc Gawa z chyżością,
która pozwoli-
ła im nadrobić więcej niż sto kroków — był to
ostatni wysiłek!
Wkrótce poczęli tracić krok za krokiem tę słabą,
chwilowo zyska-
ną przewagę. Kzamowie podnieśli okrzyk wojenny...

Gdy Naoha i Gawa dzieliło jeszcze od wierzchołka
wzgórza ja-

kieś dwa tysiące kroków, Kzamowie biegli za nimi na
rzut włócz-
nia. Zachowywali swój równy i krótki krok, tym
bardziej pewni
dośięnięcia Ulhamrów, że przypierali ich do stada
Mamutów.
Wiedzieli, że pomimo swej obojętnej i pokojowej
natury nie zno-
siły niczyjej obecności a zatem odrzuca
uciekających.

Ci co gonili nie przestawali zbliżać się, słyhać było
teraz już
ich oddechy, a należało przebyć jeszcze koło tysiąca
kroków!...

Wówczas Naoh wydał przeciągły, żallosny krzyk i
ujrzano,
jak jakiś człowiek wychylił się z gaju jaworowego, po
czym jakieś
olbrzymie zwierzę podniosło trąbę i wydało
przeraźliwy ryk. Puś-
ciło się ono wraz z trzema podobnymi sobie
zwierzętami wprost
ku synowi Lamparta. Kzamowie stropieni acz radzi,
zatrzymali
się. Nie pozostawało im nic innego, jak czekać, by
Ulhamrowie
cofnęli się, a następnie okrążyć ich i zabić!

Tymczasem Naoh nie przestawał biec jeszcze ze sto kroków,
po czym, zwracając do Kzamów swą twarz zapadła od znużenia,
z oczyma błyszczącymi zwycięstwem zawołał:

— Ulhamrowie zawarli przymierze z Mamutami,
Naoh
śmieje się z Pożeraczy Ludzi.

116

Gdy to mówił, Mamuty podeszły. Największy z nich ku bez-
granicznemu osłupieniu Kzamów położył trąbę na ramieniu Ul-
hamra. A Naoh dalej wołał:

— Naoh wziął Ogień. Zabił czterech wojowników w obozo-
wisku, powalił czterech innych podczas pogoni...

Odpowiedziało mu wściekłe wycie Kzamów.
Ponieważ jed-
nak Mamuty coraz bardziej się zbliżały cofnęli się pośpiesznie, al-
bowiem dalecy byli od myśli, by człowiek mógł zwalczać te hor-
dy olbrzymów.

Życie wśród Mamutów

**Nam dobrze pilnował Ognia, który palił się jasno i czysto w swej klatce, gdy go Naoh znów ujrzał. Aczkolwiek nadzwyczaj znużony — rana bowiem żarła mu ciało jak wilk, a w głowie hu-
czała gorączka — syn Lamparta przeżył chwilę szczęścia. W jego szerokiej piersi biła wszelka nadzieja ludzka, tym wspanialsza, że znając grozę śmierci nie myślał o niej. Młodość pulsowała w nim, dla jego zaś ograniczonego umysłu była to wieczność. Widział moczary podczas wiosny, gdy trzciny wypuszczają naraz swe pul-
chne strzały, gdy topole, olchy i wierzby odziewają swe zielone i**

**białe futra, gdy rozlega się gwar cyranek, czapli, grzywaczy i si-
kor, gdy deszcz pada tak ożywczy, że zdaje się jakoby samo życie spływało na ziemię. I wobec wód, i na trawach, i wśród drzew**

oblicze przyszłych pokoleń miało oblicze Gamli. Cała
rozkosz mę-
ska była w gibkim ciele, w kształtnych ramionach i w
ponętym
łonie córki Fauhma.

Naoh skończywszy dumać przed Ogniem narwał
korzeni i
soczystych roślin, by złożyć je w daninie wodzowi
Mamutów,
pojmował bowiem, iż wszelkie przymierze, aby było
trwałe, win-
no być codziennie wznawiane. I dopiero, gdy Nam
stanął na cza-
tach, poszedł wyszukać sobie schronienia wśród
stada Mamutów,
gdzie ułożył się do spoczynku.

— Jeżeli Mamuty opuszcza pastwisko — rzekł Nam
— obu-
dzą syna Lamparta.

— Pastwisko jest obfite — odpowiedział Naoh —
Mamuty
będą żerowały do wieczora.

Zapadł w sen głęboki jak śmierć.

Gdy się obudził, słońce chyliło się nad sawanna.
Chmury o

barwie łupku gromadziły się i z wolna zasłaniały
żółta tarczę po-
dobną do kwiatu nenufaru. Naoh czuł się cały
rozbity, gorączka
przenikała jego czaszkę i krzyż, lecz szum w uszach
ustał i ból w
jego ramieniu ustępował.

Wstał, spojrział najpierw na Ogień, po czym spytał
czatowni-
ka:

— Czy Kzamowie powrócili?

— Nie oddalili się jeszcze... czekają na brzegu rzeki
przed
wyspą o wysokich topolach.

— To dobrze — rzekł syn Lamparta. — Nie będą
mieli Og-
nia podczas wilgotnych nocy, stracą odwagę i wrócą
do swej hor-
dy. Niech Nam teraz wypocznie.

Gdy Nam wyciągał się na liściach i mchu, Naoh
badał Gawa,
który rzucał się we śnie. Młodzieniec był osłabiony,
ciało miał
rozpalone, oddech ciężki, lecz krew przestała
broczyć z piersi.

**Wódz pomyślał, że dla Gawa nie nadszedł jeszcze
czas żywić sobą
korzenie głębokiej ziemi i nachylił się nad Ogniem z
silnym życze-**

**niem ujrzenia go, gdy pocznie rosnać na stosie
suchych gałęzi.**

**Lecz odłożył to życzenie na następne dni. Albowiem
trzeba
było najpierw otrzymać dla Ulhamrów od wodza
Mamutów po-
zwolenie spędzenia nocy w ich obozowisku. Naoh
poszukał go
wzrokiem. Spostrzegł go. Stał, jak zwykle samotny,
by lepiej czu-
wać nad stadem i przenikać przestrzeń. Pasł się
młodziutka drze-
winą, wystająca zaledwie z ziemi. Syn Lamparta
narwał korzeni i
paproci jadalnej, znalazł również bober błotny, po
czym skierował
się ku wielkiemu zwierzęciu. Mamut przy jego
zbliżeniu się prze-
stał gryźć soczysta drzewinę, poruszył łagodnie trąba
porośnięta
włosem, postąpił nawet parę kroków ku Naohowi.
Widząc go
obładowanym żywnością, wyraził zadowolenie i jął
okazywać mu**

pewna życzliwość. Koczownik podał paszę, którą trzymał przy piersi i szepnął:

— Wodzu Mamutów! Kzamowie nie opuścili jeszcze brzegów rzeki. Ulhamrowie są silniejsi od Kzamów, lecz jest ich tylko trzech, podczas gdy tamtych jest więcej niż trzy razy po dwie ręce. Zabiją nas jeżeli oddalimy się od Mamutów.

Mamut nasycony całodziennym żerem jadł powoli korzenie i bober. Gdy skończył, spojrzął na zachodzące słońce, po czym położył się na ziemi, a trąba jego na wpół owinęła się dookoła tułowia ludzkiego. Naoh zmiarkował, że przymierze stało się zupełne, że będzie mógł czekać wraz z Gawem na polu, zajmowanym przez Mamuty dopóki obaj nie przyjdą do zdrowia, bezpieczni od Kzamów, Lwa, Tygrysa i Szarego Niedźwiedzia. A może nawet dozwolone mu będzie rozniecić Ogień grzejący i zaznać rozkoszy pieczonych korzeni, kasztanów i mięsa.

Słońce zakrwawiło się na obszernym zachodzie, po-
czym za-
gorzały wspaniale obłoki. Był to wieczór czerwony
jak kwiat pi-
wonii, żółty jak step jaskrów, liliowy jak nadbrzeżne
ogniska je-
sienne, a płomienie jego drążyły głębie rzeki. Był to
jeden z pięk-
niejszych wieczorów na ziemi. Nie żłobił on krain
bezwiernych
jak zmierzchy letnie, lecz znaczył jeziora, wyspy,
jaskinie, napeł-
nione światłem magnolii, mieczyków i dzikich róż,
których blask
podniecał pierwotną duszę Naoha. Zapytywał siebie,
kto też zapa-

120

lał te niezliczone obszary, jacy ludzie i jakie
stworzenia żyły za
górami Nieba.

Od trzech dni Naoh, Gaw i Nam przebywali w
obozowisku
Mamutów. Kzamowie palając zemstą nie przestawali
krążyć nad
brzegiem Wielkiej Rzeki w nadziei schwytania i
pożarcia ludzi,

którzy ubiegli ich chytrą, zlekceważyli ich siłę i zabrali Ogień.

**Naoh, którego przymierze z Mamutami było jak najlepsze, nie obawiał się już Kzamów. Z każdym dniem nabierał sił. W czasce nie odczuwał bólu, płytka rana ramienia zrastała się szybko, go-
rączka przeszła zupełnie. Gaw również powracał do zdrowia. Często trzej Ulhamrowie stojąc na wzgórzu drażnili nieprzyjaciela.**

Naoh wołał:

**— Czemu włączycie się około Mamutów i Ulhamrów? Jesteście wobec Mamutów, jak szakale wobec Wielkiego Niedźwie-
dzia. Ani maczuga, ani topór żadnego Kzama nie mogą oprzeć się maczudze i toporowi Naoha! Jeżeli nie pójdziecie precz ku wa-
szym obszarom łowieckim, będziemy zastawiali na was zasadzki i zabijali was!**

Nam z Gawem wydawali przy tym okrzyki wojenne, potrzą-

sając włóczniami. Lecz Kzamowie włóczyli się nadal w krzakach, trzcinach, po sawannie lub pod klonami, jaworami, jesionami i topolami. Nagle ukazywały się to pierś obrośnięta, to głowa o długich kudłach lub przesuwały się w mroku niewyraźne postacie. Aczkolwiek Ulhamrowie nie obawiali się, jednakże wstrętna im była ta złowroga obecność. Przeszkadzała im oddalać się dla zaznajomienia się z okolicą, była ona groźna na przyszłość, ponieważ nagiął czas powrotu na północ. Syn Lamparta przemyślał o sposobach oddalenia Kzamów od swego szlaku.

Nie przestawał składać daniny wodzowi Mamutów. Trzy razy dziennie zbierał mu soczystą paszę i siedząc przy nim spędzał długie chwile usiłując zrozumieć jego mowę i dać mu pojąć swoją. Mamut chętnie słuchał słów człowieka, potrząsał łbem i wydawał się zamyślony, czasami jakieś osobliwe światelko błysnęło w jego brunatnym oku lub marszczył powiekę jakby się śmiał. Wtedy

Naoh myślał:

121

— Wielki Mamut rozumie Naoha, lecz Naoh nie rozumie go jeszcze.

Tymczasem wymieniali ruchy, których znaczenie nie ulegało wątpliwości, a które dotyczyły pokarmu. Gdy koczownik zawołał:

— Oto jest!

Mamut zbliżał się natychmiast, nawet jeżeli Naoh był ukryty, albowiem wiedział on, że były tam korzenie, świeże łodygi lub owoce. Z wolna nauczyli się przywoływać nawet bez powodu.

Mamut wydawał łagodny dźwięk trąba. Naoh wymawiał jedn[^] lub dwie sylaby. Byli zadowoleni, że są obok siebie. Człowiek siadał na ziemi, Mamut zerował wokół niego, a czasem dla zabawy podnosił go owijając lekko trąba.

**Dla osiągnięcia celu Naoh nakazał swym wojownikom skła-
dać daninę dwu innym Mamutom, które były wodzami przy bo-
ku tego olbrzyma. A że teraz spoufaliły się już z koczownikami,
darzyły więc ich uczuciem jakiego od nich żądano. Następnie
Naoh nauczył młodzieńców, jak należy przyzwyczajać olbrzymy
do swego głosu i to z takim powodzeniem, iż na piątą dzień Ma-
muty przychodziły na krzyk Nama lub Gawa.**

**Ulhamrowie doznali wielkiego szczęścia. Pewnego wieczora
przed samym zachodem Naoh nagromadziwszy gałęzi i suchych
traw ośmielił się podłożyć pod nie Ogień. Powietrze było świeże,
dosyć suche, wiatr słaby. I płomień rósł, z początku czarny od
dymu, potem czysty, huczący, koloru jutrzni.**

**Mamuty zbiegły się ze wszystkich stron. Widać było ich
wielkie łby zbliżające się oraz błyszczące zaniepokojeniem oczy.
Bardziej wrażliwe zatrąbiły. Bo znały one Ogień!
Spotykały go na**

sawannie i w lesie. Gdy spadał piorun, gonił je ze strasznym traskiem. Jego oddech przypiekał im ciało, zęby jego przebijały skórę, niedostępna dla ran. Stare Mamuty przypominały sobie towarzyszy zaskoczonych przez tę straszną klęskę, towarzyszy, którzy już nie powrócili. Dlatego też spoglądały z bojaźnią i groźbą na te płomienie, koło których stały małe pionowe stworzenia.

Naoh, wyczuwając ich niechęć podszedł do Wielkiego Mamuta i przemówił doń:

122

— Ogień Ulhamrów nie może uciec, nie może rozszerzać się poprzez roślinność, nie może rzucić się na Mamuty. Naoh uwięził go w ziemi, gdzie nie znajdzie dla siebie żadnego pożywienia.

Olbrzym, przyprowadzony na dziesięć kroków do płomienia, przypatrywał się mu bardziej ciekawym niż jego towarzysze i

przejęty nieokreślona ufnością widząc swych słabych przyjaciół
tak pewnych siebie, uspokoił się... A że jego
wzburzenie lub spokój stanowiły od dłuższego czasu o wzburzeniu lub
spokoju stada,
wszystkie powoli straciły lęk przed
unieruchomionym Ogniem
Ulhamrów, jakiego doznawały przed strasznym
Ogniem pędzącym po stepie.

Tak więc Naoh mógł żywić płomień i odpychać
otaczające
ciemności. Tego wieczoru jadł mięso, korzenie i
grzyby pieczone
i rozkoszował się nimi.

Na szósty dzień obecność Kzamów stała się jeszcze
bardziej
nieznośna. Naoh wrócił teraz zupełnie do sił,
bezczywność ciążyła
mu, przestrzeń pociągała go na północ. Ujrawszy
większą ilość
kudłatych postaci wśród platanów wpadł w gniew i
zawołał:

— Kzamowie nie będą się karmili mięsem Naoha,
Gawa i
Nama!

Po czym zebrał swych towarzyszy i rzekł im:

— Zawołajcie Mamuty, z którymi zawarliście przymierze, ja zaś pójdę z wielkim wodzem. W ten sposób będziemy mogli zwal-
czyć Pożeraczy Ludzi.

Ukrywszy Ogień w bezpiecznym miejscu Ulhamrowie udali się w drogę. W miarę, jak oddalali się od obozowiska podawali paszę Mamutom, a Naoh od czasu do czasu przemawiał łagodnym głosem. Jednak w pewnej chwili olbrzymy zawały się. Po-
czucie ich odpowiedzialności przed stadem zwiększało się z każdym krokiem. Zatrzymywały się, zwracały łby ku zachodowi, wreszcie stanęły. Gdy Naoh wydał zwykły okrzyk znamionujący wezwanie, wódz Mamutów odpowiedział mu z kolei wezwa-
niem. Syn Lamparta zawrócił, położył rękę na trąbie sprzymie-
rzeńca i rzekł:

— Kzamowie ukryli się wśród drzew! Jeżeli Mamuty pomo-

ga nam ich pobić, nie odważa się oni już włóczyć
dokoła obozo-
wiska!

Wódz Mamutów pozostał niewzruszony. Nie
przestawał pa-
trzeć poza siebie na oddalone stado, nad którego
bezpieczeństwem
miał czuwać. Naoh wiedząc, że Kzamowie byli
zaczajeni o kilka
rzutów włócznia, nie chciał wyrzec się walki.
Przesunął się przez,
zarośla, za nim postępowali Gaw z Namem.
Włócznie świsnęły;

niektórzy z Kzamów stanęli na krzakach, by lepiej
celować, a
Naoh przeciągłym krzykiem wezwał pomocy.

Wtedy wódz Mamutów zrozumiał. Zatrąbił
przeraźliwie, jak
wtedy, gdy zbierał stado i pognął w kierunku
Pożeraczy Ludzi, a
za nim dwa inne samce. Naoh wywijając maczuga,
Nam i Gaw z
toporami oraz włóczniami, rzucili się naprzód z
krzykiem. Kza-

mowie przerażeni rozbiegli się wśród zarośli. Lecz
szął ogarnął
Mamuty, natarły na uciekających, jakby nacierały
na Nosorożce.
Od brzegów Wielkiej Rzeki pospieszało stado niby
bryły płowe,
miażdżąc wszystko po drodze. Spłoszone zwierzęta:
wilki, szaka-
le, sarny, jelenie, łosie, konie, antylopy, dziki
podnosiły się z le-
gowisk na całym obszarze aż po widnokrąg i
uciekały w panicznej
trwodze, jak przed wylewem rzeki.

Wielki Mamut dopadł pierwszy jakiegoś Kzama.
Ten rzucił
się na ziemię wyjąc ze strachu, lecz trąba o silnych
mięśniach zgię-
ła się do chwytu i wyrzuciła człowieka prostopadle w
górze na
dziesięć metrów, a gdy padł-na ziemię, jedna z
szerokich nóg Ma-
muta zgmiotła go jak robaka. Potem inny z
Pożeraczy Ludzi wy-
zionął ducha pod kłami drugiego samca. Widać było
jeszcze jakie-
goś młodziutkiego wojownika wijącego się wśród
wycia i płaczu
w śmiertelnym uścisku.

Stado nadbiegło. Fal[^] zalało zarośla. Wał mięsa pokrył równinę. Ziemia pulsowała jak pierś. Wszyscy Kzamowie, którzy znaleźli się na drodze olbrzymów, począwszy od Wielkiej Rzeki, aż po wzgórza i gaj jesionowy, zostali zamienieni w krwawe błoto. Wtedy dopiero minął szal Mamutów. Wódz, który zatrzymał się u podnóża pagórka zatrąbił na znak, że walka skończona. Wszystkie stanęły z oczami błyszczącymi, ciężko dysząc.

124

Ci z Kzamów, którzy ocaleli z pogromu uciekali w panicznym strachu na południe. Nie trzeba już było obawiać się ich zaszczek. Wyrzekli się na zawsze ścigania i pożerania Ulhamrów, nieśli swej hordzie zadziwiająca wieść o przymierzu ludzi z północy z Mamutami, o czym podanie miało przechować się poprzez niezliczone przyszłe pokolenia.

Przez dziesięć dni Mamuty, idąc wzdłuż brzegu rzeki, schodziły ku nizinom. Życie ich było piękne. Tym zwierzętom doskonale przystosowanym do swych pastwisk moc wypełniała potężne boki. Obfite pożywienie czekało na nich przy każdym skręceniu rzeki, w błotnym łące, w pogłębieniu równin i wśród starych, poważnych borów.

Żadne zwierzę nie stawało im na drodze. Władcy przestrzeni byli zależni jedynie od siebie, wędrując lub wypoczywając według upodobania. Przodkowie przygotowali ich zwyczajność, wydoskonalili zmysły, zmiękczyli ich obyczaje społeczne, ustanowili ich pochody, sposób zachowania się, obozowania, porządek starszeństwa, przygotowali ich do obrony słabszych, a porozumiewania się z mocniejszymi. Ich mózgi wyróżniały się wrażliwością, a zmysły były wyczulone, spojrzenie posiadały bystre, a nie błędne

**jak konie lub Tury, powonienie czule, dotyk pewny,
słuch ostry.**

**Ogromne lecz giętkie, ciężkie lecz zwinne,
przeszukiwały
wodę i ziemię, badały przeszkody, węszyły, zrywały,
wyrzywały,
gniotły wszystko trąba pokryta siatka nerwów, która
wiła się jak
waż, ścisła jak Niedźwiedź, pracowała jak ręka
ludzka. Ich kły
ryły ziemię, jednym uderzeniem olbrzymich nóg
miażdżyły Lwa.**

**Nic nie ograniczało zwycięstwa ich gatunku. Czas i
prze-
strzeń należały do nich. Któż mógłby zakłócić ich
spokój? Kto
przeszkodziłby im w rozmnażaniu się w pokolenia
tak liczne, jak
te, od których same pochodziły?**

**Tak myślał Naoh towarzysząc tłumowi olbrzymów.
Przysłu-
chiwał się z radością, jak ziemia trzeszczała podczas
ich pochodu,
przyglądał się z dumą ich długim rzędom dążącym
pokoju,
grupującym się przed rzeką lub pod poźółkłymi
konarami. Wszys-**

tkie zwierzęta zbaczały przy ich zbliżaniu się, a ptaki, aby je uj-

126

rzyć, spuszczały się z obłoków lub wlatywały spośród trzcin.

Były to dni tak spokojne i obfite, że Naoh, gdyby nie wspomnie-

nie Gamli, pragnął by trwały bez końca. Gdy teraz poznawszy

Mamuty, uważał je za mniej szorstkie, mniej chwiejne, a bardziej

rozsądne od ludzi. Wódz ich nie był na podobieństwo Fauhma

straszny nawet dla swych przyjaciół, prowadził stado bez gróźb i

bez przewrotności. Nie było ani jednego Mamuta, który by miał

drapieżne usposobienie Aghoo lub jego braci.

O świcie, gdy rzeka zaczynała szarzyć na wschodzie.

Mamuty

wstawały z wilgotnej ziemi. Ogień trzeszczał

podsypany sosną lub

jaworem, topolą lub lipą, a w głębi leśnej, na brzegu spowitym w

mgły, zwierzęta pojmowały, że słońce — życie świata poczyna

się. Rozszerzało się ono w obłokach, znaczyło na nich
godła tego
wszystkiego, co pod jego wpływem wylaniało się z
nicości mro-
ków; co bez niego jak porfiry, kwarce, piaskowce,
pokłady miki,
minerały, rzadkie kamienie, marmury, drzemało
bezbarwne i zim-
ne; godło tego, co ono tworzyło kształtnego i
barwnego, porusza-
jąc wzburzonym morzem i dając mu możliwość
ulatniania się w
przestworza, by tkać rośliny i urabiać ciało zwierząt.

Gdy jasność wypełniła ociążałe jesienne niebo,
Mamuty trąbi-
ły i używały tej młodości, która jest w poranku, a
która każe za-
pominać o wieczorze. Gonily się po zakrętach zatok
aż do cypli
przyłądków, zbierały się w gromady zadowolone tą
myślą prostą,
a zarazem głęboką, że mają wszystkie te same
kształty, te same
upodobania, te same ruchy. Po czym nie śpiesząc się,
bez wysiłku
wykopywały korzenie, wyrywały łodygi, pasły się
trawą, gryzły
kasztań i żołędzie, smakowały pieczarki, gąski,
kurki, smardze i

trufle. Lubily chodzić razem do wodopoju. Wtedy stado ich zdawało się liczniejsze, ich tłum większe wywierał wrażenie.

Naoh wspinał się na jakikolwiek pagórek lub wdrapywał się na skałę, by patrzeć, jak posuwały się ku brzegowi.

Grzbiety ich toczyły się jak fale wezbranej rzeki, ich szerokie nogi dziurawiły glinę, ich uszy kształtu olbrzymich nietoperzy poruszały się jakby gotowe w każdej chwili do lotu. Wywijaly trąbami podobnymi do pni krzaków pokrytych zabłoconym mchem, a

127

setki kłów wysuwały swe gładkie oszczepy połyskujące i zakrzywione.

Powracał wieczór. Obłoki znowu nabierały wspaniałości wszechrzeczy, zapadała noc drapieżników jak mgła fioletowa, a Ogień zaczynał rosnać. Ulhamrowie dawali mu dużo pożywienia!

Pożerał łakomie drzewa sosnowe i trawy suche,
dyszał gryząc
wierzbę, oddech jego przesycony łodygami i
wilgotnymi liśćmi
stawał się cierpki. W miarę jak rósł, jego postać
rozjaśniała się,
głos jego się wzmagał, osuszał chłodną ziemię i
odpychał ciemno-
ści na tysiąc kroków. Gdy mięso, kasztany i korzenie
począły
wydawać przenikający zapach. Wielki Mamut
zbliżał się, by pa-
trzeć na ognisko. Przyzwyczał się doń, doznawał
przyjemnego
uczucia pod jego pieścizotą i kierował nań swe
myślące oczy
przyglądając się ruchom Naoha, Nama i Gawa, gdy
rzucali kona-
ry, gałęzie lub zielska w jego szkarłatną paszczę. Być
może, iż po-
myślał przelotnie, że plemię Mamutów byłoby
jeszcze silniejsze,
gdyby mogło posługiwać się Ogniem.

Jednego wieczoru podszedł bliżej niż zwykle,
wysuwając trą-
bę węszył tchnienia, co unosiły się z tego stworzenia o
zmiennych
kształtach i stanął tak nieruchomo, że wydawał się
skałą szyfrowa.

Po czym schwyciwszy duża gałąź, trzymał ją chwilę zawieszona w powietrzu i cisnął w środek płomieni. Trysnęła tysiadcem iskier, zaszumiała, zahuczała, zadymiała, wreszcie zagorzała. Wtedy zadowolony, potrząsając łbem, położył trąbę na ramieniu Naoha, który stał nieruchomo osłupiały ze zdumienia. Myślał, że Mamuty potrafią tak jak i ludzie podtrzymywać Ogień i zapytywał siebie, czemu spędzały noce w chłodzie i wilgoci.

Od tego wieczora Wielki Mamut jeszcze bardziej zbliżył się z koczownikami. Pomagał zbierać zapasy drzewa, podsyczał Ogień roztropnie i ostrożnie, pogrążał się w zadumie to w miedzianym, to purpurowym świetle, zależnie od stopnia natężenia płomieni. Nowe pojęcia wytwarzające niejako związek myślowy pomiędzy nim a Ulhamrami rozwijały się w jego ogromnej czaszce. Rozumiał wiele słów i dużo ruchów. Sam potrafił dać się zrozumieć. W owych czasach słowa jakie zamieniali między sobą ludzie nie prze-

kraczały czynów bezpośrednich i szybko po sobie następujących.

Przezorność Mamutów i ich znajomość otoczenia dosięgły szczy-

tu. A więc ich wódz układał z góry porządek wędrówki stada, a

z chwila, gdy wkraczały na ziemie podejrzone lub wątpliwe, wy-

syłał naprzód wywiadowców. Jego doświadczenie kierowane

trwała pamięcią podszycona rozmyślaniami było wielostronne i peł-

ne rozmachu. Chociaż mniej dokładnie, niż Naoha, posiadał jednak

pewne poglądy na wodę, rośliny i zwierzęta, przewidywał kolejne

następstwa ponurych i żyznych pór roku, rozróżniał z grubsza bieg

słońca i nie mieszał go z biegiem księżyca. Gdyby mówił językiem

ludzi nie okazałby się bardziej pozbawiony rozumu niż Aghoo z

braćmi, a nawet umiałby wyrazić pewne rzeczy o jakich sam

Goun nie miał pojęcia.

Bo aczkolwiek ludzie od tysięcy wieków powiększali i dos-
konalili swoje wiadomości przez to wszystko, czego
na co dzień
doświadczali i co obrabiali rękami, to jednak
Mamuty przy pomo-
cy swej cudownej trąby rozwijały takie pojęcia,
które pozostawały
obce ludziom. Lecz mowa Mamutów, ograniczona do
kilku
dźwięków i niektórych znaków, nie była w stanie
wyrazić tego
wszystkiego, co było im wiadome. Mózg tych, które
posiadały
najbardziej wyczulone zmysły był osamotniony, ani
jedna złożona
myśl nie była zdolna połączyć się z inna lub
rozprzestrzenić się za
pomocą tego potoku podań ustnych, które wśród
ludzi porywały,
gromadziły, urozmaicały nieustannie doświadczenie,
pomysło-
wość i wyobraźnię. Niemniej ta różnica między
Mamutami a ludź-
mi nie była nie do przebycia. Bo jeżeli zwyczaje
dziedziczne Ma-
mutów ograniczały się do naśladowania czynów i
ruchów powta-
rzających się przez całe tysiąclecia, do
przekazywania wybiegów,

sposobów postępowania, do prostego rozwoju pojęć
o użytecz-
ności przedmiotów lub obowiązków względem
gromady, czy
też względem jednostki, miały w zamian przewagę w
zmyśle spo-
łecznym. Posiadły go o wiele dawniej niż ludzie, a
długie życie
sprzyjało pogłębianiu się tego doświadczenia.
Albowiem człowiek
nie był tak zbudowany, aby mógł żyć tyle pór, co
Mamut i o wie-
le łatwiej podlegał wypadkom powodującym śmierć;
nie mógł h-

Walka..

129

czyć na skuteczną opiekę — nienawiść podobnych
mu istot groziła
nie tylko na zewnątrz, ale i w łonie samej hordy. Było
zatem wię-
cej Mamutów, które otrzymały od życia naukę, w
równej mierze
trwała jak bogata, niż takichże ludzi. Otóż Naoh u
swego olbrzy-
miego towarzysza, którego długie bytowanie nie
naruszyło jego

mocy, zwinności i pamięci, którego oko, słuch i powonienie zachowały swą młodość, dostrzegł cechy i ujrzał je za wyższe od cech starego Gouna, którego wspomnienia były mnogie, lecz stawy sztywniały, ruchy stawały się powolne i niepewne, słuch tępy a wzrok mętny...

Tymczasem Mamuty nie przestawały postępować w dół Wielkiej Rzeki, ich droga oddalała się od szlaku, który powinien doprowadzić Ulhamrów do ich hordy. Ponieważ rzeka płynąca z początku na północ skręcała ku wschodowi, by znowu podążać na południe, Naoha naszedł niepokój. O ile bowiem stado nie zechce porzucić brzegów rzeki, będzie zmuszony opuścić je. A życie pośród ogromnych i życzliwych towarzyszy stało się im miłe. Po okresie zupełnego bezpieczeństwa być skazanym na samotność wydało się strasznym. Tam podczas dżdżystej, jesiennej pory, wśród drapieżników na bezmiernym wędzącym stepie, będą w

dzień i w nocy śledzeni, narażeni na zasadzki, na
gwałtowność ży-
wiolów i przewrotność płowych Kotów.

Pewnego rana Naoh stanął przed wodzem Mamutów
i prze-
mówił doń:

— Syn Lamparta zawarł przymierze z horda
Mamutów. Ser-
ce jego raduje się. Szedłby za nimi przez niezliczone
zmiany pór,
lecz musi zobaczyć znów Gamie u brzegów
Wielkiego Moczaru.
Droga jego prowadzi na północ i ku zachodowi.
Dlaczego Mamu-
ty nie miałyby opuścić brzegów rzeki?

Oparł się o jeden z kłów Mamuta; zwierzę
wyczuwając jego
zmieszanie i wagę jego zamiarów, słuchało
nieruchome. Po czym
zakołysało swa wielka głowa i podążyło dalej
naprzód, by wska-
zywać drogę stadu, które nie przestawało
postępować brzegiem
rzeki. Naoh pomyślał, że była to odpowiedź
olbrzymia.

I powiedział sobie:

— Mamutom potrzebna jest woda... Ulhamrowie również woleliby iść brzegiem rzeki...

Konieczność stanęła przed nim. Wydał głębokie westchnienie i zawołał swych towarzyszy. A ujrzawszy znikający koniec stada wszedł na pagórek. Spoglądał w dal za wodzem, który dał mu gościnę i uratował przed Kzamami. Pierś mu wzbierała boleścią i lękiem, a kierując swój wzrok na północo-zachód, na step i chaszcze, które jesień znaczyła, poczuł swa człowiecza beziłę, a serce jego wznosiło się pełne tkliwości ku Mamutom i ich pomocy.

CZEŚĆ TRZECIA

Czerwone Karły

Przeszły ulewne deszcze. Naoh, Nam i Gaw brodzili
przez
zalane ziemie, bładzili pod spróchniałymi konarami,
przebyli
szczyty i odpoczywali pod ochroną gałęzi, w
szczelinach skał i w
norach. Była to pora grzybów. Wszyscy trzej,
wiedząc, że są one
zdradzieckie i mogą zabić człowieka równie dobrze,
jak jad węży,
jedli jedynie te, o których kształcie i gatunku byli
pouczeni przez
starców. Odróżniali je także po zapachu. Gdy
brakowało im mię-
sa szli zależnie od miejsca i położenia na
poszukiwania to borowi-
ków, to kurek, to smardzów, to pieczarek lub
podpieńków. Szli

132

r

po nie w cień puszczy wilgotnej, pomiędzy ociekające
dęby, wią-
zy toczone przez mchy, jawory pordzewiałe lub w
ciche doliny,
pod urwiska skał z łupku, piaskowca i porfiru.

Teraz, gdy zdobyli Ogień, mogli je piec nanizane na pręty lub ułożone na kamieniach, a nawet na glinie. Piekli również żółdzie oraz korzenie, niekiedy kasztany, gryźli bukowe, orzechy, wyciskali słodkie soki z klonów.

Ogień był ich radością a zarazem obiektem troski. Podczas burz i ulewnych deszczów ochraniali go z przebiegłością i uporem. Czasami, gdy woda lała strumieniem zbyt ulewnym i nadto uporczywie, niezbędne stawało się dla nich jakiegokolwiek schronisko, o ile nie dawały go ani skały, ani drzewa, ani ziemia, musieli je ryć lub budować. W taki sposób tracili dużo dni. Tracili je również na omijaniu przeszkód. Idąc na przełaj, przedłużyli być może sobie drogę. Tego nie wiedzieli, dążyli bowiem ku krainie Uhamrów zdając się na swe zmysły i kierując słońcem, które bezustannie, choć coraz mniej wyraźnie, wskazywało im drogę.

Doszli na skraj ziemi piasków, poprzecinanej żyłami
granitu i
bazaltu. Starcza, nędzna, a zarazem groźna równina
jakby zagra-
dzała cały północo-wschód. Gdzieniegdzie rosła na
niej szorstka
trawa, kilka sosen zaledwie wegetowało na tym
morzu piasku,
mchy wgryzały się w kamień zwieszając się
spłowiałym runem; to
zając cherlawy, to antylopa skarłowaciała
przebiegały zbocza
wzgórz lub wąwozy wśród pagórków. Deszcz
ustawał, nikłe
chmury mknęły wraz z żurawiami, gęśmi i bekasami.

Naoh wahał się zapuścić w tę opłakaną okolicę.
Dzień miał
się ku schyłkowi, ziemiste światło sunęło po
przestworzach, wiatr
huczał głucho i złowrogo.

Na widok tej pustyni wszystkich trzech zwróconych
twarzą
ku piaskom i skałom przeszedł zimny dreszcz. Lecz
że mięsa mieli
pod dostatkiem, płomień zaś jasno świecił w
klatkach, ruszyli na-
przód ku swemu przeznaczeniu.

Pięć dni już upłynęło, a nie widzieli jeszcze końca
gołej, piasz-
czystej równiny. Byli głodni. Lekkie i chyże
zwierzęta wymyka-
ły się przed ich zasadzkami. Czuli pragnienie,
albowiem deszcz

133

ustał a piasek wypijał wodę. Niejednokrotnie Ogień
groził zamar-
ciem. Szóstego dnia trawa stała się mniej rzadka,
mniej szorstka i
sosny ustąpiły miejsca jaworom, platanom i topolom.
Kałuże
mnożyły się, ziemia poczerniała, niebo jakby zniżyło
się pełne gęs-
tych chmur, które rozwierały się w nieskończoność.
Ulhamrowie
spędzili noc pod osika zapaliwszy kupę porowatego
drzewa i liści,
które jęcząc pod ulewą wydawały duszące tchnienia.

Z początku czuwał Naoh, po czym przyszła kolej na
Nama.

Młody Ulhamr chodził przy ognisku. Dokładał
starań, aby nie
wygasło, ożywiając płomień zaostrzoną gałęzią i
suszył przygoto-

wane drzewo, nim odda je płomieniom na pożarcie.

Ociężałe

światło wlokło się poprzez parę i dym, wydłużało się na gliniastej

ziemi, przesuwało wśród drzewiny zaledwie rumieniając listowie.

Naokoło niego pełgały ciemności, te przenikały wszystko. Stru-

mienie wody upodabniały się do niezmiernej smolnej cieczy. Nam

nachylony osuszał swe ręce i ramiona, po czym jął nasłuchiwać.

Niebezpieczeństwo czaiło się w czarnej otchłani.

Mogło ono roz-

szarpać pazurem lub paszczą, zmiażdżyć nogami stada, "zadać

przez węża zimną śmierć, połamać kości toporem lub przebić

piersi włócznią.

Nagle wojownik zadrżał. Jego czujność i zmysły napięły się.

Poznał, że coś żyjącego krążyło wokoło Ognia i z lekka trącił wo-

dza. ..

Naoh jednym susem stanął na nogach i z kolei począł badać

otaczającą ich noc. Wiedział już, że Nam nie omylił się. Przecho-

dziły jakieś istoty, których wyziewy dzięki wilgotnym roślinom oraz dymowi zatracaly swą osobliwą woń. Syn Lamparta wynioskował jednak, że byli to ludzie. Uderzył trzy razy silnie w najbardziej rozgorzałą część ogniska: wybuchły płomienie, mieniając się szkarłatem i siarką, w oddaleniu skryły się jakieś postacie.

Naoh obudził trzeciego towarzysza.

— Przyszli ludzie! — wyszeptał.

Stojąc ramię przy ramieniu długo próbowali przeniknąć ciemności, jednak nic się już nie ukazało. Ani jeden niesamowity odgłos nie zamącił jednostajnego chlupotu deszczu. Ani jeden zapach

134

r

przypominający coś sobą nie unosił się w podmuchach wiatru.

Gdzie się więc kryło niebezpieczeństwo? Czy była to horda, czy

też kilku ludzi, którzy chętnie błądzili w samotności?
Jakiej trzymać się drogi w razie ucieczki lub walki?

— Strzeżcie Ognia! — rzekł wreszcie wódz.

Towarzysze ujrzeli, jak postać jego poczęła zmniejszać się, przybierać mgliste kształty, po czym pogrążyła się w niewiadome.

Z początku jął krążyć, następnie skierował się ku krzakom, gdzie skryli się ludzie. Ogień służył mu za przewodnika.

Pomimo, że sam był niewidoczny mógł jednakże rozróżniać różowawą poświatę mroku. Naoh zatrzymywał się nieustannie. Dzierżył maczugę i topór w garściach a niekiedy przykladał ucho do ziemi.

Nie zaniedbywał przy tym iść po linii krętej, a nie prostej. Dzięki miękkiej ziemi oraz przezorności z jaką posuwał się naprzód naj-

wrażliwsze ucho wilka nie zdołałoby uchwycić odgłosu jego kroków. Zanim dotarł do krzaków, zatrzymał się.

Upłynął czas powien, nie słyszał i nie spostrzegał nic prócz padających kropel, po-

szumu roślinności i ucieczki jakiegoś zwierzęcia.

Wówczas obrał inny kierunek, przeszedł poza krzaki i nawrócił, nie wykrył żadnego śladu.

Wcale go to nie zadziwiło, był już zawczasu zorientowany o wszystkim przez swe zmysły i oddalił się w stronę pagórka, który zauważył o zmierzchu. Dosięgnął go błędząc cokolwiek i wspiał się nań. Tam w dali, w załamaniu rozpościerającej się przed nim równiny, poprzez opary, widniało jakieś światło. Naoh rozpoznał w nim Ogień rozniecony przez ludzi. Odległość była tak znaczna, a powietrze tak mgliste, że z trudem odróżnił kilka niewyraźnych postaci. Nie miał jednak najmniejszej wątpliwości co do ich natury. Dreszcz, jaki go przejął na brzegu jeziora, powtórzył się. A niebezpieczeństwo tym razem było groźniejsze, albowiem obcy ludzie już wiedzieli o obecności Ulhamrów, zanim sami zostali odkryci.

Naoh zawrócił do swych towarzyszy, z początku szedł wolno, a skoro Ogień stał się wyraźniejszy, przyspieszył kroku.

— Tam są ludzie! — wymówił z cicha.

135

Wyciągnął rękę ku wschodowi, pewny, że się nie myli.

Trzeba ożywić Ogień w klatkach — dorzucił po chwili. Powierzył tę czynność Namówi i Gawowi, podczas, gdy sam rozrzucił gałęzie wokół ogniska, aby stworzyć z nich coś w rodzaju ogrodzenia; ci, którzy by się zbliżyli, mogliby łatwo odróżnić światło płomienia, lecz nie zdołaliby dojrzeć, czy go ktoś pilnuje. Gdy oporzędzono już klatki a zapasy rozdzielono, Naoh nakazał zebrać się w drogę.

Deszcz stawał się drobniejszy, wiatr ucichł. Jeżeli nieprzyjaciele nie zagrodzą drogi lub nie dostrzegą natychmiast ich uciecz-

ki, to otoczą ognisko, które paliło się samotnie, a przypuszczając, że jest strzeżone, nie natrą, zanim nie zastosują przeróżnych podstępów. Wobec tego Naoh będzie mógł ich znacznie wyprzedzić.

Ze świtem deszcz ustał. Smętne światło wzniosło się z otchłani, jutrzienka nędznie pełgała poza obłokami. Od pewnego już czasu Ulhamrowie wchodzili na łagodną pochyłość, gdy osiągnęli wierzchołek nie widzieli z początku nic prócz sawanny, zarośli oraz lasów koloru łupku i ochry z błękitnymi wyspami i rudymi polanami.

— Ludzie stracili nasz ślad — wyszeptał Nam.
Lecz Naoh odpowiedział:

— Ludzie gonią nas!

Istotnie dwie postacie wyszły u wideł rzeki, tuż za nimi podążało koło trzydziestu innych. Pomimo odległości Naoh osądził, że były one niezwykle niskiego wzrostu. Nie można jeszcze było

rozpoznać rodzaju ich broni. Napastnicy nie widzieli ukrywających się za drzewami Ulhamrów, od czasu do czasu zatrzymywali się, sprawdzając tropy. Liczba ich powiększyła się. Syn Lamparta przypuszczał, że było ich przeszło pięćdziesięciu. Zresztą nie wydawało się, by posiadali tę samą chyżość co uciekający.

O ile by Ulhamrowie nie zawrócili, to byliby zmuszeni przejść przez pas ziemi prawie nagiej lub zarośniętej niską trawą. Najlepiej zatem było iść wprost przed siebie licząc na znużenie wroga. Ponieważ koczownicy spuszczaali się z pochyłości, przebyli kawał drogi bez zmęczenia. A gdy obejrzelili się, ujrzeli napastni-

i36

ków na szczycie wzgórza rozprawiających z ożywieniem. Odległość między nimi znacznie się zwiększyła. .

Z wolna okolica stawała się mniej jednostajna. Stała się jakaś

równinna, nawarstwiona złożami kredy,
gdzieniegdzie była pokur-
czona i wzdęta. Dalej szło pustkowie zarośnięte
twardym ziel-
skiem, pełne zasadzek, bagien ukrytych, których
zrazu nie było
widać, a które należało obchodzić.

Gdy ominęli już jedno, pojawiły się inne tak, że
koczownicy
wcale nie posuwali się naprzód. Nareszcie pokonali
te przeszkody.
Wtedy ukazała się przed nimi ziemia czerwona, co
rodziła kilka
wynędzniałych sosen, bardzo strzelistych i bardzo
smukłych. Była
otoczona torfowiskami. Dalej ujrzeni znowu
sawannę. Naoh ura-
dował się jej widokiem. Wtem z lewej strony pojawił
się jakiś za-
stęp ludzi, których kształty rozpoznał.

Byli to ci sami co z rana? Widać obeznani z okolicą
udali się
krótszą drogą niż oni? A może była to inna gromada
tegoż same-
go pokolenia? Znajdowali się dość blisko, można
było dokładnie
widzieć małe ich postacie, najwyższy z nich z
ledwością dosięgnął-f

by czołem do piersi Naoha. Głowy mieli duże,
ciężkie, twarze o
wąskim czole i szerokich szczękach, barwa skóry
przypominała
czerwień ochry. Chociaż byli wątli, jednak ruchy ich
i blask oczu
znamionowały plemię żywotne. Na widok Ulhamrów
wydali
krzyk podobny do krakania kruków, potrząsali
oszczepami i włócz-

niami.

Syn Lamparta spoglądał na nich ze zdumieniem.
Gdyby nie
rzadkie kępy włosów na policzkach, starczy wygląd
niektórych
oraz broń, którą dźwigali, wziąłby ich za dzieci,
mimo szerokich
piersi.

Zrazu nie wyobrażał sobie, by ośmielili się
spróbować walki.
Wahali się. I skoro Ulhamrowie podnieśli maczugi i
włócznie, a
na równinie rozległ się głos Naoha, który zagłuszył
ich krzyk, jak
ryk Lwa zagłusza krakanie wron, usunęli się. Musieli
jednak być

usposobienia wojowniczego, wszyscy razem
powtórzyli swój pe-
łen groźby okrzyk. Po czym rozsypali się półkolem.
Naoh wie-
dział, że chcą go okrążyć. Obawiając się ich
przebiegłości bardziej

137

niż siły nakazał odwrót. Rośli koczownicy w
pierwszym zapale
bez trudności wyprzedzili ścigających, jeszcze mniej
szybkich od
Pożeraczy Ludzi. Jeżeli uciekający nie napotkają
przeszkód, to po-
mimo obciążenia klatkami nie powinni się dać
dogonić.

Lecz Naoh nie chciał narażać się na zasadzki ludzi i
ziemi, na-
kazał swym wojownikom biec dalej, a postawiwszy
Ogień, jął
podpatrywać wroga.

W swym zapale biegli w nieładzie. Trzech czy
czterech bar-
dziej szybkich znacznie wyprzedziło swój oddział.
Syn Lamparta
nie tracił czasu. Spostrzegł kilka kamieni, które
dołączył do swej

broni i popędził ku Czerwonym Karłom. Ten zwrot
wprawił ich
w osłupienie. Obawiali się raczej podstępu. Jeden z
nich, co zda-
wał się wodzem, krzyknął przenikliwie, zatrzymali
się. Tymcza-
sem Naoh dobiegał do tego, w którego chciał ugodzić
i zawołał:

— Naoh, syn Lamparta, nie życzy zła ludziom, nie
uderzy,
jeżeli zaprzestana pościgu!

Wszyscy słuchali z twarzami nieruchomymi. Widząc,
że Ul-
hamr przestał się zbliżać, zaczęli go okrażać. Wtedy
Naoh
wzniósłszy kamień krzyknął:

— Syn Lamparta będzie bił Czerwonych Karłów!
Wobec ruchu, w którym była groźba, śmignęły trzy
czy czte-
ry włócznie, lecz siła ich rzutu była mniejsza od siły
na jaka mógł
się zdobyć koczownik. Rzucił kamieniem. Ten, w
którego celo-
wał, zraniony upadł. W tejże chwili cisnął drugim
kamieniem,
lecz chybił, po czym trzecim, który głucho uderzył w
pierś jedne-

go z wojowników. Wtedy szyderczym ruchem pokazując na czwarty kamień, nastawił groźnie włócznię. Otóż Czerwone Kar-
ły lepiej pojmowały znaki, niż Ulhamrowie i Pożeracze Ludzi, al-
bowiem mniej posiłkowali się mowa składana. Wiedzieli, że włócz-
nia będzie niebezpieczniej sza od kamienia. Ci co wysunęli się bar-
dziej naprzód cofnęli się ku gromadzie, a syn Lamparta począł ustępować wolnym krokiem. Szli za nim w niejakiej odległości.
Za każdym razem, gdy któryś z nich wyprzedzał towarzyszy,
Naoh wydawał groźne warczenie i potrząsał bronią. W ten sposób
pojegli, że było dla nich niebezpieczniej gonić go w rozsypce, niż

pozostawać w kupie, a Naoh osiągnąwszy swój cel znowu rozpo-
czął bieg.

Ulhamrowie uciekali przez większa część dnia. Gdy zatrzy-

mali się, już od dłuższego czasu nie było widać
Czerwonych Kar-
łów. Chmury przerwały się i słońce płynęło błękitna
szczelina nad
pustkowiec. Ziemia, z początku zwarta i twarda,
znowu stała się
mniej dogodna. Ukrywała trzęsawiska, co chwytaly
nogi i wciąż-
gały w otchłań. Duże jaszczury pełzały po
przylądkach, węże wod-
ne o skórze sinawej i rudej lśniły między wodami,
żaby podskaki-
wały rechocząc, długonogie ptaki przebiegały
chyłkiem lub prze-
cinały powietrze lotem drżącym jak liście osiki.

Wojownicy pożywili się pośpiesznie. Obawiając się
zasadzek
tej ponurej okolicy, usiłowali znaleźć wyjście.
Chwilami zdawało
się, że osiągnęli już cel. Ziemia stawała się bardziej
zwarta. Buki,
jawory, paprocie następowały po wierzbach,
topolach i trawach
błotnych. Wkrótce rozpoczęły się zdradzieckie wody,
zguba czy-
hała na nich na każdym kroku — wszelkie wysiłki
okazały się da-
remne.

**Nadchodziła noc. Słońce przybrało barwę świeżej
krwi, zapadało na zachodzie zatopionym w torfowiskach,
grzęzło w bagnach. ..**

**Ulhamrowie wiedzieli, że mogli liczyć tylko na swą
odwagę i czujność. Posuwali się jeszcze tak długo, póki w
głębi przestworzy było widoczne jakieś światło. Po czym zatrzymali
się mając przed sobą pustkowie, a poza sobą powierzchnię
chaotyczną, gdzie spostrzegali kolejno to niewyraźną jasność, to
otworzeliska mroków. Nałamali gałęzi, przytoczyli kilka dużych
kamieni i połączywszy to wszystko lianami i łoziną byli na razie
zabezpieczeni od niespodzianych napadów. Wystrzegali się jednak
wzniesienia ogniska; podsycali jedynie małe Ognie na pół ukryte
w ziemi. Czekali na to coś niewiadome, co nieraz zagraża
życiu ludzkiemu, a nieraz je ratuje.**

Cypel granitowy

**Upłynęła noc. W migotliwym świetle gwiazd ani
Nam, ani
Gaw, ani wódz nie widzieli żadnej ludzkiej postaci.
Słyszeli i czuli
jedynie wilgotne podmuchy wiatru, błotne zwierzęta
i drapieżne
ptactwo o miękkich skrzydłach. Gdy poranek
rozsnuł się srebrzys-
tą mgłą, ukazało się pępne pustkowie, a za nim
bezbrzeżne
wody urozmaicone błotnymi wyspami.**

**Jeżeli nie oddalą się od brzegów, spotkają
niewątpliwie Czer-
wonych Karłów. W poszukiwaniu jakiegoś wyjścia
trzeba było iść
granicą pomiędzy pustkowieciem i bagniskami, a że nic
nie wskazy-**

141

**wało na łagodniejszy kierunek, obrali ten, który
pozornie naj-
mniej groził zasadzkami. Z początku droga okazała
się dobra. Zie-**

mia dość twarda, gdzieniegdzie tylko poprzecinana
kałużami, ro-
dziła poza pasem nadbrzeżnym niską roślinność.
Przeszli tak pół
dnia — krzaki i drzewina rosły obficie, należało
wciąż badać zwię-
żający się widnokraj. Jednakowoż Naoh nie sadił,
aby Czerwone
Karły były w pobliżu. Jeśli nie zaniechali pogoni, to
szli śladami
Ulhamrów, powinni znacznie zostać w tyle.

Zapas mięsa wyczerpał się. Koczownicy zbliżyli się
do wy-
brzeża, gdzie zwierzyny było pod dostatkiem.
Chybili dropia,
który się skrył na jednej z wysp. Następnie u ujścia
strumienia
Gaw złowił małego leszcza. Naoh przebił włócznia
wodnego der-
kacza, po czym Nam złapał kilkanaście węgorzy.
Rozniecili Ogień
z suchych traw i gałęzi uradowani, że mogą wciągać
zapach pie-
czonego pokarmu. Życie znowu było dobre, siła
nappełniła ich
młodość. Myśleli, że Czerwone Karły poniechały już
pogoni.
Dogryzali kości derkacza, wtem z krzaków
wyskoczyły zwierzę-

ta. Naoh rozpoznał, iż uciekały one przed licznym
nieprzyjacie-
lem. Podniósł się i zauważył pomiędzy krzakami
jakaś skradająca
się postać.

— Czerwone Karły powróciły! — rzekł.

Niebezpieczeństwo było groźniejsze niż poprzednio.
Albo-
wiem Czerwone Karły mogły teraz postępować za
Ulhamrami
pod przykryciem i przeciąć im drogę urządziwszy
zasadzkę.

Pomiędzy moczarami a krzewiną ciągnęło się prawie
nagie
pasma ziemi dogodne do ucieczki. Ulhamrowie
pośpiesznie ze-
brali klatki, broń i pozostałe zapasy. Nic nie stanęło
na przesko-
dzie ich odejściu. Gdyby nieprzyjaciel ścigał ich
przez krzaki mu-
siałyby znacznie za nimi pozostać w tyle, a trzymając
się kupy, był
mniej chyży i roślinność utrudniałaby mu posuwanie
się naprzód.
Z początku rozszerzała się jałowa pustynia,
następnie zwężała się

wśród drzew, krzaków i wysokich traw. Niemniej
ziemia pozostawała twarda i Naoh był pewien, że wyprzedził
Czerwonych
Karłów. Dopóki jakaś przeszkoda nie stanie im na
drodze, zachowają przewagę.

142

Jednakże owe przeszkody pojawiły się. Moczary
wyciągały
na równinie swe macki: głębokie zalewy, bagna,
rowy przepelnione lepкими roślinami. Uciekający spostrzegli, iż
droga stawała się
coraz trudniejsza do przebycia. Musieli okrążyć,
zbaczać, a nawet
wracać do tego samego miejsca, skąd wyruszyli. W
końcu stanęli
oparci o granitowe pasmo, które z prawej strony
dotykało bez-
miernych wód, a z lewej — ziemi zatopionej
jesiennym wyle-
wem. Kościec granitowy zniżał się i ginął pod wodą.
Ulhamrowie
byli otoczeni z trzech stron, powinni teraz zawrócić,
albo zdać się
na los szczęścia.

**Była to chwila straszna. Jeżeli Czerwone Karły
znajdowały
się już u wejścia na cypel, wszelki odwrót stawał się
niemożliwy.**

**Naoh, uchyliwszy czoła przed wrogim światem,
gorzko żałował, iż opuścił Mamuty. Jego moc duchowa ugięła
się, poznał co
to jest zniechęcenie i rozpacz. Po czym owładnęła
nim potrzeba
natychmiastowego i bezwzględnego czynu. Żal minął
jak bicie
serca, miał teraz jedno jedyne poczucie tej właśnie
przeżywanej
chwili. Wymagała ona napięcia całej jego istoty i
bezustannej czuj-
ności zmysłów.**

**Wędrowcy szybko zbadali wyjścia. W dali wznosiła
się jakaś
rudawa bryła, która równie dobrze mogła być
wyspa, jak i prze-
dłużeniem cypla lub zdradzieckich grzędawisk i błot.**

**Wtedy pozostała im jedna tylko możliwość ratunku
— za-
wrócić. Namyślili się szybko i wykonali to
pośpiesznie. Przebiegli**

około dwóch tysięcy kroków i stanęli poza moczarem u skraju gęstej roślinności z rzadka porośniętej kępami i niską trawą. Nam, który ich wyprzedził, przystanął i rzekł:

— Tam są Czerwone Karły!

Naoh był tego pewien. Dla stwierdzenia nabrał kamieni i rzucał nimi nagle w gęstwiny, na którą wskazał Nam. Lekki szelest jakby ucieczki mówił o niezawodnej obecności nieprzyjaciela.

Odwrót stawał się niemożliwy. Należało przygotować się do walki. Otóż miejsce, gdzie znajdowali się Ulhamrowie nie zapewniało im przewagi i pozwalało Czerwonym Karłom osaczyć ich. Lepiej byłoby usadowić się na jednej części cypla, mając światło

143

ogniska, mogliby tam zabezpieczyć się od niespodziewanego napadu. ,

Naoh, Nam i Gaw wydali okrzyk wojenny; a podczas gdy

wygrażali bronią, Naoh wołał:

— Czerwone Karły źle czynią ścigając Ulhamrów, którzy są silni jak Niedźwiedź, szybcy jak antylopa. Jeżeli Czerwone Karły uderza, to sami stracą wielu wojowników. Sam Naoh rozłoży ich z dziesięciu... Nam i Gaw też wielu uśmierca. Czy Czerwone Karły chcą dla zabicia trzech Ulhamrów poświęcić piętnastu swoich?

Ze wszystkich stron krzaków i wysokiej trawy rozległy się wrzaski. Syn Lamparta zrozumiał, że Czerwone Karły pragną walki na śmierć. Nie dziwił się temu. Czyż Ulhamrowie po wszystkie czasy nie mordowali obcych ludzi, gdy zaskoczyli ich w pobliżu swej hordy? Stary Goun mawiał: „lepiej pozostawić przy życiu wilki lub Lamparta niż człowieka, bo człowiek, którego nie zabijesz dziś, przyjdzie później z innymi ludźmi, by cię uśmier-

cić". Naoh, jeżeliby pozostawili mu drogę otwartą,
nie powrócił-
by, aby nieść śmierć Czerwonym Karłom lecz
doskonale rozu-
miał, iż ci właśnie obawiali się tego.

Poza tym wiedział również, iż ludzie należący do
dwóch róż-
nych hord bardziej się nienawidzili, niż Nosorożec
nienawidzi
Mamuta.

Jego szeroka pierś wezbrała gniewem. Z groźnym
pomru-
kiem podszedł zaczepnie do krzaków. Zaświstały
cienkie włócz-
nie, z których ani jedna go nie dosięgła. I zaśmiał się
dziko:

— Ramiona Czerwonych Karłów są słabe!;.. To są
ramiona
dzieci!... Za każdym razem Naoh czy to maczuga, czy
toporem
powali jednego z nich!...

Wśród splatanych winorośli pokazała się jakaś
głowa, zlewała
się ona z barw[^] szcerwieniałych jesienią liści. Lecz
Naoh spo-

strzegł błysk oczu. Jeszcze raz zapragnął pokazać swą siłę bez użycia włóczni. Rzucony przezeń kamień poruszył listowie, rozległ się przejmujący krzyk.

— Oto siła Naoha... Ostra włócznia byłby on powalił Czerwonego Karła!

144

Wówczas dopiero wśród wrzasków nieprzyjaciela rozpoczął się odwrót. Wolał pójść na sam skraj cypla. Było tam dosyć miejsca dla większej ilości ludzi, a Czerwone Karły byłyby zmuszone nacierać wąskim, ścieśnionym zastępem. Od strony wody wskutek zdradzieckich roślin żadna tratwa nie mogłaby przybić, ani jeden człowiek nie śmiałby wpław się puścić. Również nie można było przedrzeć się do urwistego ostrowia, który wznosił się o sześćdziesiąt łokci do podwyższenia granitowego.

Uzbierali do wieczornego ogniska uschniętej trzciny, i teraz

nie pozostawało im nic więcej jak czekać. To wyczekiwanie było jednym z najstraszniejszych. Gdy wypatrywali Szarego Niedźwie-
dzia spodziewali się, że dzięki kilku trafnym ciosom zabija potwo-
ra. Gdy byli uwięzieni wśród bazaltowych głazów, wiedzieli, że Lew i Tygrys muszą oddalić się, by szukać zdobyczy. Przez Poże-
raczy Ludzi nigdy nie byli osaczeni...

Teraz horda co ich oblega jest przebiegła i liczna — nie spo-
sób jej wytępić. Dni będa[^] upływały za dniami, a ona nie zaprze-
stanie czuwać przy moczarach, a jeżeli odważy się napaść, to jakże
trzech ludzi będzie mogło jej stawić czoła?

Otóż Naoh popadł w moc podobnych sobie choć słabszych
istot. Ani jedna z nich nie zdołałaby udusić wilka, nigdy ich lekkie
włócznie nie przebiłyby serca Lwa, jak to czynią strzały Ulham-
rów, oszczepy napastników były bezsilne wobec Żubrów, mogły
jednak ugodzić człowieka w serce...

Syn Lamparta nienawidził potęgi swego gatunku.
Odczuwał,
że jest ona bardziej nieubłagana, bardziej złośliwa,
bardziej mści-
wa, niż potęga drapieżnych Kotów, węży i wilków. A
na wspom-
nienie dobroci Mamutów pierś jego wznosiła się,
głębokie
westchnienie wydzierało się z niej, zwracało się ku
olbrzymom z
uwielbieniem, które kiełkuje w głębi jego duszy. I
choć było
ono równie silne, jak cześć dla Ognia, było jednak
bardziej tkliwe
i łagodne...

Tymczasem słońce i woda łączyły swe świetne
bytowania.

Ogromna jest woda, nie widać jej końca, a słońce nie
jest niczym
innym, jak jedynie Ogniem tak dużym jak liść lilii
wodnej. Lecz

10 — Walka..

145

światło słońca jest większe niż sama woda,
rozpościera się nad

**moczarem, wypełnia całe niebo, które przewyższa
obszar ziemi.**

**Naoh, nie przestając myśleć o Czerwonych Karłach,
o walkach,
zasadkach i sposobie wydostania się, podziwiał to
rozlewne
światło, które powstało z małego Ognia. Straszny
ciężar przy-
gniata jego barki, serce jego skacze jak Pantera,
słyszy, jak mu ło-
moce o żebra...**

**Od czasu do czasu wstawał i unosił maczugę. Żądza
walki
przenikała całe jego jestestwo, ręce niecierpliwiły się,
że nie bija
tych, co urągają jego mocy. Lecz rozwaga i
przebiegłość powraca-
ły, albowiem bez nich żaden człowiek nie
przetrwałby jednej
zmiany księżyca. Śmierć jego byłaby nadto pięknym
zwycięs-
twem dla wroga, jeśliby sam poszedł jej szukać.
Trzeba, aby znu-
żył Czerwonych Karłów, aby nappełnił ich trwoga i
wielu z nich
zabił. Zresztą nie chce umierać, on pragnie ujrzeć
znowu Gamie.
A chociaż nie wie jeszcze jak zwiedzie czujność
hordey, jego silne**

życie zachowuje nadzieję, że nie może zgasnąć.

Z początku Czerwone Karły nie ukazywały się w obawie zasadzki, bądź w oczekiwaniu jakiegoś nierozważnego kroku ze strony Ulhamrów. Gdy dzień miał się ku schyłkowi pojawili się.

Ujrzano ich wyskakujących ze swych kryjówek.

Zbliżali się aż do

samego wejścia na granitowy cypel dziwacznymi ruchami ni to

posuwistymi, ni to w podskokach, po czym

stanąwszy jęli przy-

glądać się moczarom. Niektórzy z nich krzyczeli, lecz wodzowie

bacząc pilnie zachowywali milczenie. O zmierzchu zaroilo się od

ich czerwonych ciał — rzekłbyś, iż są to w owym szarawym

świetle niesamowite szakale, stojące jakby na tylnych łapach. Za-

padła noc. Ogień Ulhamrów rozpościerał na powierzchni wód

krwawa jasność. Ogniska oblegających kładły za krzakami na ota-

czający mrok miedziana barwę. Zarysowywały się postacie cza-

towników i znikaly. Pomimo pozornego usiłowania natarcia na-

pastnicy trzymali się poza linia rzutu bronią.

Następny dzień dłużył się nieznośnie. Teraz
Czerwone Karły
bezustannie przechadzały się to małymi oddziałami,
to gromada.
Ich szerokie szczęki wyrażały niepokonany upór.
Wyczuwało się,

146

że czyhały bez przerwy na życie przybyszów.
Poddawały się ins-
tynktowi, który rozwijał się u nich od setek pokoleń,
bez którego
byłyby uległy przed plemieniem ludzi silniejszych,
aczkolwiek
mniej pojmujących potrzebę gromadnego
jednoczenia się.

W ciągu nocy, która nastąpiła, nie zdradzały zamiaru
natarcia.
Zachowały głębokie milczenie, wcale się nie
ukazując. Nawet ich
Ognie pozostawały niewidoczne. Miało się ku
świtowi, gdy roz-
legł się nagle jakiś łoskot. Zdawało się, iż krzaki
posuwały się na-
przód niby żywe istoty. Gdy dzienne światło przebiło
się Naoh

ujrzał stopy gałęzi zagradzające dostęp do granitowego cypla.

Czerwone Karły wydawały wojenne okrzyki. I koczownik pojął, iż będą one pchać przed sobą tę osłonę. Umożliwiłoby to im miotanie włóczni z ukrycia lub nagle wykonanie rozstrzygającego większa gromada natarcia.

Położenie Ulhamrów stawało się samo przez się groźne. Wyczerpawszy swe zapasy, musieli zabrać się do łowienia ryb w wodach moczarów. Miejsce ich obozowiska mało nadawało się do tego. Z trudnością złapali kilka węgorzy i parę leszczy lecz mimo, iż dołączyli do połowu trochę żab, duże ich ciała i młodość cierpiały z braku dostatecznego pożywienia. Nam z Gawem, osiągnąwszy zaledwie wiek męski, byli jeszcze w okresie rozrastania się, byli więc wyczerpani głodem. Na trzeci wieczór ogarnął Naoha, siedzącego przy ognisku, wielki niepokój. Wprawdzie umocnił schronisko, wiedział jednak, iż wkrótce, jeżeli pożywienie ich

będzie tak szczupłe, towarzysze jego staną się słabsi od Czerwonych Karłów, a on sam czyż potrafi wówczas dobrze cisnąć włócznię? A jego maczuga czy będzie zdolna zadać śmiertelny cios?

Roztropność radziła ucieczkę pod osłoną ciemności. Należało jednak zająć znienacka Czerwonych Karłów i przedrzeć się przez zasieki, a to było chyba niemożliwe.

Spojrzał ku zachodowi. Półksiężyc nabrał jasności i rogi jego zacierały się, zachodził obok dużej błękitnej gwiazdy migocącej w wilgotnym powietrzu. Żaby nawoływały się starczymi, smętnymi głosami, nietoperz uwijał się wśród ciem, puchacz przeleciał na swych bezbarwnych skrzydłach, zaśniły nagle łuski jakiegoś

147

gada. Był to jeden z tych wieczorów, znanych hordzie, gdy obowiązywała w pobliżu wód, pod jasnym niebem. Dawne wydarzenia

huczały w głowie Naoha. Osobliwie nad jednym z nich roztkliwił się jak dziecko...

Horda Ulhamrów obozowała u swych Ognia. Stary Goun snuł swe wspomnienia, które uczyły mężczyzn; zapach pieczonego mięsa unosił się w powietrzu, za gąszczem trzciny, w świetle księżycy, widniała długa połyskująca smuga moczaru. Spośród siedzących kobiet powstały trzy dziewczyny, błędziły wkoło Ognia, wyładowywały nadmiar życia, którego jeden dzień trudów nie mógł wyczerpać. Przeszły przed Naohem z chichotem niesamowitym w szale młodości. W przelotnym podmuchu wiatru jakiś promień włosów, uderzył młodego Ulhamra po twarzy — były to włosy Gamli... przytłumione zmysły jego doznały wstrzą-

su.

To wspomnienie przy tak wielkim oddaleniu od plemienia,

pośród zasadzek ludzi i srogości świata było dlań w tej chwili głębia życia, przykuwało go do wybrzeża i wydobywało z jego piersi chrapliwe westchnienie... Zatarło się. Potrzęsnał głową i począł dumać o środkach ocalenia. Ogarnęła go gorączka. Powstał i poprowadził Ogień. Poszedł w kierunku Czerwonych Karłów. Zazgrzytał zębami, ościenie z gałęzi jeszcze bardziej się zbliżyły, możliwe, iż na przyszłą noc wróg będzie mógł rozpocząć natarcie.

Nagle przeraźliwy krzyk przeszył powietrze. Jakaś postać, z początku niewyraźna, wyłoniła się z wody. Potem Naoh rozpoznał w niej człowieka. Włókł się. Krew broczyła z uda. Dziwnej był budowy, nie posiadał prawie ramion, a głowę miał bardzo wąską. W pierwszej chwili zdawało się, iż Czerwone Karły nie spostrzegły go. Wtem podniósł się wrzask, zaświstały włócznie. Wówczas wrażliwa natura Naoha doznała wstrząsu — owładnęło

nim wzruszenie. Zapomniał, że ten człowiek może być wrogiem, czuł jedynie gwałtowną nienawiść do Czerwonych Karłów i pobiegł ku ranionemu, jakby to uczynił wobec Nama i Gawa. Jakaś włócznia ugodziła go w ramię, lecz to nie powstrzymało go. Wydał okrzyk wojenny, podskoczył do rannego, podniósł go jednym

148

ruchem i pognał z powrotem. Kamień uderzył go w czaszkę, druga włócznia skaleczyła w łopatkę... już był poza linią, za którą nie mogły dosięgnąć go pociski i Czerwone Karły nie odważyły się jeszcze tego wieczoru rozpocząć wielkiego boju.

Noc wśród moczarów

Syn Lamparta złożył człowieka na suchych trawach i poprawszy Ogień spoglądał nań z zadziwieniem i nieufnością. Była

to istota nadzwyczajnie różniąca się od Ulhamrów,
Kzamów i
Czerwonych Karłów. Czaszkę miała niezmiernie
dług[^] i nader
wąska, pokryta rzadkim, słabym włosem, oczy —
raczej wydłu-
żone niż szerokie, przyćmione, smutne, zdawały się
nie mieć spoj-
rzenia; zapadłe policzki okrywały szerokie szczęki, z
których dol-
na była cofnięta do tyłu, jak szczeka gryzoni. Lecz co
najbardziej
wprawiało wodza w podziw, to było jego ciało,
okrągłe jak pień

150

drzewa, na którym nie znać było śladu ramion.
Zdawało się, iż
ręce wyrastają na podobieństwo łap Krokodyla.
Skóra była sucha
i szorstka, niby pokryta łuska i zwieszała się w
dużych fałdach.
Synowi Lamparta przyszedł na myśl zarówno waż
jak i jaszczur-
ka.

Od chwili, gdy Naoh położył go na suchych trawach,
czło-

wiek leżał nieruchomo. Niekiedy powieki jego podnosiły się z wolna, zwracał zamglony wzrok na koczowników. Oddychał głośno wydając charkot, który mógł być wzięty za jęk. Budził w Namie i Gawie wielki wstręt. Wrzuciliby go chętnie do wody.

Naoha zainteresował on bardziej, albowiem Naoh uratował go od nieprzyjaciół, a będąc dociekliwszy od swych towarzyszy chciał wiedzieć, skąd on przybywa, jak znalazł się na moczarach, jak otrzymał ranę, czy był to człowiek, czy też mieszanina człowieka ze zwierzętami co pełzają.

Próbował mówić doń znakami, wytłumaczyć mu, iż go by- najmniej nie zamierza zabijać. Po czym wskazał na zaczajonych Czerwonych Karłów dając do zrozumienia, że to od nich nadejdzie śmierć.

Człowiek zwracając sw[^] twarz ku wodzowi wydał głuchy, silny gardłowy okrzyk, Naoh przypuszczał więc, iż został zrozu-

miany.

**Półksiężyc zbliżył się do skraju nieboskłonu. Duża
błękitna
gwiazda znikła. Człowiek na wpół stojąc przykładał
na sw[^] ranę
trawy, dawały się niekiedy widzieć w jego
zamglonym wzroku
jakieś słabe błyski.**

**Gdy miesiąc zaszedł, odbicie migotliwych gwiazd
wydłużyło
się w toni wód i słychać było jak Czerwone Karły
pracowały.**

**Cała noc spędziły przy robocie. Jedne znosząc
gałęzie, inne przy-
bliżając zasieki. Naoh wielokrotnie podnosił się, by
wszczać bój.**

**Lecz postrzegał liczbę nieprzyjaciół, ich czujność i
ich zasadzki,
pojmował, iż każdy ruch Ulhamrów zostanie
odkryty. Odstąpił
od swego zamiaru licząc na nieprzewidziane
wypadki jakie mogły
się wydarzyć podczas walki.**

**Upłynęła nowa noc. Z rana Czerwone Karły
miotnęły parę**

włócznie, które padły w pobliżu zagrodzenia. Zawyły,
przejęte ra-
dością i powodzeniem.

Było to ostatniego dnia. Wieczorem Karły
zakończyły pracę
nad przybliżeniem swych osłon, natarcie odbędzie się
przed za-
chodem księżyca. A Ulhamrowie ze złością i
rozpaczą w sercu
przenikali wzrokiem zielonawą wodę, podczas gdy
głód szarpał
ich wnętrzności.

W świetle poranka ranny wydawał się bardziej
dziwaczny.
Oczy jego były podobne do jaspisu, długie, okrągłe
ciało skręcało
się z taką samą łatwością, jak ciało glisty, a jego
sucha, miękka
ręka była dziwnie wygięta ku tyłowi.

Nagle chwycił włócznie i miotnął nią w liść nenufaru.
Woda
zakotłowała się — ujrzano jakiś kształt koloru
miedzi i człowiek
cofając szybko broń wyciągnął olbrzymiego karpia.
Nam z Ga-
wem wydali radosny okrzyk. Złowiona ryba mogła
wystarczyć

na pożywienie większej ilości ludzi. Przestali
żałować, iż wódz
uratował życie tej niepokojącej istocie.

Jeszcze mniej żalowali, gdy nałapał innych ryb,
posiadał on
bowiem nadzwyczajny zmysł rybołówstwa. Siła
czynu odżyła w
piersiach koczowników. Przekonawszy się raz
jeszcze, że postępek
wodza okazał się dla nich korzystny w skutkach,
Nam z Gawem
nabrali otuchy. Ponieważ ciepło krążyło w ich ciele,
uwierzyli, że
już nie umrą. Naoh potrafi zastawić na Czerwonych
Karłów sidła,
wytępić ich dużą liczbę i przerazić ich.

Syn Lamparta nie podzielał tej nadziei. Nie
znajdował żadnego
sposobu, by wymknąć się przed okrucieństwem
wroga. Im bar-
dziej rozmyślał, tym bardziej przekonywał się o
bezużyteczności
wybiegów. Wskutek bezustannego wazenia ich w
swej wyobraźni
traciły one poniekąd na swej wartości. W końcu nie
liczył już na
nic więcej, jak na twardość swej pięści i na to
szczęście, w jakim

**pokładają swą ufność ludzie i zwierzęta, których nie
mogły osiągnąć wielkie niebezpieczeństwa.**

**Słońce było prawie u nieboskłonu, gdy zachód
zaciągnął się
jakimś drżącym obłoczkiem, raz po raz rozrywanych
na strzępy, a
w którym Ulhamrowie rozpoznali jakąś niezwykłą
wędrówkę**

152

**ptactwa. Z szumem wiatru kracząca gromada
kruków wyprzedza-
ła żurawie o zwisły ch ogonach, kaczki, wysuwające
swe zielono-
barwne łebki, gęsi o ważkich jak sakwy brzuchach,
szpaki przeci-
nające powietrze jak czarne kamienie. Nadlatywały
zmieszane po-
między sobą kwiczoły, sroki, sikorki, drozdy, dropie,
czaple,
siewki i bekasy.**

**Nie ulegało wątpliwości, iż hen, poza widnokretem
jakieś
groźne zaburzenie przeraziło je i gnało w nowe
strony.**

**Ze zmierzchem przybyły stworzenia okryte sierścią.
Łosie ga-
lopowały zawrotnie wraz z oszalałymi końmi, z
beczącymi Ol-
brzymimi Jeleniami, z cienkonogimi antylopami.
Gromady wil-
ków i psów przeszły jak orkan; duży Żółty Lew z
Lwicą sunęły
piętnastołokciowymi susami na przedzie stada
szakali. Wiele
z nich zatrzymawszy się na moczarach poczęło gasić
pragnienie.**

**Teraz na nowo rozgorzała wojna wiekuista, którą na
razie
popłoch zawiesił. Lampart wskoczył koniowi na
grzbiet i jął mu
przegryzać gardziel. Wilki rzuciły się na stado
antylop. Orzeł
uniósł czapkę w obłoki. Lew, porykując przeciągle,
śledził ucieka-
jącą zdobycz. Ujrzano wyłaniające się jakieś zwierzę
na krótkich
łapach, prawie tak ogromne jak Mamut, pokryte
skórą podobną
do grubej i pomarszczonej kory starych dębów. Być
może Lew
go nie znał, albowiem powtórnie zaryczał, grożąc
strasznym**

łbem, kłami z granitu i najeżoną grzywą. Nosorożec, bo on to był, rozjuszony grzmiącym głosem, uniósł pysk uzbrojony rogiem i puścił się cwałem na Płowego Kota. Nie była to nawet polityczka. Wielkie rude cielsko wywróciło Kota, który potoczył się na miejscu, podczas gdy pokryta szorstkimi fałdami bryła gnała dalej na oślep, prawie nie zdając sobie sprawy ze swego zwycięstwa. Głęboka skarga bólu i wściekłości wydobywała się z potrzaskanej piersi Lwa. Jego oszołomioną czaszkę przytłoczyło osłupienie, gdyż czuł, że moc jego była tak nikła jak moc szakala.

Naoh, podniecony, nabrał nadziei, że nadejście zwierząt odpedzi Czerwonych Karłów. Oczekiwania te zawiodły go. Wędrówka musnęła zaledwie skrzydło obozowiska oblegających, a skoro noc odepchnęła popioły zmierzchu Ognie znowu zapłonęły

na równinie i rozległy się dzikie chichoty. Po czym w okolicy zapadło milczenie. Zaledwie jakiś kulik zaniepokojony zatrzepotał skrzydłami, jakiś szpak zaszeleścił w łożynie lub płaz płynąc zakłasywał liliami wodnymi.

Wtem jakieś dziwne stworzenia ukazały się nad poziomem wody kierując się ku kępie leżącej w pobliżu granitowego cypla. Rozpoznawało się ich przejście po ruchu wody i po wyłaniających się z niej okrągłych głowach okrytych sitowiem... Było ich pięć czy sześć. Naoh i Człowiek Bez Ramion przyglądali się im podejrzliwie. Wreszcie przybiły one do kępy, wstąpiły na wystająca skalista krawędź, po czym rozległy się ich dzikie drwiące krzyki. Naoh ze zdumieniem rozpoznał ludzi — gdyby miał co do tego wątpliwości, wrzawa rozlegająca się wzdłuż wybrzeża rozproszyłaby je. Czuł, szarpany wściekłością, że Czerwone Karły korzystając z nadejścia zwierząt pokonały jego czujność. Lecz jak potrafiły

utorować sobie przejście?

Gdy srodze rozsierzony dumal o tym ujrzal
Czlowieka Bez
Ramion kreślącego ręką uporczywie kierunek idący
od brzegu do
kępy. Po czym wskazał granitowy cypel. Syn
Lamparta odgadł, iż
musiał się tam znajdować drugi cypel, biegnący pod
samą prawie
powierzchnią moczarów. Teraz miał zdradzieckiego
wroga rów-
nież i z boku. Należało ukryć się za występami, aby
uniknąć jego
kamieni i włóczy!

Cisza znowu zaległa na moczarach. Naoh pod
niebem, usia-
nym migotliwymi gwiazdami, czuwał dalej. Krzak
Czerwonych
Karłów posuwał się z wolna naprzód, zanim
przejdzie połowa
nocy dotknie on prawie ogniska koczowników i
rozpocznie się
natarcie. Będzie ono niełatwe. Czerwone Karły będą
musiały
przedrzeć się przez płomienie, które zajmują całą
szerokość cypla
i ciągną się na przestrzeni kilku łokci.

Podczas gdy Naoh z napiętymi zmysłami zastanawiał się nad tym, kamień rzucony z kępy potoczył się na ognisko.

Ogień zasyczał, podniosła się nikła para, a już drugi pocisk leciał i upadł. Naoh ze skurczem serca zrozumiał podstęp nieprzyjaciela. Za pomocą kamieni owiniętych w mokrą trawę będzie on

154

starał się zagasić Ogień lub przytłumić go dostatecznie, aby w końcu ułatwić oblegającym dostęp. Co czynić? By dosięgnąć tych, co zajmowali kępę, trzeba było nie tylko poczekać aż Karły się odsłonią, lecz i samemu wystawić się niechybnie na ich ciosy.

**Podczas gdy syn Lamparta i jego towarzysze bacznie wszy-
stko obserwowali, kamienie padały jedne za drugimi, nieustająca
smuga pary snuła się wśród płomieni. Krzak
Czerwonych Karłów**

zbliżał się bez przerwy. Gorączkowy dreszcz
tropionych zwierząt
przejmował koczowników i Człowieka Bez Ramion.

Wkrótce cała część ogniska zaczęła gasnąć.

— Czy Nam i Gaw są w pogotowiu? — zapytał wódz.

I nie czekając ich odpowiedzi wydał okrzyk wojenny.
Był to

krzyk wściekłości i rozpacz, w którego brzmieniu
młodzieńcy

nie odnajdywali niezłomnej ufności wodza we własne
siły. Przy-

gotowani na wszystko oczekiwali na ostateczne hasło.

Lecz w

ostatniej chwili Naoh jakby zawahał się. Oczy mu
zamigotały,

przeraźliwy śmiech wyrwał się z jego piersi i
nadzieja rozjaśniła

twarz jego, zamruczał:

— Oto cztery dni, jak drwa Czerwonych Karłów
osusza słoń-
ce!

Rzuciwszy się na ziemię podpełznął do ogniska,
schwycił

głównię i cisnął nią z całych sił na krzak.

Jednocześnie Człowiek

**Bez Ramion, Nam i Gaw byli już przy nim i wszyscy
czterej jęli
miotać gorejące pociski.**

**Zaskoczony tym osobliwym zwrotem wróg puścił na
chybił
trafił kilka włóczni. Gdy w końcu zrozumiał, o co
chodzi — suche
liście i wici paliły się setkami. Ogromny płomień
huczał wokół
krzaka i począł przenikać go na wskroś. Po raz drugi
wydał Naoh
okrzyk wojenny, okrzyk mordy i nadziei, który
tchnął otuchę w
serca jego towarzyszy.**

**— Ulhamrowie zwyciężyli Pożeraczy Ludzi! Jakżeby
nie po-
konali małych czerwonych szakali?**

**Ogień nie przestawał pochłaniać krzaka. Długa
szkarłatna
łuna rozpostarła się nad moczarami wabiąc ryby,
płazy i owady,**

155

**w trzcinach załopotwały skrzydła ptactwa, a wycie
wilków złało się
ze śmiechem hien.**

**Naraz Człowiek Bez Ramion wyprostował się
mrużąc. Jego
płaskie oczy błysnęły — wyciągnięta ręka
wskazywała na zachód.**

**I Naoh, obróciwszy się ujrzał na oddalonych
wzgórzach
Ogień podobny do wschodzącego księżyca.**

Walka pod wierzbami

**Rankiem Czerwone Karły jęły się ukazywać raz po
raz. Nie-
nawiść poruszała ich szczęki i płonęła w ich
zwięzłych u góry
oczach. Z oddalenia ukazywały swe włócznie i
oszczepy ruchami
mającymi oznaczać przebijanie wroga, walenie go o
ziemię, druz-
gotanie czaszki, rozplątywanie brzucha. Ułożywszy
nowy krzak,
oblewając go co jakiś czas wodą, poczęli posuwać się
ku granito-
wemu cypłowi.**

Słońce już było za ledwie u szczytu nieba, gdy
Człowiek Bez
Ramion wydał ostry krzyk. Podniósł się, potrząsnął
rękoma. Po-
dobny krzyk rozdarł przestrzeń i jakby sunął w
podskokach po

157

moczarach. Wtedy na wybrzeżu w oddali
koczownicy ujrzeli czło-
wieka całkiem podobnego do tego, którego
przygarnęli. Widniał
na skraju przestrzeni zarośniętej trzcina i
wymachiwał nieznana
bronią. Czerwone Karły również go ujrzały. Wnet
jakiś oddział
puścił się w pogoń za nim. Człowiek zniknął za
trzcina. Naoh,
wstrząśnięty silnymi, splątanymi i gwałtownymi
wrażeniami nie
przestawał badać przestrzeni. Jakiś czas widziano na
równinie bieg-
nące Czerwone Karły, po czym spokój i cisza znów
zapadły. Po
dłuższej chwili ponownie ukazali się dwaj ścigający,
wkrótce inna
gromada Czerwonych Karłów ruszyła w drogę.
Naoh przeczuwał

**jakieś niezwykle zdarzenie. Ranny również je przeczuwał, lecz bar-
dziej świadomie. Pomimo rany uda był na nogach, a jego mętne
oczy rozjaśniały się płasającymi błyskami, od czasu do czasu wy-
dawał chrapliwe okrzyki zwierząt wodnych.**

**Mnożyły się tajemnicze wydarzenia. Cztery razy jeszcze
Czerwone Karły przebiegły wzdłuż moczarów i znikły. Wreszcie
między wierzbami i platanami ujrzano ze trzydziestu mężczyzn i
kobiety o głowach wydłużonych, tułowiach okrągłych i dziwnie
wąskich. Z trzech stron wychyliły się Czerwone Karły.**

Zawrzał bój.

**Ludzie Bez Ramion, okrażeni miotali włóczniami nie bezpo-
średnio, lecz przy pomocy jakiegoś przedmiotu niewidzianego do-
tąd przez Ulhamrów i o którym nie mieli nawet pojęcia. Była to
krótka, gruba pałka z drzewa czy też kości zakończona haczyko-**

wato, proca ta nadawała pociskom doniosłość rzutu i siłę o wiele większą niż rzucanym ręką.

W pierwszej chwili Czerwone Karły nie miały przewagi, kilku z nich padło na ziemię. Lecz posiłki nadchodziły bezustannie.

Czerwone oblicza o szerokich szczękach pojawiały się zewsząd, również z ukrycia przeciwnego Naohowi i jego towarzyszom.

Ogarniał je gorączkowy szal. Biegły z przeciągłym wyciem

wprost na miejsce potyczki. Cała rozwaga, jaką wykazały wobec

Ulhamrów, znikła. Możliwe, że przyczyną tego byli Ludzie Bez

Ramion, których znały i z którymi nie obawiały się walczyć w

ręcznym boju, a może podniecała je dawna nienawiść.

158

Naoh nie przeszkadzał wrogowi w opuszczaniu zasieków.

Od początku starcia powziął on pewne postanowienie. Nie miał

się nadal nad czym zastanawiać. Kierowała nim podświadomość, utajona w głębi jego istoty zawziętość, wstręt do bezczynności, która trwała tak długo, a głównie — wrażenie, że zwycięstwo Czerwonych Karłów będzie zarazem jego własną zgubą.

Miał tylko jedną wątpliwość: czy można na razie porzucić Ogień? Klatki przeszkadzały w walce, zostałyby zapewne połamane. Zresztą po zwycięstwie nie będzie zbywało na Ogniach, a w razie porażki oczekiwać ich będzie niechybna śmierć.

Gdy osądził, że odpowiednia chwila nastąpiła, Naoh wydał krótkie rozkazy i Ulhamrowie rzucili się cwałem ze swego schroniska wyjąc wojowniczo. Kilka włóczy musnęło ich, ale już przedostali się przez oścień przeciwników. Było to wykonane szybko i gwałtownie. Na ich drodze stanęło dwunastu walczących, stali zwartym szeregiem z nadstawionymi włóczniami. Naoh cis-

nał włócznią i grotem, po czym skoczył wywijając maczugą. Trzy Czerwone Karły poległy w tej samej chwili, gdy Nam z Gawem dopadli do miejsca starcia. Oszczepy szybko śmignęły, każdy z Ulhamrów otrzymał lekką ranę, ale uderzenia były słabo zadane i ze zbyt dalekiej odległości. Trzy maczugi odpowiedziały jednocześnie i widząc napadających nowych wojowników, widząc wkraczającego do walki człowieka, którego Naoh uratował. Karły pierzchły.

Naoh powalił jeszcze dwóch, inne zdołały umknąć w trzciny.

Nie tracił czasu na poszukiwania, śpieszył połączyć się z Ludźmi Bez Ramion. Wśród wierzb zawrzał ręczny bój. Jedynie kilku wojowników uzbrojonych w proce zdołało schronić się w bagniska skąd niepokoiłi Czerwone Karły. Karły jednak przeważały liczbą i zawziętością. Ich zwycięstwo zdawało się być pewne — jedynie piorunujące natarcie Ulhamrów mogło im to zwycięstwo wy-

drzeć. Nam i Gaw zdawali sobie z tego sprawę na
równi z wo-
dzem. Pobiegli przeto wskok. Gdy byli już blisko,
dwunastu
Czerwonych Karłów oraz dziesięciu mężczyzn i
kobiet Bez Ra-
mion leżało na ziemi.

159

Głos Naoha rozległ się jak ryk Lwa. Runął jak bryła
z kamie-
nia pomiędzy przeciwników. Całe jego ciało było
jednym szalem.

Ogromna maczuga potoczyła się po czaszkach, po
kręgach i po
żebrach. Czerwone Karły obawiały się siły tego
olbrzyma, nie
wyobrażały sobie jednak, że będzie tak straszliwa.
Zanim zdołały
opamiętać się już Nam z Gawem rzucili się w wir
walki, a Ludzie
Bez Ramion wyswobodziwszy się jęli miotać
włócznie.

Powstał zamęt. Popłoch wyrwał kilku Czerwonych
Karłów z
pola bitwy, lecz na skutek nawoływań wodza
wszystkie skupiły

się w jedną zbitą gromadę najeżona oszczepami. I nastąpiło coś w rodzaju rozejmu.

Jakiś nakaz, odmienny od zmysłu Karłów, rozproszył Ludzi Bez Ramion. Jako że używali najchętniej broni miotanej, woleli usunąć się. Krążyli w pewnej odległości powolnym i smętnym krokiem.

Włócznie znowu zaświstały. Ci co nie mieli więcej zapasów broni podnosili wąskie kamienie i przystosowywali je do swych proc. Naoh, pochwalając ich sposób walki cisnął swa włócznię i grot, które podniósł po pierwszym natarciu i z kolei sam ją posługiwać się kamieniami. Czerwone Karły spostrzegły, że o ile nie powrócą do ręcznych zapasów porażka ich jest nieunikniona.

Przyśpieszyły natarcie. Napotkało ono próżnię. Ludzie Bez Ramion usunęli się na boki, podczas gdy Naoh, Nam i Gaw, bardziej szybcy dobiegali opóźnionych lub rannych i miażdżyli ich.

Gdyby sprzymierzeńcy Ulhamrów posiadali równą
im chy-
żość nie doszłoby do starcia — lecz długie ich kroki
były niepew-
ne i powolne. Stad Czerwone Karły postanowiły
ścigać ich w po-
jedynekę i przewaga przechyliła się na ich stronę.
Powiał podmuch
klęski. Ze wszystkich stron oszczepy poczęły
pograżać się we
wnętrzościach Ludzi Bez Ramion. Wtedy Naoh
obrzucił poty-
kających się przeciągłym spojrzeniem. Ujrzał tego,
którego głos
kierował Czerwonymi Karłami. Był to maż z włosom
przypró-
szonym siwizna o ogromnych zębiskach. Należało
dostać się do
niego, osłaniało go z piętnaście piersi. Odwaga,
silniejsza od
śmierci, pobudziła rosła postać koczownika. Z
pomrukiem Żubra

rzucił się ku niemu. Wszystko wywracało się pod
Jego maczuga.

Lecz wokół starego wodza jeżyły się oszczepy,
zamykały dostęp
i uderzały w boki olbrzyma. Zdołał pokruszyć je.
Nadbiegły inne

Karły. Wówczas, zawoławszy na swych towarzyszy,
ostatnim
wysiłkiem wywrócił zagrodę z piersi i broni i
rozłupał niby orzech
gruba czaszkę wodza.

Nam i Gaw podskoczyli z pomocą.

Powstał zamęt. Czerwone Karły poznały, że jakaś
moc zło-
wroga szalała nad nimi — walczyły do ostatka pod
wpływem gło-
su wodza, teraz gdy głosu tego nie stało, poczuły się
opuszczone.

Jedne przez drugich uciekały nie oglądając się poza
siebie ku ro-
dzinnym ziemiom, ku swoim jeziorom i rzekom —
ku hordom,
skąd czerpały odwagę, by nabrać jej na nowo.

Ludzie, którzy wymierają

Trzydziestu mężczyzn i dziesięć kobiet leżało na ziemi. Większość z nich nie była martwa. Krew spływała szeroka fala, członki ich były pogruchotane, czaszki potrzaskane, z brzuchów wyzierały wnętrzności. Paru rannych skona przed nocą, paru innych będzie żyć kilka dni, wielu ujdzie śmierci. Lecz do Czerwonych Karłów winno być zastosowane prawo ludzi. Sam Naoh, który je często łamał, uznał je za konieczne wobec tych zaciekle wrogów.

Pozwolił swym towarzyszom i Ludziom Bez Ramion przebić serca, miażdżyć lub odrąbywać głowy. Pogrom odbył się

163

szybko. Nam z Gawem śpieszyli się, inni działali prawie bez okrucieństwa według zwyczajów przyjętych od tysiącleci.

Po czym nastąpiła przerwa pełna odrętwienia i ciszy. Ludzie

**Bez Ramion opatrywali swych rannych. Czynili to
dokładniej i
pewniej niż Ulhamrowie. Naoh odniósł wrażenie, że
niejedna
rzecz była im lepiej znana niż jego plemieniu lecz
widział zarazem,
iż życie ich było bardziej wątłe. Ich ruchy były
giętkie, acz po-
wolne. Trzeba było ich dwóch lub trzech, aby
podnieść rannego.
Czasami ogarnięci jakimś niesamowitym
bezwładem, pozostawali
z oczami nieruchomymi, z rękami zwisającymi jak
martwe gałę-**

zie.

**Kobiety ich były mniej powolne. Wydawały się przy
tym
bardziej zręczne i wykazywały większe
doświadczenie. Po nieja-
kim czasie Naoh spostrzegł, że jedna z nich
dowodziła plemie-
niem. Wszystkie posiadały jednak te same mętne
oczy, tę sama
smutna twarz, co i samcy, a włosy ich były rzadkie,
rosnące kos-
mykami i z kępami łuskowatej skóry.**

Syn Lamparta zadumał się nad bujnymi włosami
kobiet swe-
go plemienia, nad wspaniałymi •włosami
połyskującymi na głowie
Gamli... Kilka kobiet z plemienia Ludzi Bez Ramion
wraz z dwo-
ma mężczyznami przybliżyło się aby obejrzyć rany
Ulhamrów.
Łagodna słodycz promieniowała z ich ruchów.
Oczyściły rany z
krwi pachnącymi liśćmi i nałożyły na nie miazgę z
trawy umoco-
wawszy ją łykiem z sitowia.

Ten opatrunek był dowodem, iż przymierze zostało
ostatecz-
nie zawarte. Naoh pomyślał, że Ludzie Bez Ramion
byli mniej
szorstcy niż jego pobratymcy, niż Pożeracze Ludzi
lub Czerwone
Karły. I zmysły jego zdawały sobie z tego sprawę,
jak i z ich fi-
zycznej słabości.

Przodkowie ich obrabiali kamień i drzewo wcześniej
od in-
nych ludzi. Przez tysiąclecia Wahowie, gdyż tak
zwało się to ple-
mie, zaludniali mnogie równiny i lasy. Byli wówczas
najsilniejsi

ze wszystkich. Broń ich zadawała głębokie rany.
Znana im była
tajemnica Ognia i przy starciach ze słabymi,
koczującymi hordami
lub z rodami żyjącymi w samotności, z łatwością
osiągali przewa-

164

gę. W owym czasie byli potężnego wzrostu, mięśnie
mieli twarde
i wytrzymałe, posługiwali się mową bardziej
doskonalą niż im po-
dobni. A pokolenia ich rozmnażały się jak żadne
inne na powierz-
chni ziemi. Pomimo jednak, że nie podlegali bardziej
przewrotom
żywiolów niż inni ludzie, rozwój ich uległ
wstrzymaniu. Nie do-
strzegali tego, podobnie jak swego zwyrodnienia.

Środowisko, które z początku korzystnie wpływało
na ich
rozwój, spowodowało później zanik tego rozwoju.
Kształty ich
zweżyły się, ruchy stały się powolniejsze. Przestając
się wzboga-
cać, ich ciała poczęły ubożeć, przestali władać z
dawną siłą i zręcz-

nością bronią, która była gorzej już sporządzona. Najbardziej widocznym znakiem ich upadku był fakt, że myśl ich i ruchy stawały się coraz powolniejsze. Rychło ogarniało ich znużenie, jedli mało a spali dużo, zdawało się, że w zimie zapadali w sen jak Niedźwiedzie.

Od pokolenia do pokolenia tracili zdolność rozmnażania się. Kobiety rodziły z trudem jedno lub dwoje dzieci, które rosły powoli. Niejedna z nich pozostawała bezpłodna. Jednakże wykazywały wyższą żywotność od mężczyzn a również większą wytrzymałość, a ich mięśnie ulegały w mniejszym stopniu osłabieniu. Z wolna czyny ich upodobniły się do czynów wojowników. Polowały, łowiły, obrabiały broń i narzędzia, walczyły za rodzinę lub horde. Z biegiem czasu różnica rodzaju prawie zanikła.

Cały ich gatunek przez współzawodników bardziej srogich,

przedsiębiorczych, płodnych został powoli odrzucony ku południo-zachodowi. Czerwone Karły wytepiły ich liczne hordy. Pożeracze Ludzi urządzali nieustannie ich pogromy. Poruszali się jak we śnie. Posiadali pewne umiejętności bardziej udoskonalone niż ich współzawodnicy oraz resztki bardziej rozwiniętej roztropności. Przystosowali się do okolic obfitujących w rzeki, gdzie były nagromadzone torfowiska i bagna, również pośród wielkich jezior, zamieszkali też w kilku podziemnych krainach.

W obszernych pieczarach, wyżłobionych przez wody, połączonych wijącymi się przesmykami, doskonale odnajdywali drogę i potrafili ryć w nich wyjścia. Pomimo, że nie mieli dokładnego

165

pojęcia o swym upadku, mieli jednak świadomość, że są powolni, słabi, ulegający łatwo znużeniu i chętnie używali wybiegów aby

uniknąć walki. Ukrywali się ze zręcznością, która wprowadziłaby w zakłopotanie węch psów i wilków, a tym bardziej prosty węch ludzki. Ani jedno zwierzę nie umiało lepiej zacierać swych śladów.

Te ciche istoty wykazywały często brak rozwagi i upór, nierzadko zaś ważyły się na wszystko, aby uwolnić któregokolwiek ze swoich wziętego do niewoli, otoczonego lub pochwyconego w sidła. To poczucie jedności, które jak u pewnych gatunków dzików, ongiś niezmiernie wzmagало ich potęgę, doprowadzało ich niekiedy do zgubnych w skutkach przygód. Ono też było przyczyna, że pośpieszyli na pomoc człowiekowi, którego Naoh wyratował. A, że Karły czuwały, Wahowie zostali odkryci, a nawet zaskoczeni. Bez wmieszania się Naoha ulegliby w walce, zarazem jednak ich obecność uratowała trzech Ulhamrów.

Tymczasem syn Lamparta powrócił po opatrunku na cypel

granitowy, aby zabrać klatki z Ogniem. Znalazł je nie naruszone.

Ich małe płomyki czerwieniły się jeszcze. Gdy je ujrzał, zwycięstwo wydało mu się bardziej całkowite i bardziej radosne. Nie to, żeby obawiał się nie zastać Ognia, lecz kierował nim jakiś niejasny przesąd — chodziło mu o te małe płomyki świadczące o zwycięstwie, przyszłość wydawałaby się groźna, o ile by wszystkie trzy skonały.

Z postawa zwycięzcy przeniósł je do Wahów.

Patrzyli nań z ciekawością, a jedna z kobiet, co prowadziła horde, pokręciła głową. Rosły koczownik pokazał znakami, że jego lud utracił Ogień, a on potrafił go zdobyć! Zdawało się, że nikt go nie zrozumiał. Naoh zapytywał siebie, czy nie należą oni do tych nędznych plemion, które nie umieją grzać się podczas zimnych dni, oddalać noc i piec pożywienie. Stary Goun mówił, że bytowały takie hordy niżej stojące od wilków, przewyższały one

**jednak człowieka ostrością słuchu i wydoskonalonym
powonie-
niem. Naoh, ogarnięty współczuciem, już miał im
pokazać, jak
należy zwiększać płomień, gdy ujrzał wśród wierzb
jedna z kobiet**

U6

**uderzająca jeden kamień o drugi. Iskry
wytryskiwały prawie bez-
ustannie, po czym mały czerwony płomyk zaplasał
wzdłuż wąs-
kiego i suchego listka trawy; inne źdźbła rozgorzały
podtrzymy-
wane lekkim oddechem kobiety: Ogień jął
pochłaniać liście i wici.**

**Syn Lamparta stał nieruchomo ogarnięty podziwem
i po-
myślał:**

**— Ludzie Bez Ramion ukrywają Ogień w
kamieniach.**

**Zbliżywszy się do kobiety usiłował zbadać to
zjawisko. W pierw-
szej chwili jej zmysł samozachowawczy nakazał
nieufność lecz
przypomniawszy sobie, że ten człowiek uratował ich
od zguby,**

podawała mu kamienie. Zbadał je chciwie, gdy jednak nie spostrzegł ani jednej szczeliny wpadł w jeszcze większe zdumienie. Wtenczas dotknął ich: były zimne. Zapytywał siebie zaniepokojony:

— Jak Ogień dostał się pomiędzy te kamienie... i jak mógł ich nie nagrzać?

Zwrócił je z tym lękiem i z tą nieufnością, jaka wzbudza w ludziach rzeczy tajemnicze.

Poprzez krainę wód

Plemię Wahów i trzej Ulhamrowie przeprawili się przez krainę wód. Rozlewały się one w drzemiące kałuże pełne alg, lilii wodnych, nenufarów, strzałek, bazańców, soczewicy, sitowia i trzcin. Tworzyły niepokojące i straszne torfowiska. Ciągnęły się jeziorami, rzekami, siecią strumieni poprzeryzaną kamieniami,

piaskiem lub gliną. Wytryskiwały z ziemi lub rwąc
potokiem skar-
żyły się na stokach gór, a niekiedy, wchłaniane przez
szczeliny
ginęły w czeluściach podziemnych krain. Wahowie
wiedzieli już,
że Naoh pragnie podążać szlakiem, który ciągnął
się pomiędzy
północą a zachodem. Prowadzili go więc krótszą
drogą chcąc to-

168

warzy szyć mu aż do końca tych wilgotnych ziem.
Sposoby ich
zdawały się niewyczerpane. To wynajdywali
przejścia, jakich ist-
nienia ani jeden gatunek ludzi nie mógłby
przewidzieć, to znów
budowali tratwy, przerzucali nad przepaścią pień
drzewa, to łą-
czyli oba brzegi za pomocą lian. Pływali powolnie
lecz zręcznie,
unikali przy tym pewnych traw, przed którymi mieli
jakiś zabo-
bonny strach. Wszystkie ich poczynania zdradzały
brak pewności
siebie. Często działali jak istoty, które walczą z
ogarniającym ich

snem, lub które nagle zostały przebudzone, ruchy ich jednak były niemal zawsze nieomyślne.

Żywności mieli pod dostatkiem. Wahowie znali dużo odmian

jadalnych korzeni, nade wszystko celowali w łowieniu ryb.

Umieli trafiać je ością*, chwytać ręką, oplatać je giętkimi trawa-

mi, wabić w nocy pochodniami i kierować ich ławice w kątowis-

ka zatok. Wieczorem, gdy Ogień roztaczał swe blaski na przyląd-

ku, na wyspie lub na wybrzeżu, zażywali cichego i łagodnego

szczęścia. Lubili siadać gromadą przyciśnięci jeden do drugiego,

jakby ich zanikająca osobowość w ten sposób nabywała mocy w

poczuciu jedności gatunku. Tymczasem Ulhamrowie rozprasza-

li się, zwłaszcza Naoh, który wykorzystywał długie przystanki od-

dając się z upodobaniem samotności. Często wśród Wahów dawa-

ła się słyszeć jakaś nadzwyczaj jednostajna pieśń, którą powtarzali

bez końca, wychwalająca dawne czyny jakich żaden z nich nie pa-

miętał. Musiały się one odnosić do pokoleń, które już z dawien dawna wymarły. Nic z tego wszystkiego nie interesowało syna Lamparta. Sprawiało mu to przykrość a nawet budziło w nim wstręt. Natomiast przyglądał się z nadzwyczajną ciekawością ich poczynaniom przy polowaniu, łowieniu ryb, odnajdywaniu kierunku oraz innym zajęciom, a szczególnie sposobom posługiwania się procą i dobywania Ognia z kamieni.

Poznał wkrótce jak należy obchodzić się z procą. Uczucie życzliwości okazywane było Naohowi na każdym kroku. Wahowie nie

* ość — prymitywne narzędzie w postaci ostrych widełek osadzonych na drewnianym trzonku, służące do połowu ryb.

169

ukrywali przed nim swych tajemnic. Mógł dowolnie posługiwać się ich bronią i narzędziami, uczyć się ich naprawiania a gdy uległa

zniszczeniu proca, widział, jak przygotowywali inne. Zresztą Kobieta-Wódz podarowała mu jedna, która począł posiłkować się z taka sama zręcznością, lecz z większa siła niż Ludzie Bez Ramion.

Więcej czasu stracił, by pojąć tajemnicę Ognia. Obawiał się go bowiem nadal. Przyglądał się z daleka, jak tryskały iskry. Pytania, jakie sobie zadawał, pozostawały dlań niejasne i pełne sprzeczności. Jednakże za każdym razem coraz bardziej uspokajał się. Później mowa składana i odpowiednie ruchy rak przysły mu z pomocą. Albowiem zaczynał lepiej rozumieć Wahów. Nauczył się znaczenia dziesięciu czy dwunastu słów oraz blisko trzydziestu swoistych znaków plemienia. Z początku przypuszczał, iż Wahowie nie zamykali Ognia w kamieniach, lecz że przebywał tam sam przez się. Wytryskiwał przy uderzeniu i rzucał się na źdźbła suchej trawy, a że był wtedy bardzo słaby, nie chwycił od razu swej zdo-

byczy. Naoh jeszcze bardziej uspokoił się, gdy zobaczył, jak wydobywano iskry z kamyków leżących na ziemi. Z chwila, gdy upewnił się, że tajemnica była bardziej zależna od rzeczy martwej niż od władzy Wahów ostatnie jego obawy rozwiały się. Wiedział, już, że potrzebne były dwa różnego gatunku kamienie: krzemień oraz czarny kamień. A gdy raz udało się mu wydobyć małe płomyki próbował rozniecić Ogień. Siła i szybkość jego rak zastąpiły mu brak doświadczenia, wytwarzał dużo Ognia. Lecz podczas wielu postojów nie zdołał podpalić najmniejszego listka trawy.

Pewnego dnia horda zatrzymała się przed zmierzchem. Było to na skraju jeziora o zielonych wodach, na piaszczystej wydmie, podczas nadzwyczajnie suchej pogody. Na nieboskłonie dał się widzieć klucz żurawi, cyranki podlatywały wśród trzcin, w dali słychać było porykiwanie Lwa. Wahowie rozpalili dwa duże Og-

nie. Naoh, zapatrzony w bardzo cienkie, prawie
zwęglone trawki,
uderzał kamieniem o kamień. Pracował zawzięcie.
Po czym ogar-
nęło go podejrzenie, że Wahowie ukrywali jeszcze
jakaś tajemnicę.
Gotów był już zaprzestać, gdy po kilku strasznie
mocnych uderze-
niach kamień rozbił się w kawałki. Pierś mu
wezbrała, ręce ze-

170

sztywniały: na jednym z listków trawy trwało
światelko. Wów-
czas dmuchając ostrożnie jął powiększać płomień,
który pochłonął
swa drobna zdobycz i pochwycił inne trawy...

A Naoh nieruchomy, cały dyszący, ze strasznymi
błyskami w
oczach, poznał radość silniejsza jeszcze niż wtedy,
gdy pokonał
Tygrysicę, zabrał Ogień Kzamom, zawarł
przymierze z Wielkim
Mamutem, gdy powalił wodza Czerwonych Karłów.
Uczuł bo-
wiem, iż zdobył potęgę nad rzeczami, jakiej nie
posiadał ani jeden

**z jego przodków, i że nikt nie będzie już mógł zabić
Ognia u ludzi
jego plemienia.**

Ludzie o Błękitnej Sierści

**Doliny słały się coraz niżej. Wędrowano przez
kraj, gdzie
jesień była prawie tak ciepła, jak lato. Po czym
ukazała się groźna
i głęboka puszcza. Dostęp do niej zamykała ściana z
lian, kolców,
drzewiny, w której Wahowie żłobili przejścia za
pomocą noży z
krzemienia i agatu. Kobieta-Wódz dała do
rozumienia Naohowi,
iż jej plemię będzie towarzyszyć Ulhamrom tak
długo, póki nie
ukarze się wolna przestrzeń, albowiem dalej ziemia
była im nie
znana. Wiedzieli jedynie, że była tam równina, a za
nią góra prze-
cięta na dwoje szerokim wąwozem. Kobieta-Wódz
sądziła, że ani
na równinie, ani na górze nie było ludzi. Puszcza
natomiast żywiła**

kilka hord. Były to stworzenia o silnie rozwiniętej piersi i ramionach, prawdopodobnie nie rozniecały Ognia, nie używały mowy składanej, nie toczyły wojen i nie uprawiały łowów. Były straszne, gdy napadano na nie, gdy zagradzano im drogę, lub gdy podejrzewały jakieś wrogie zamiary.

Po ranku pełnym trudów puszcza okazała się mniej dzika.

Pazury i zęby roślin były mniej groźne, szlaki wydeptane przez zwierzęta wśród tysiącletnich drzew stały otworem. Zielony półmrok rozjaśnił się. Wielobarwny tłum ptactwa wypełnił krainę drzew, dostrzegano obecność płowych drapieżników, gadów, owadów — niewyczerpane tętno życia, bezmiar skrytej walki, w której miąższ roślin i mięso zwierząt nie przestawały ginąć i odradzać się.

Pewnego dnia Kobieta-Wódz z zagadkowa twarzą wskazała

na gęstwinę, ciągnąca się u pni drzewnych. Po między liśćmi figowca pojawiło się błękitnawe ciało, w którym Naoh rozpoznał człowieka. Wspomniawszy Czerwone Karły, zadrżał z nienawiści i niepokoju. Ciało to znikło. Nastąpiła głęboka cisza. Wahowie, ostrzeżeni, przerwali pochód i jęli się bardziej zbliżać jedni do drugich.

Wówczas najstarszy z hordy przemówił.

Opowiadał o sile Ludzi o Błękitnej Sierści i o ich straszliwym gniewie, zapewniał, że przede wszystkim należy się wystrzegać postępowania ta sama co oni droga i przechodzenia w poprzek ich obozowiska. Dodał, że nie znosili wrzasków i ruchów rak:

— Ojcowie naszych ojców — zakończył — żyli w ich sąsiedztwie bez wojny. Ustępowali im z drogi w lesie, natomiast Ludzie o Błękitnej Sierści odwracali się od Wahów na równinie i wśród wód.

**Kobieta-Wódz poprzestając na tej przemowie
wzniosła kos-
tur, który był oznaka jej władzy. Horda, obrawszy
nowy kieru-
nek, podążyła przez bór jaworów i wyszła na dużą
polanę. Była
ona dziełem pioruna, można było jeszcze dostrzec'na
niej zgliszcza
konarów i pni drzewnych. Zaledwie Wahowie i
Ulhamrowie
wstąpili na ni^, Naoh znowu ujrział z prawej strony
błękitnawe**

173

**cielsko podobne do spostrzeżonego poprzednio
wśród liści figow-
ca. Dwie inne postacie, jedna za druga, pojawiły się
w sinawym
mroku. Zaszleściły gałęzie, wyszło stworzenie
zwinne i potężne.
Nikt nie zdołałby powiedzieć, czy nadeszło ono na
czterech ła-
pach, jak zwierzęta pokryte sierścią lub płazy, czy
też na dwóch —
jak ptaki i ludzie. Wydawało się, że przysiadło
trzymając tylne
kończyny do połowy wyciągnięte na ziemi, przednie
zaś, skurczo-**

ne opierały się na grubym korzeniu. Twarz miało ogromna o paszczę hieny, oczy okrągłe, bystre i płomienne, czaszkę długa i spłaszczona, pierś głęboka jak u Lwa, lecz szersza. Cztery kończyny były to cztery ręce. Sierść ciemna z płowymi i błękitnymi odświekami pokrywała całe ciało. Po piersi jedynie i po ramionach poznał Naoh, że miał przed sobą człowieka, albowiem cztery jego ręce czyniły zeń osobliwe stworzenie, przypominające Niedźwiedzia lub psa. Rzuciwszy wokół podejrzliwym i gniewnym wzrokiem Człowiek o Błękitnej Sierści stanął prostując swą postać i wydał niski głęboki pomruk.

Wówczas jedne przed drugimi podobne mu istoty jęły wyśkakiwać z gąszczu. Były tam trzy samce, ze dwanaście samic i kilkoro małych, które na wpół kryły się wśród korzeni i traw. Jeden z samców był olbrzymi, z rękami sękatymi jak platany, z pierśmi dwakroć szersza niż pierś Naoha, mógł przewrócić Żubra

i zadusić Tygrysa. Nie miał żadnej broni, dwóch czy trzech jego towarzyszy trzymało nieogolone jeszcze z liści gałęzie, którymi skrobali ziemię.

Olbrzym zbliżył się do Wahów i Ulhamrów, podczas gdy reszta groźnie pomrukiwała. Uderzał się pięścią w pierś, pomiędzy obwisłymi, drżącymi wargami lśniły białe kły.

Wahowie na znak Kobiety-Wodza cofnęli się. Czynili to bez pośpiechu. Posłuszni dawnemu podaniu, wstrzymywali się od jakichkolwiek ruchów i słów. Naoh ufny ich doświadczeniu naśladował ich. Lecz Nam z Gawem, wyprzedziwszy nieco horde, zatrzymali się nie wiedząc, co począć. Gdy chcieli pójść za przykładem wodza, ujrzeni, że odwrót mieli odcięty. Ludzie o Błękitniej Sierści rozsypali się po polanie. Wówczas Gaw rzucił się w gąszcz,

podczas gdy Nam usiłował przejść wolną jeszcze
stroną. Przesu-
wał się chyłkiem i tak lekko, że niewiele brakowało,
by mu się to
udało. Lecz jednym susem jakaś samica stanęła
przed nim. Zbo-
czył. Nadbiegły dwa samce. I nim tych jeszcze
ominał, potknął
się.

Ogromne ramiona chwyciły Nama. Znakł się w
ręku ol-
brzyna.

Nie miał czasu podnieść swej broni. Uścisk, któremu
oprzeć
się było niepodobieństwem, obezwładnił jego
ramiona, czuł się
równie bezsilny jak antylopa pod ciężarem Tygrysa.
Wówczas,
zdając sobie sprawę z odległości dzielącej go od
Naoha, zesztwy-
niał. Mięśnie miał zdrętwiałe, źrenice nabiegłe krwią,
młodość
jego ugięła się przed pewnością utraty życia.

Naoh nie mógł ścierpieć widoku śmierci swego
towarzysza,
postąpił naprzód, dzierżąc włócznię i maczugę, gdy
Kobieta-

Wódz zatrzymała go:

— Nie uderzaj! — rzekła.

**Dała mu do zrozumienia, że za pierwszym ciosem
Nam zgi-
nie. Drżał na całym ciele rwąc się do walki, a
równocześnie prze-
nikała go obawa, że syn Topoli zostanie zmiażdżony.
Wydał więc
chrapliwe westchnienie i patrzył. Człowiek o
Błękitnej Sierści
niósł koczownika, zgrzytał zębami kołysząc go gotów
zgruchotać
o pień drzewa. Nagle zatrzymał się. Popatrzył na
bezwładne ciało,
potem na twarz Nama. Gdy nie dostrzegł żadnego
sprzeciwu,
okrutne jego szczęki opuściły się w dół, w jego
płowych źrenicach
przemknął jakiś niewyraźny przeblysłk łagodności,
złożył Nama
na ziemi.**

**Jeżeliby młodzieniec uczynił ruch obrony, a nawet
przeraże-
nia, straszna ręka chwyciłaby go znowu. Odczuwał
to, pozostał
nieruchomy...**

**Cała horda, samce, samice i małe skupiły się razem.
Wszyscy
rozpoznawali w Namie podobną sobie budowę. Dla
Czerwonych
Karłów lub Ulhamrów byłby to jeden powód więcej
do zabójst-
wa. Oni jednak nie stykali się z innymi ludźmi, nie
znali wojen,
nie jadali mięsa, żyli bez mowy. Przeciw płowym
drapieżnikom,**

175

**które porywały ich małe lub pożerały rannych zmysł
samoobro-
ny podniecał ich do walki, lecz bez konieczności nie
zabijali zwie-
rząt.**

**Stali nad koczownikiem pełni niepewności. Jego
bezwład i
nagły przejaw łagodności wielkiego samca uspokoiły
ich. Albo-
wiem był on tym, któremu inne samce już od wielu
pór przestały
się sprzeciwiać, który prowadził ich poprzez puszcę
wybierając
drogi lub postoje, który Lwy zmuszał do odwrotu.**

Wszystkie one były tym mniej skłonne do kąsania i bicia, że nie uczyniły tego od razu. Wkrótce, dzięki zacieraniu się w ich mózgach obrazu walki, życie Nama zostało uratowane. Nie będzie już mu nic więcej zagrażało, chyba, że sam uczyni ruch natarcia lub obrony. Mógłby teraz iść z tymi ludźmi bez obawy zaniepokojenia ich, a może nawet mógłby żyć z nimi.

I jak przedtem poczuł powiew śmierci, tak teraz poczuł, że niebezpieczeństwo minęło. Podniósł się z wolna do postawy siedzącej i czekał. Jeszcze przez chwilę przyglądali mu się z ustępującym niedowierzaniem, po czym jedna z samic, skuszona soczystym pędem rośliny, myślała już jedynie o jej spożyciu. Jeden z samców zabrał się do wykopywania korzeni, powoli wszyscy poddali się przemożnemu nakazowi zaspokajania głodu, a że czerpali całą swą moc z roślin, wybór dla nich był bardziej ograniczony niż dla jeleni lub Żubrów, zadanie mieli długie, zmudne, rzekł-

byś nie kończące się nigdy...

**Młody koczownik był wolny. Połączył się z Naohem,
który
wyszedł już na polanę i obaj patrzyli na znikających,
to znów uka-
zujących się Ludzi o Błękitnej Sierści.**

**Nam, drżący jeszcze cały po przygodzie, wolałby
widzieć ich
(W» nieżywymi. Lecz Naoh nie mógł nienawidzić
tych niesamowitych
ludzi, podziwiał ich siłę podobną do siły Niedźwiedzi
i wyobrażał
sobie, że gdyby chcieli mogliby wytępić Wahów,
Czerwonych
Karlów, Pożeraczy Ludzi i Ulhamrów.**

**12 — Walka..
177**

**Niedźwiedź Olbrzymi
w wywozie**

**Dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy Naoh opuścił
Wahów**

**i przeprowił się przez puszcę Ludzi o Błękitnej
Sierści. Idąc prze-
łączami gór dotarł do płaskowyżu. Jesień była tu
chłodniejsza,
chmury toczyły się bezustannie. Wiatr wył po całych
dniach, tra-
wa i liście gniły na nędznej ziemi, a zimno czyniło
spustoszenie
wśród licznych owadów pod korą drzew, pomiędzy
chwiejącymi
się badyłami, schnącymi korzeniami, owocami, w
szczelinach ka-
mieni i pośród rozpadlin gliny.**

**Gdy obłok przerywał się, gwiazdy jakby zamarzły w
ciemno-
ści. Nocą wilki wyły prawie bez odpoczynku, psy
skowyczały**

178

**nieznośnie, dawał się słyszeć przedzgonny bek
jelenia, antylopy
lub rzenie konia, miauczenie Tygrysa lub ryk Lwa.
Ulhamrowie
widzieli zwinne cielska i płomienne oczy, które nagle
ukazywały
się w kolisku cienia otaczającego ognisko.**

**Życie stawało się coraz straszniejsze. Wobec
zbliżającej się
zimy coraz trudniej było zdobyć pokarm roślinny.
Trawożerne
szukały go beznadziejnie na powierzchni ziemi, ryły
aż do korze-
ni, obrywały pędy i korę. Owocożerne błądziły wśród
konarów,
gryzonie wzmacniały swe jamy. Mięsożerne
czatowały niezmor-
dowanie w ostępach, czaiły się przy wodopojach,
badały pomroki
gęstwin i kryły się w skalnych żłobowiskach.**

**Prócz zwierząt, które zimowały lub tych, które
składały za-
pasy w swych kryjówkach, wszystkie stworzenia
twardo praco-
wały — potrzeby ich wzmagaly się, zasoby zaś
stawały się coraz
szczuplejsze.**

**Naoh, Nam i Gaw niezbyt dotkliwie odczuwali głód.
Węd-
rówka i przygody wyczuliły ich zmysły, zręczność i
roztropność.
Już z daleka odgadywali obecność zdobyczy lub
nieprzyjaciela,
przeczuwali wicher, deszcz i powódź. Każdy ich
ruch był znako-**

micie dostosowany do osiągnięcia celu i zaoszczędzał wysiłku. Od jednego spojrzenia rozpoznawali najdogodniejszą drogę odwrotu, bezpieczne schronisko, dobre miejsce do walki. Odnajdywali właściwy kierunek z pewnością prawie równą pewności ptaków wędrownych. Pomimo gór, jezior, bajor, lasów, zlewisk, powodzi, które zmieniały wygląd okolicy, każdy dzień zbliżał ich do krainy Ulhamrów. Tu już mieli całkowitą pewność, że zanim upłynie pół księżyca, dotrą do hordy.

Pewnego dnia przybyli do miejsca położonego na wysokich wzgórzach. Pod niskim żółtym niebem chmury wypełniały przestrzeń, tłoczyły się jedne na drugie, o barwie ochry, gliny lub zwiędłych liści, z bielejącymi przepaściami, które zaznaczały ich bezmiar. Sprawiały wrażenie olbrzymiego ptaka, wysiadującego jajo — ziemię.

Naoh spomiędzy licznych dróg wybrał długi wąwóz, który

poznał, jako że będąc w wieku Gawa, przebiegał go z gromada

n 9

myśliwych. Tu i ówdzie -wąwóz, żłobił się wśród skał wapiennych, to znów otwierał parowem, kończył się stromym, nakrytym przejściem, w którym nieraz trzeba było wspinać się po zwalach kamieni.

Koczownicy przeszli bez przygody prawie dwie trzecie jego długości. W połowie dnia spoczęli aby posilić się. Skalne ściany pokryte szczelinami, poźłobione pieczarami otaczały ich półkolem. Było słyszeć łoskot podziemnego potoku i jego spadek w otchłań. Dwa ciemne otwory widniały w skale, nosiły ślady tych olbrzymich przewrotów jakim ulegała ziemia w czasach, gdy na niej nie było żadnych jeszcze stworzeń.

Posiliwszy się Naoh skierował swe kroki ku jednej z jaskiń i

długo się jej przyglądał. Przypomniawszy sobie, że Fauhm pokazywał swym wojownikom wyjście z niej na drogę, która można było szybciej dojść do równiny. Lecz pochyłość usiana usuwającymi się kamieniami nie nadawała się dla większego oddziału, mogła jednak być łatwiejsza do przebycia dla trzech lekkich ludzi. Naoh postanowił obrać właśnie tę drogę.

Poszedł w głąb jaskini, rozpoznał szczelinę i szedł nią, póki słabe światło go nie ostrzegło, iż wyjście znajduje się w pobliżu.

Wracając napotkał Nama, który rzekł:

— Niedźwiedź Olbrzymi jest w wąwozie!

Przerwało mu gardłowe wołanie. Naoh podbiegłszy ku wyjściu jaskini spostrzegł Gawa, który, ukryty pomiędzy głazami, stał niby wojownik na czatach. Wodzem wstrząsnął silny dreszcz.

W każdym z dwóch wyjść kotliny ukazały się potworne

zwierzęta. Nadzwyczaj gęsta sierść o barwie dębu
chroniła je oby-
dwa od nadchodzącej zimy, od ostrych zrębów
skalnych, od kol-
ców roślin. Jeden z nich miał cielsko rozmiarów
Żubra z łapami
krótszymi, giętkimi, o bardziej rozwiniętych
mięśniach i czoło
nabrzmiałe, jak kamień porośnięty mchem. Jego
szeroka paszcza
mogłaby chwycić głowę człowieka i zmiażdżyć ją
jednym porusze-
niem szczęk. Był to samiec. Samica miała czoło
płaskie, paszczę krót-
sza, szła jakby bokiem. Ruchami i klatka piersiowa
Niedźwiedzie
wykazywały niejakie podobieństwo do Ludzi o
Błękitnej Sierści.

180

— Tak — wyszeptał Naoh — to są Niedźwiedzie
Olbrzymie.
Nie bały się żadnego stworzenia. Lecz nie były
niebezpieczne,
o ile nie wpadły w gniew, lub gdy nie zniewalał ich
srogi głód, al-
bowiem rzadko żywiły się mięsem. Te jednak głucho
porykiwały.
Samiec wznosił paszczękę i kołysał gwałtownie łbem.

— Jest raniony! — zauważył Naoh.

Krew broczyła po piersi. Koczownicy zaniepokoiili się czy rana nie została zadana ludzka bronią. W tym wypadku Niedźwiedź szukałby zemsty. Z chwila, gdy olbrzymie zwierzęta rozpoczęłyby natarcie, nie zaniechałyby go, ani jedno stworzenie nie było bardziej zawzięte. Dzięki swym gęstym kudłom i twardej skórze lekcewały włócznie, topór i maczugę. Jednym uderzeniem łapy mogły rozplatać człowieka, zadusić go jednym uściskiem, zmiażdżyć szczękami.

— Jak one tu przeszły? — zapytał Naoh.

— Pomędzy tymi drzewami — odpowiedział Gawwskazu-
jąc na kilka świerków rosnących na opoce. Samiec spuścił się w dół z prawej, a samica z lewej strony kotliny.

Wypadek czy też jakiś podświadomy odruch łowiecki zrzą-

dził, iż zagroziły jednocześnie oba wyjścia wąwozu. Natarcie więc wydawało się nieuniknione. Widać to było po bardziej ostrym głosie samca i po ponurej, zebranej w sobie postawie samicy. Jeżeli wahały się jeszcze, to powodem tego była ich powolność myślenia, a zmysły ich żądały pewności. Wietrzyły więc, wciągając długo, głęboko powietrze, by lepiej wymiarkować odległość dzielącą je od wroga ukrytego wśród głazów.

Naoh wydał szybkie rozkazy. Gdy Niedźwiedzie ruszyły, Ulhamrowie byli już w głębi jaskini. Syn Lamparta nakazał młodzieńcom aby go wyprzedzili. Wszyscy trzej pośpieszali, na ile dozwalała najeżona kamieniami powierzchnia i skręty przejścia.

Gdy Niedźwiedzie zastały jaskinię opróżnioną, szukanie tropu wśród dawnych śladów Ulhamrów zajęło im nieco czasu. Podejrzliwe potwory często przystawały, bo aczkolwiek nie obawia-

ły się siły innych stworzeń, posiadały jednak dużo wrodzonej ostrożności i czuły obawę przed niewiadomym. Znały niespo-

181

dzianki skał, jaskiń i przepaści. Ich uporczywa pamięć zachowywała widzenie głazów, które rozłupywały się i waliły z góry, ziemi w której tworzą się szczeliny, otchłani o mrocznej czeluści lawin, wód, co znoszą twarde zapory. Podczas ich długiego już żywota ani Mamut, ani Lew, ani Tygrys nigdy im nie groziły. Lecz nieznanne moce często przeciw nim powstawały. Nosiły na sobie ostre ślady kamienia, bywało, że prawie zapadały pod śniegami, widziały się unoszone przez powódź wiosenna i więzione pod zwałami ziemnymi.

Otóż rano tego dnia po raz pierwszy zostały napadnięte przez jakieś żyjące istoty. Miało to miejsce u szczytu prostej skały, na

jaka jedynie jaszczurki i owady mogłyby się dostać.
Trzy pionowe
stworzenia stały na wierzchołku. Na widok
Niedźwiedzi Olbrzy-
mich wydały okrzyk i miotnęły włóczniami. Jedna z
nich zraniła
samca. Wówczas, przejęty bólem i oślepiiony
wściekłością, zatracił
wszelkie jasne poczucie ostrożności i pokusił się
dosięgnąć szczytu
wspinając się na górę. Prędko tego zaniechał i jął
szukaćostęp-
niejszej drogi. W ślad za nim szła jego towarzyszka.

Po drodze wyrwał włócznię, obwąchał ją. Zapamiętał
zapach.

Nieczęsto spotykał ludzi, ich wygląd nie bardziej go
dziwił, niż
wygląd wilków lub hien. A że zawsze zbaczali z jego
szlaku i nie
zaznał skutku ich przebiegłości, ani zasadzek, nie
niepokoił się
nimi wcale. Przygoda tym bardziej więc była
nieoczekiwana i istot-
nie mogła go zmieszać. Wprowadzała nieład do
ustalonego porząd-
ku rzeczy, ujawniała groźbę przeciwna zwyczajom. I
Niedźwiedź
Olbrzymi jął błędzić w przejściach, obmacywał
pochyle ściany,

wdychał uważnie rozproszoną woń. W końcu zmęczył się. Gdyby nie otrzymał rany, byłby zachował jedynie to luźne wspomnienie, które drzemie w głębi istoty i nie przebudza się do chwili poruszenia okolicznościami wywołującymi inne reakcje. Lecz napady bólu odzywały się od czasu do czasu, odzywały wspomnienia trzech istot stojących na szczycie i wspomnienie ostrej włóczni. Wówczas gniewnie mruczał liżąc ranę. Wreszcie samo cierpienie przestało być wspomnieniem. Niedźwiedź Olbrzymi jął myśleć już tylko o uciążliwych poszukiwaniach pokarmu, gdy wtem zno-

182

wu zwiertzył zapach człowieka. Pierś wezbrała mu gniewem. Ostrzegł samicę, która postępowała inną drogą, albowiem nie mogły one bytować, szczególnie podczas zimy, na przestrzeniach zbyt blisko siebie położonych. A gdy upewnił się co do stanowiska i oddalenia wrogów, przyśpieszyli natarcie.

**W ciemnej szczelinie Naoh odniósł z początku
wrażenie, iż
nie było tam nikogo, prócz jego towarzyszy. Po czym
dały się
słyszeć ciężkie stąpania potworów i ich
przyśpieszony potężny od-
dech. Niedźwiedzie doganiały ludzi. Posiadały one
przewagę w
szybkości dzięki czterem łapom wczepiającym się w
niepewną na-
wierzchnię, wyczulone nozdrza nie gubiły tropów...
Co chwila
któryś z koczowników uderzał o wystający kamień,
potykał się w
wyżłobieniach, potraçał o występy ścian, albowiem
należało
dźwigać broń, zapasy, klatki z Ogniem, których
Naoh nie chciał
porzucić. A że wątle płomienie migały jedynie na
dnie klatek, nie
mogły więc oświetlać drogi. Ich słabe czerwone
światełko zanikło
ku górze i ledwie wskazywało zarysy ścian. W
zamian, chociaż nie-
wyraźnie, pozwalało ono jednak dostrzegać
uciekające postacie...**

— Prędzej! Prędzej! — wołał wódz.

Nam z Gawem nie mogli być swobodnie. A
olbrzymie zwie-
rzęta zbliżały się. Za każdym krokiem słyszało się
wyraźniej ich
oddech. Ponieważ w miarę, jak wyczuwały swych
wrogów bliżej,
ich szal wzmagał się, to jedno, to drugie wydawało
złowrogię po-
ryki. Ich gromkie głosy hucząc odbijały się od
kamieni. Tym le-
piej Naoh pojmował ogrom ich postaci, ich straszny
uścisk, miaż-
dząca moc ich szczęk... Wkrótce Niedźwiedzie były
już o parę
kroków. Ziemia drgnęła pod Naohem, niezmierny
ciężar miał już
przytłoczyć mu kręgi...

Zawrócił i stanął oko w oko ze śmiercią. Pochylając
nagle
klatkę, skierował wątłe światło na kołyszące się
cielsko. Potwór
stanął jak wryty. Wszelkie niespodziewane
wydarzenia budziły
jego ostrożność. Przyjrzał się płomykowi, przestąpił
z łapy na łapę
i zawezwał mrużąc głucho samicę. Po czym
uniósłszy się szalem
runął na człowieka... Naoh uskoczył w bok i cisnął z
całych sił

klatką. Niedźwiedź ugodzony w chrapy, z opaloną powieką, wy-

183

dał ryk bólu i podczas gdy się obmacywał,
koczownik począł
szybko oddalać się.

Szarawe światło sączyło się do podziemi.
Ulhamrowie spo-
strzegli teraz kamienista drogę. Nie potykali się już,
popędzili
cwałem... Lecz pościg wznowił się. Groźne zwierzęta
też zdwoiły
szybkość i podczas gdy światło wzmagalo się, syn
Lamparta po-
myślał, iż na wolnym powietrzu niebezpieczeństwo
stanie się
groźniejsze.

Znowu Niedźwiedź zbliżył się. Doskwierający ból
podsycił
jego wściekłość, opuściło go poczucie wszelkiej
ostrożności, gdy
krew zalewała mu łeb, nic już nie mogło wstrzymać
jego rozpęta-
nia. Naoh odgadywał to po jego głębszym oddechu,
po urywa-

nych i chrapliwych pomrukach. Miał już odwrócić się, aby stoczyć bój, gdy Nam zawołał nań. Wódz ujrzał wyniosły występ, za którym przejście stawało się węższe. Nam już był po jego drugiej stronie, Gaw skręcał w ślad za nim. Paszcza Niedźwiedzia charczała już o trzy kroki, kiedy z kolei Naoh ściągnąwszy ramiona prześlizgnął się przez wąską szczelinę. Uniesiony zapędem zwierza uderzył się o zaporę z kamiennych ścian i jedynie jego potworna paszcza przeszła przez otwór. Rozdziawił ją pokazując żarna i piły zębisk i ryknął straszliwie, złowrogo. Lecz Naoh nie czuł już lęku, znalazł się nagle w miejscu niedostępnym dla wroga. Kamień potężniejszy od stu Mamutów, trwający dłużej niż żywot tysiąca pokoleń, zatrzymał Niedźwiedzia tak pewnie jak śmierć.

Koczownik zachichotał szyderczo:

— Naoh jest teraz silniejszy od Wielkiego Niedźwiedzia, bo

posiada maczugę, topór i włócznię. Może uderzyć
Niedźwiedzia,
a Niedźwiedź nie może mu oddać ani jednego z jego
ciosów.

Wzniósł maczugę. Niedźwiedź znów poznawał
podstępny
skał, przeciw którym walczył od najmłodszych lat.
Cofnął łeb za-
nim ugodził weń człowiek, usunął się za występ.
Gniew nie
opuszczał go, rozsadzał mu boki, walił jak młotem w
jego skro-
nie, pchał go do gwałtu. Nie poddał mu się jednak.
Albowiem
prowadził go zmysł przewidujący następstwa, a nie
zapominał
wcześniejszych wydarzeń. Od samego rana poznał
już dwukrot-

184

nie, że człowiek potrafi zadawać ból dziwnymi
razami. Zaczynał
godzić się z położeniem, odbywała się w nim smutna
praca narzą-

dów myślowych, które miały później pionowa istotę
zaliczyć w
poczet niebezpiecznych. Będzie on ja uporczywie
nienawidził, za-
ciekle tępił, ale równocześnie rozwinie przeciw niej
swa siłę i roz-
tropność, więcej nawet, bo zacznie ja wypatrywać,
czatować na
nią i napadać znienacka.

Niedźwiedzica, którą to wydarzenie mniej nauczyło,
niż jej
samca, albowiem ani jedna rana nie uczyniła jej
mądrzejsza, głu-
cho porykiwała. A że głos samca zalecał jej
ostrożność, przestała
zbliżać się do szczeliny podejrzewając, iż kamień
zgotował jakąś
zasadzkę. Nie wyobrażała sobie bowiem, aby
niebezpieczeństwo
mogło powstać z przyczyny tych nikłych stworzeń,
które skryły
się za skrzytem ściany.

Skala

**Naoha przez jakiś czas ogarniała chęć zadania ciosu
Niedź-
wiedziowi. Opanowała go zawziętość. Wzrokiem
badając ciem-
ności, trzymał włócznię w pogotowiu. Wreszcie,
skoro groźny
zwierz wciąż pozostawał niewidoczny, a samica
odeszła, uspokoił
się. Jął rozmyślać, iż dzień ma się ku schyłkowi,
trzeba jeszcze do-
trzeć do równiny. Poszedł zatem w kierunku światła.
Rosło ono z
każdym krokiem. Przejście rozszerzyło się i
koczownicy ujrzeli
poprzez wielkie jesienne chmury toczące się w głębi
przestworzy
najeżoną stromą pochyłość pełną przeszkód, a w dole
ziemię cią-
nącą się bez końca. Wydali radosny okrzyk.**

187

**Albowiem cała okolica była im dobrze znana.
Przebiegali od
lat dziecięcych te lasy, sawanny i wzgórza.
Przechodzili przez te
bagna, obozowali u brzegu tej rzeki lub pod
urwiskami skał. Jesz-
cze dwa dni pochodu, a osiągną wielkie moczary,
dokąd ściągali**

**Ulhamrowie po swych wojennych i łowieckich
wyprawach, a
które według podania były ich kolebka.**

**Nam śmiał się jak dziecko, Gaw wyciągał ręce w
radosnym
zachwycie, a Naoh stojąc nieruchomo poczuł, że
odżyła w nim
taka obfitość wspomnień, jakby był naraz kilkoma
istotami.**

— Zobaczymy znów horde! — zawołał.

**Już wszyscy trzej oczami wyobraźni widzieli jej
obecność.
Zdała się czepiać jesiennych gałęzi, odbijała w
wodach i przeobra-
żała obłoki. Obraz tych okolic był dziwnie różny od
miejsc, które
leżały po tamtej stronie skalistych wzgórz, za nimi,
na niezmie-
rzonym południo-wschodzie. Nie pamiętali już nic
więcej prócz
dni radosnych. Nam z Gawem, którzy często musieli
znosić suro-
wość starszych, pięści Fauhma szybkie i okrutne,
czuli tu bezgra-
niczne bezpieczeństwo. Spoglądali z dumą na małe
płomienie, ja-**

kie wśród tylu walk, trudów i cierpień zachowali przy życiu.

Naoh żałował, iż musiał poświęcić swą klatkę, jakiś niewyraźny

przesąd tlił się w głębi jego mózgu: czyż jednak nie przynosił ka-

mieni, co zawierały Ogień, wraz z tajemnicą jak go wykrzesać?

Cóż z tego! Byłby wolał tak, jak jego towarzysze zachować coś z

żywej istoty, którą zdobył na Kzamach.

Schronić się było trudno. Z nadejściem jesieni namnożyło się

zwałów i rozpadlin. Pomagali sobie toporem i zakrzywioną ością.

Gdy doszli nareszcie do równiny, ostatnia przeszkoda była prze-

byta. Pozostawało im jedynie postępować naprzód szlakiem pros-

tym i dobrze znanym. Pełni otuchy mniej zwracali uwagi na licz-

ne niebezpieczeństwa, które groziły im i czyhały na nich.

Szli aż do zmierzchu. Naoh szukał miejsca, gdzie rzeka zata-

czała łuk, chcąc tam rozłożyć obozowisko. Dzień ociężale konał

wśród głębi obłoków. Powlókł się czerwony blask,
złowrogi i po-
nury, towarzyszyły mu wycia wilków i przeciągły
skowyt psów,
które chyłkiem ciągnęły gromadą, czaiły się na
skraju krzaków

188

i lasów, mnogość ich zadziwiła koczowników. Pewnie
jakaś węd-
rówka trawożernych wygnała je z pobliskich okolic i
zgromadziła
na tej ziemi obfitującej w zdobycz. Wrzaski ich
obwieszczały nie-
dostatek, ich ruchy — gorączkową działalność.
Wiedząc, że należy
się ich wystrzegać, gdy są w dużej liczbie, Naoh
przyśpieszył kro-
ku.

Po jakimś czasie utworzyły się dwa stada. Psy były z
prawej,
a wilki z lewej strony. A że biegły po tym samym
tropie, zatrzy-
mywały się czasami, by grozić sobie wzajemnie.
Wilki były roś-
lejsze, karki miały nabrzmięte i muskularne, psy zaś
miały prze-

wagę liczebną. W miarę jak ciemności pochłaniały
zierzch, oczy
ich rzucały jaśniejsze błyski. Nam, Gaw i Naoh
spozstrzegali
mnóstwo zielonawych ogników, które zmieniały
miejsca jak
światliki. Często koczownicy odpowiadali na wycia
przeciągłym
okrzykiem wojennym, a wtedy widziano jak
wszystkie te błysz-
czące światełka odpływały w tył.

Z początku zwierzęta trzymały się w odległości paru
rzutów
ością, gdy mrok stawał się głębszy, podchodziły
bliżej i słyhać
było wyraźniej miękkie stąpania ich łap. Psy okazały
się śmielsze,
kilka z nich wyprzedziło ludzi. Zatrzymywały się
nagle, rzucały w
podskokach z przeraźliwym wyciem lub skradały
czołgając się.
Wilki w obawie, że zostaną w tyle nadbiegały
gromadnie napel-
niając ciemności rozdzierającym wrzaskiem. Walka
stawała się
nieunikniona. Psy, przywarte jedne do drugich,
podniecone tym,
iż wysunęły się ,na czoło, stawiały nagle opór. Szalone
zniecierpli-

wienie skręciło wnętrzości wilków. I w konającym popiele
zmierzchu chwiały się dwa stada: fale drgającego mięsa i fale przeciągłego łoskotu wrzasków.

Do starcia jednak nie doszło. Kilka sztuk mniej wojowniczych zaniechało łowów, więc ich przykład wziął górę. Dwie równoległe linie biegnących psów i wilków groziły sobie nawzajem w ten wieczór głodu. Uporczywy pościg zaczął po niejakim czasie niepokoić ludzi. Mając przed sobą prawie czarny zachód, pośród tylu złowrogich ciał, czuli śmierć.

Jakaś zgraja psów wyprzedziła Gawa, który posuwał się z le-

189

wej strony i jeden z nich, rosły jak wilk, stanął, wyszczerzył poły-skujące zęby i skoczył. Młodzieniec cisnął odruchowo ością. Wbiła się w bok zwierzęcia, które z przeciągłym skowytem poczęło kręcić się wkoło, Gaw dobił je uderzeniem maczugi.

**Na krzyk śmierci ława nadbiegły psy. Łączyło je
poczucie jed-
ności gatunku silniej rozwinięte niż u wilków. I gdy
tylko jeden
z nich był w niebezpieczeństwie, to zdarzało się
nawet, iż stawiały
czoła dużym drapieżnikom. Naoh obawiał się
natarcia całej gro-
mady. Przywołał Nama i Gawa w celu wspólnego
przeciwstawie-
nia się zwierzętom. Przywarci jeden do drugiego,
koczownicy sta-
nowili jakby jedna bryłę. Zadziwione psy ujadaly
wokół nich.
Niechby jeden z nich odważył się rzucić, wszystkie
poszłyby za
nim i kości ludzi bielalyby na równinie...**

**Wtem Naoh miotnał włócznia. Jeden z psów padł z
przebita
piersią. Wódz, chwyciwszy go za tylne łapy, cisnął
nim w stado
wilków, które nadbiegły z prawej strony. Raniony
zniknął wśród
nich, a podniecone zapachem krwi i łatwością
zdobyczy jęły poże-
rać to żywe mięso. Wówczas psy zapomniawszy o
ludziach runęły
gromada na wilki.**

Podczas gdy rozpoczynała się utarczka, koczownicy pocwałowali naprzód. Opary zwiastowały bliskość rzeki i Naoh rozróżniał od czasu do czasu jakieś migotanie. Dwa czy trzy razy zatrzymywał się dla sprawdzenia kierunku, w końcu, wskazując na jakąś szarawą bryłę, wznoszącą się nad wybrzeżem, rzekł:

— Naoh, Nam i Gaw mogą drwić z psów? i wilków. Był to duży, skalny, prawie sześcienny głaz. Sięgał wysokości pięć razy takiej, jak człowiek. Był dostępny tylko z jednej strony. Naoh wspiął się nań szybko, gdyż znał go od wielu lat. Gdy Nam z Gawem poszli za jego przykładem, znaleźli się na płaskiej powierzchni zarośniętej krzakami. Rosła tam nawet jedna jodła. Było tu dość miejsca na założenie obozowiska dla prawie trzydziestu ludzi.

Tam, na szarawej równinie, zajadle walczyły wilki z psami. Okrutne wrzaski, przeciągłe skargi przeszywały wilgotne powie-

trze. Koczownicy tymczasem zażywali bezpiecznego spokoju.

19Q

Drzewo zatrzeszczało. Ogień wypuścił swe czerwone języki i płowe dymy, szeroka luna roztoczyła się na wodach. Od samotnie stojącej skały odcinały się dwa skrawki jałowych brzegów; trzcinny, wierzby i topole rosły w pewnym oddaleniu; można było odróżnić wszystkie przedmioty na dwadzieścia rzutów ością...

Tymczasem zwierzęta to uciekały od światła i kryły się, to znów przybiegały olśnione. Dwie sowy z ponurym krzykiem wzleciały na osikę, zawirowała chmara długouchych nietoperzy, stado przerażonych szpaków uciekło na przeciwny brzeg, zaniepokojone kaczki opuściły sitowia i pośpieszyły skryć się w cieniu,

podługowate ryby niby mgły srebrzyste, pociski z
konchy perło-
wej, wiry miedziane wypłynęły z głębin. Rudawe
światło pozwo-
liło ujrzeć krępego dzika, co zatrzymał się kwicząc i
dużego jelenia
o drżącym grzbiecie i wieńcach w tył zarzuconych.
Łeb złowrogi
rysia o uszach zwężonych ku górze, ślepiach
miedzianych i okrut-
nych ukazał się pomiędzy dwiema gałęziami jesionu.

Ludzie znali jego siłę. Jedli w milczeniu pieczone
mięso, ra-
dzi, że mogą żyć grzejąc się przy Ogniu. Horda jest
w pobliżu!
Zanim nastąpi drugi wieczór, rozpoznają wody
Wielkich Mocza-
rów. Nam i Gaw będą przyjęci jako wojownicy.
Ulhamrowic do-
wiedzą się o ich odwadze, przebiegłości, wytrwałości
i będą się
ich bali. Naoh otrzyma Gamie i będzie dowodził po
Fauhmie...
Krew im kipi nadzieją. Wszystko jest rozległe,
wszystko jest
nowe. Nie odczuwają, że życie ich może się skończyć,
śmierć jest
raczej przerażającą bajką niż rzeczywistością. Boją
się jej z nagłą,

w chwilach strasznych, po czym oddala się ona,
zacierając, roztopia
w głębiach ich życiowej mocy. Jeżeli przeznaczenie
bywa okrutne
i spada na ludzi bezustannie wraz ze zwierzem,
głodem, zimnem,
z klęskami żywiołów, to z chwilą gdy wszystko już
minie, nie
myślą o groźbie śmierci. Byle tylko mieć schronisko i
pożywie-
nie, a życie popłynie wartko jak rzeka.

Wtem ryk przebił ciemności. Dzik oddalił się, jeleni,
drżący z
napięcia pocwałował w skok zarzuciwszy głębiej na
kark swe ko-
nary, sto ciał wraz zadygotało. Z początku ukazał się
w pobliżu
osiki jakiś mglisty kształt, potem chwiejne zarysy
zwierzęcia, któ-

192

rego moc ujawniał każdy ruch. Raz jeszcze Naoh
zobaczył Lwa
Olbrzymiego. Wszystko pierzchło. Samotność stała
się bezmier-
na. Olbrzymi potwór zbliżył się okazując niepokój.
Znał szyb-

kość, czujność, wyostrzone powonienie, ostrożność
tych, na któ-
rych miał napaść. Ta ziemia, na której jego gatunek
prawie zanikł
stała się mniej ciepła i bardziej uboga. Chcąc żyć na
niej, wyczer-
pywał swe siły. Zawsze głód szarpał mu wnętrzności.
Wątpliwe,
czy jeszcze spędzał choć jedną porę roku ze swą
samicą, okolice,
w których wystarczyłoby zdobyć dla pary, trafiały
się coraz
rzadziej, nawet tam, w krainie słońca lub w
wygrzanych dolinach.
Ten więc, który błądzi po obszarach Wielkich
Moczarów, żyjąc
dalej, nie zostawi po sobie potomstwa.

Pomimo, że skała była wysoka i stroma, Naohem
wstrząsnął
dreszcz lęku. Upewniwszy się, że Ogień broni
wąskiego dostępu,
chwycił maczugę i ość. Nam z Gawem byli również
gotowi do wal-
ki. Wszyscy trzej, przytuleni do skały, pozostawali
niewidoczni.

Lew Olbrzymi zatrzymał się. Przypadłszy na swych
potężnych

łapach, przyglądał się temu blaskowi, który mącił z góry ciemności. Nie poznał w nim światła dziennego, które przeszkadzało mu czatować na zdobycz. Mętnie przypominał sobie płomień pożerający sawannę; pamiętał drzewo opalone od pioruna oraz Ognie nie należące do człowieka, o którego kiedyś ocierał się na ziemiach, skąd wyganiały go powoli: głód, powódź lub posucha, uniemożliwiające jego bytowanie. Wahał się, ryczał uderzając z wściekłością ogonem o boki, po czym przybliżył się wężąc wyziewy. Były one słabe, albowiem unosiły się i rozpraszały zanim zdążyły opaść, lekki wietrzyk znosił je ku rzece.

Z trudnością zwietrzył dym, prawie nie dotarła woń pieczonego mięsa, a już wcale nie poczuł zapachu ludzi. Nic nie widział prócz tego płasającego światła, którego czerwone i żółte błyskawice to rosły wybuchając stożkowato, to płynęły kaskadą lub zwierały się z nagłym cieniem dymu. Nie łączyło się z nimi ani jedno

wspomnienie jakiegokolwiek zwierzyny lub ruchu
wykonywanego
podczas walki, i potwór ogarnięty rozpaczliwym
lękiem, rozwarł
ogromną paszczę, jaskinię śmierci, skąd wydarł się
zdławiony ryk.

13 — Walka..

W

Naoh ujrzał, jak Lew Olbrzymi oddala się w mroki
nocy, gdzie
będzie mógł czatować na zdobycz.

— Ani jeden zwierz nie może nas zwalczyć! —
wykrzyknął
wódz z wyzywającym śmiechem.

W pewnej chwili Nam zadrżał. Zwrócony plecami do
Ognia
ścigał coś wzrokiem na przeciwległym brzegu, coś, co
odbijało się
nagłymi rzutami na powierzchni wody, uwijało się
pomiędzy
wierzbami i jesionami. Wszeptał wskazując ręką:

— Synu Lamparta, jacyś ludzie przyszli!

Pierś wodza przytłoczył ciężar, wszyscy trzej natężyli swe zmysły. Lecz brzegi były puste, nie słyszeli nic prócz chlupania wody, nie odróżniali nic prócz zwierząt, trawy i drzew.

— Czyżby Nam się omylił? — zapytał Naoh.
Lecz młodzieniec pewny swego odpowiedział:

• — Nam nie omylił się... on spostrzegł postacie ludzkie pomiędzy gałęziami wierzb... dwie postacie.

Wódz nie wątpił już, serce jego zżymało się z obawy i nadziei. Wyrzekł zupełnie cicho:

— Tu jest kraina Ulhamrów. Ci, których widziałeś, to zapewne myśliwi lub wywiadowcy wysłani przez Fauhma.

Powstał, wyprostował swą postać, albowiem ukrywanie nie zdałoby się na nic, przyjaciółom czy wrogom dobrze było znane znaczenie Ognia.

Rozległ się jego głos:

— Jestem Naoh, syn Lamparta, com zdobył Ogień dla Ulhamrów. Niech wysłańcy Fauhma ukaż[^] się!

Pustka pozostała nieprzenikniona. Nawet podmuch wiatru i odgłosy drapieżników zamarły, tylko trzask płomienia i świeży poszum rzeki zdawały się wzmaczać.

— Niech wysłańcy Fauhma ukaż[^] się! — powtórzył wódz.

—Jeżeli spojrzą, to poznaje Naoha, Nama i Gawa. Wiedza przecie, iż oni będą im radzi.

Wszyscy trzej, stojąc przed czerwonym Ogniem, ukazali swe postacie, równie dobrze widoczne jak za dnia i wykrzykiwali zawołanie Ulhamrów.

194

Oczekiwanie pożerające serca towarzyszy było pełne grozy.

Naoh wzburzył się:

— To są wrogowie!

Cała radość opuściła ich. Niebezpieczeństwo było tym bardziej okropne, że spadło na nich tej samej nocy, gdy powrót ich zdawał się już tak bliski. Było tym bardziej dziwaczne, że pochodziło od ludzi. Na tej ziemi, stykającej się z Wielkimi Moczarami, nie spodziewali się innego spotkania, jak z własną hordą. Czyżby zwycięzcy Fauhma znów go napadli? A może Ulhamrowie zniknęli ze świata?

Naoh wyobraził sobie Gamie porwana, a może już martwa. Zgrzytnął zębami i pogroził maczuga w stronę przeciwległego brzegu, po czym, przygnębiony przykucnął przy ognisku, rozmyślał i czuwał.

Niebo rozwarło się na wschodzie, księżyc w ostatniej kwadrze ukazał się w głębi sawanny. Był barwy czerwonej, zamglony i ogromny, jego blask jeszcze słaby przenikał już pomroki okoli-

cy. Ucieczka, któr[^] zamyślał wódz będzie prawie niemożliwa jeżeli ukrywający się ludzie przewyższają ich liczbą i zgotowali zasadzkę.

Podczas gdy tak rozmyślał, wstrząsnął nim silny dreszcz. W dole rzeki spostrzegł krępa postać. Mimo szybkości, z jaką znikła w trzcinach, pewność przeszła go jak grot włóczy. Ci co się skrywają byli bez wątpienia Ulhamrami. Lecz Naoh wolałby Poleraczy Ludzi lub Czerwonych Karłów, albowiem rozpoznał Włochatego Aghoo.

195

Aghoo Włochaty

W ciągu kilku uderzeń serca przeżył wspomnienie tej chwili, gdy Aghoo z braćmi stanęli przed Fauhmem obiecując zdobycie

Ognia. Groźba płonęła w ich okrągłych oczach, siła i okrucieństwo towarzyszyły ich poruszeniom. Horda przysłuchiwała się z drżeniem ich słowom. Każdy z nich trzech mógłby dotrzymać placu Fauhmowi. Przy ich kudłatych szerokich piersiach, jak u Szarego Niedźwiedzia, potwornych ramionach i rękach twardych jak gałęzie dębu, przy ich przebiegłości, zręczności i odwadze, jedności nienaruszalnej, zwyczaju wspólnej walki, znaczyli tyle co

196

dziesięciu wojowników. Na wspomnienie tych wszystkich, których oni zabili lub którym pogruchotali członki, dreszcz bezgranicznej nienawiści wstrząsnął Naohem.

Jak ich ubić? On, syn Lamparta, czuł się po tych zwycięstwach równy Aghoo. Ufał w swe siły. Lecz Nam i Gaw będą jak Lamparty wobec Lwów!

**Pomimo iż został zaskoczony i że tyle wrażeń
zakotłowało w
jego głowie, nie opóźniło to jednak postanowienia
Naoha. Było
ono równie szybkie, jak skok kozła zaskoczonego w
legowisku.**

**— Najpierw wyruszy Nam — rozkazał — następnie
Gaw.**

**Zabiorą ze sobą włócznie i ości, a gdy będ[^] u
podnóża skały, rzu-
cę im maczugi. Ja sam poniosę Ogień.**

**Albowiem, chociaż posiadał tajemnicze kamienie
Wahów, nie
mógł pogodzić się z myślą porzucenia zdobytego
płomienia.**

**Nam z Gawem zrozumieli, iż należało ubiec w
szybkości Ag-
hoo i jego braci nie tylko tej nocy lecz tak długo,
dopóki nie połą-
czą się z horda.**

**Chwycili pośpiesznie swa broń. Nam schodził już ze
stromiej
skały. Gaw postępował za nim o dwie wysokości
człowieka. Za-
danie ich było teraz cięższe, niż przy wchodzeniu, a
to wskutek**

zwodniczego światła, nagłych cieni oraz tego, iż należało szukać w próżni, po omacku niewidocznych występów i szczerze przywie- rać do ściany.

Skoro Nam już dosięgną! celu, od brzegu rozległ się krzyk puszczyka; odpowiedziało mu jakieś beczenie, a następnie zarechotał bak wodny. Naoh, wychyliwszy się ze skraju płaszczyzny, ujrzał Aghoo wyskakującego spośród sitowia. Nadbiegł jak pion. W chwilę później ukazali się jego bracia: jeden od południa, drugi od wschodu.

Nam właśnie zeskoczył na równinę.

Wówczas Naoh poczuł, jak serce jego napętnia się niepoko- jem. Nie wiedział, czy rzucić Namówi maczugę, czy też przywo- łać go do siebie z powrotem. Młodzieniec był szybszy niż synowie Żubra, lecz że ci kierowali się ku skale, musiałyby przebiec obok nich w odległości jednego rzutu włócznia lub ością...

Wahanie wodza było krótkie, po czym krzyknął:

— Nie rzucę maczugi Namówi, obciążyłaby ona jego bieg!

Niech ucieka ... Niech zawiadomi Ulhamrów, iż oczekujemy ich tutaj z Ogniem.

Nam usłuchał, cały drżący, albowiem wiedział, iż był bezsil-

ny wobec strasznych braci, którzy wykorzystali jego krótkie za-

trzymanie się, zbliżając się znacznie. Dał kilka susów, lecz potknął

się, był więc zmuszony nadrobić szybkością. Wtedy Naoh, wi-

dząc zwiększające się niebezpieczeństwo, zawołał nań, aby nawrócił.

Włochaci byli tuż. Naj bystrzejszy z nich cisnął włócznia.

Przebiła ona ramię młodzieńcowi w chwili, gdy ten wspinał się na

skałę. Drugi wydając okrzyk śmierci, runął na Nama, by go zmiażdżyć.

Naoh czuwał. Ze straszna siła rzucony kamień zakreślił w

mroku łuk i zgruchotał goleń napastnikowi, który
zwaliał się. Za-
nim syn Lamparta wybrał drugi pocisk, ranny ze
skowytem
wściekłości znikł za krzakiem.

Po czym zapadło przewlekłe milczenie.

Aghoo podbiegł do swego brata, badał jego ranę.
Gaw po-
magał Namówi wspiąć się na skałę. Naoh stojąc w
podwójnym
świetle ogniska i księżyca, podniósłszy oburącz bryłę
granitu, go-
tował się do obrony; odezwał się:

— Czy synowie Żubra nie są z tej samej hordy, co
Naoh,
Nam i Gaw? Czemuż napadają nas jak wrogowie?

Aghoo Włochaty powstał z kolei i wydawszy okrzyk
wojen-
ny odpowiedział:

— Aghoo będzie obchodził się z wami jak z
przyjaciółmi, o
ile zechcecie dać mu jego część Ognia — a jak z
jeleniami, o ile
odmówicie!

**Straszny, szyderczy śmiech rozwarł mu szczęki.
Pierś jego
była tak szeroka, iż można było złożyć na niej
Panterę.**

Syn Lamparta zawołał:

**— Naoh zdobył Ogień na Pożeraczach Ludzi.
Podzieli się
Ogniem, gdy połączy się z hordą.**

**— My chcemy Ognia teraz... Aghoo otrzyma Gamie,
a**

m

**Naoh — podwójny dział przypadający z łowów i ze
zdobyczy.**

Szał gniewu wstrząsnął synem Lamparta.

**— Dlaczegoż Aghoo miałby dostać Gamie? Nie
potrafił zdo-
być Ognia! Horda zeń zadrwiłaby sobie!...**

**— Aghoo jest silniejszy od Naoha. Otworzy on wasze
brzu-
chy ością i połamie wasze kości maczugą.**

**— Naoh ubił Szarego Niedźwiedzia i Tygrysicę.
Pokonał**

**dziesięciu Pożeraczy Ludzi i dwudziestu Czerwonych
Karłów. To
Naoh zabije Aghoo!**

— Niech Naoh zejdzie na równinę!

**— Jeśliby Aghoo przybył sam, Naoh poszedłby
walczyć z
nim.**

Śmiech Aghoo buchnął potężny jak ryk:

**— Ani jeden z was nie ujrzy więcej Wielkich
Moczarów!**

**Obydwaj zamilkli. Naoh z drzeniem porównywał
wąskie
piersi Nama i Gawa z potworną budową synóyy
Żubra. Jednak
czyż on nie otrzymał pierwszy przewagi? Bo jeżeli
Nam był ra-
niony, to przecież jeden z trzech braci był niezdolny
do pościgu
wroga.**

**Krew broczyła z ramienia Nama. Wódz przyłożył na
nie po-
piół z ogniska i przykrył je trawami. Po czym,
podczas gdy oczy**

jego czuwały, zastanawiał się, jak walczyć. Nie należało spodziewać się, by mógł zmylić czujność Aghoo i jego braci. Zmysły mieli doskonale, ciała niezmordowane. Posiadali siłę, przebiegłość, zręczność i szybkość. Mniej może szybcy od Nama i Gawa, mieli nad nimi przewagę w wytrzymałości. Jeden tylko syn Lamparta był równie wytrwały jak oni. Wódz zdawał sobie sprawę z grozy położenia, ważył wszystkie szczegóły, a zmysły tworzyły z nich całość. Tak więc Naoh widział przebieg ucieczki i walki, siedząc skurczony przy miedzianym blasku ogniska był jakby właściwie cały już w ruchu.

Powstał nareszcie. Oczy jego zamigotały przebiegłością i porwał ziemię nogą, jak byk racicą. Najpierw należało zagasić ognisko, żeby w razie zwycięstwa synów Żubra, nie otrzymali oni Ganili ani obiecanego okupu. Naoh rzucił do rzeki największą

głównię. Wspomagany przez towarzyszy, zgasił
Ogień, zasypując
go ziemią i kamieniami. Zachował jedynie mały
płomyk w jednej
z klatek; po czym wykonał ponowną próbę zejścia ze
skały. Tym
razem Gaw miał rozpocząć pochód: zatrzymałby się
on na wyso-
kości dwu ludzi, na występie dosyć szerokim, aby
utrzymać rów-
nowagę i miotać włóczniami.

Młody Ulhamr zręcznie wykonał rozkaz.

Gdy dotarł do oznaczonego miejsca, wydał lekki
krzyk za-
wiadamiając wodza.

Synowie Żubra ustawili się w szyku bojowym. Aghoo
z
włócznią gotową do rzutu stanął twarzą do skały,
ranny, oparłszy
się o jakieś drzewo, trzymał swą broń w pogotowiu,
trzeci z bra-
ci, Ruk, o czerwonych rękach, kołował w pobliżu,
tam i z powro-
tem. Naoh stojąc na występie skały, to pochylał się
nad równiną,

to potrząsał włócznią. Wykorzystał chwilę, gdy Ruk
zbliżył się
bardziej i rzucił pocisk. Przestrzeń, którą on przebył,
zadziwiła
syna Żubra, lecz brakowało jakieś pięć długości
człowieka, aby go
pocisk mógł dosięgnąć. Kamień, którym cisnął
później Naoh padł
znacznie bliżej celu. Ruk zawołał szyderczo:

— Syn Lamparta jest ślepy i głupi!

Pelen pogardy wzniosł prawicę uzbrojoną w
maczugę. Naoh
chwycił chyłkiem za broń przygotowaną zawczasu:
była to jedna
z tych proc, jakimi nauczył się posługiwać w hordzie
Wahów.

Nadał jej szybki, wirujący ruch. Ruk, przekonany,
że było to je-
dynie oznaką groźby, nie przestawał krążyć śmiejąc
się szyderczo.

A że nie przyglądał się baczniej skale i światło było
słabe, nie spo-
strzegł więc nadlatującego pocisku. Gdy go ujrział,
było już za
późno. Dłoń jego w miejscu, gdzie duży palec łączy
się z innymi,
została przebita na wylot, z krzykiem wściekłości
upuścił maczu-

gę...

Wówczas wielkie osłupienie ogarnęło Aghoo i jego braci.

Odległość rzutu jaką osiągnął Naoh o wiele przewyższała ich przewidywania. I czując swą moc zmniejszoną przez jakiś tajemniczy wybieg, wszyscy trzej cofnęli się. Ruk mógł jedynie ująć maczugę lewą ręką.

200

Przez ten czas Naoh korzystając z zamieszania, jakie wywołał, dopomógł zejść Namówi. Na równinie znalazło się sześciu ludzi czujnych i dyszących nienawiścią. Natychmiast syn Lamparta pobiegł ukosem w prawo, gdzie przejście było bardziej szerokie i pewniejsze. Tam Aghoo zagradał drogę. Jego okrągłe oczy śledziły każdy ruch Naoha. Umiał doskonale unikać włóczy i ości. Zbliżał się w nadziei, że jego przeciwnicy wyczerpią na próżno

swe pociski, podczas gdy Ruk biegł mu na pomoc.
Lecz Naoh
cofnął się, skręcił nagle i jął zagrażać trzeciemu z
braci, który cze-
kał wsparty na ości. Ten zwrot zmusił Ruka i Aghoo
do zwróce-
nia się na zachód. W tym momencie szersza
przestrzeń stanęła
przed nimi otworem: Nam, Gaw i Naoh rzucili się ku
niej, mogli
teraz uciekać bez obawy osaczenia.

— Synowie Żubra nie dostaną Ognia! — zawołał
wódz grom-
kim głosem — i Naoh zabierze Gamie!

Wszyscy trzej uciekali przez wolną od wrogów
równinę i
zdołaliby może dotrzeć do plemienia bez walki, lecz
Naoh pojmo-
wał, iż należało tej samej nocy rozpocząć bój bez
względu na jego
wynik, bój na śmierć i życie. Dwóch z włochatych
było ranio-
nych, uchylać się od walki znaczyło to dać im
możliwość wylecze-
nia się, a wówczas niebezpieczeństwo stawało się
bardziej groźne.

W tym pierwszym przebiegu gonitwy nawet Nam pomimo rany miał przewagę. Trzej towarzysze wyprzedzili wrogów więcej niż tysiąc kroków, po czym Naoh wstrzymał bieg, wręczył Ogień Gawowi i rzekł:

— Będziecie biegli bez zatrzymywania ku zachodowi... tak długo, póki was nie dogonię.

Usłuchali rozkazu utrzymując swą szybkość, podczas gdy wódz jął wolniej podążać za nimi. Wkrótce zwrócił się przeciwko włochatym grożąc im procą. Gdy osądził, iż znajdują się dostatecznie blisko, skierował się ukośnie ku północy, wyprzedził ich z prawej strony i popędził ku rzece...

Aghoo zrozumiał. Zaryczał jak Lew i rzucił się z Rukiem na pomoc rannemu. Przejęty trwogą osiągnął! szybkość równą szybkości Naoha.

Lecz ten pęd przekraczał jego siły. Syn Lamparta lepiej zbudowany do biegu osiągnął przewagę. Dobięgl do skały wyprzedzając ich o trzysta kroków i stanął oko w oko z trzecim spośród braci.

Ten oczekiwał go, straszny. Cisnął włócznia, lecz stojąc niebezpiecznie na nogach chybił, a Naohjuż napadł na niego. Siła i zręczność włochatego były tak ogromne, iż pomimo zdrętwiałej nogi zdołałby zmiażdżyć Nama lub Gawa. Aby zwalczyć Naoha, użył całego swego wysiłku. Cios jego maczugi był tak straszliwy, iż aby utrzymać równowagę potrzebne mu były obie nogi i podczas gdy zachwiał się, broń jego przeciwnika spadła mu na kark i powaliła go. Drugie uderzenie zgruchotało mu kręgi.

Aghoo był już nie dalej niż na sto kroków; Ruk osłabiony wpływem krwi broczącej mu z ręki i mniej zwinny był o jakieś sto kroków za nim w tyle. Obydwaj pędzili do celu jak Nosorożce,

zapominając o wszelkiej ostrożności.

Syn Lamparta stojąc jedna noga na pokonanym, z maczuga gotowa do ciosu czekał. Aghoo był już o trzy kroki. Skoczył dla natarcia... Naoh usunął się i pobiegł do Ruka z szybkością jelenia. Ostatnim wysiłkiem oburącz odtrącił maczuga broń, która Ruk podniósł niezdarnie lewą ręką i ciosem w czaszkę rozciągnął na ziemi drugiego przeciwnika...

Po czym znów usuwając się przed Aghoo zawołał:

— Gdzież są twoi bracia, synu Żubra? Czyż nie ubiłem ich, jak ubiłem Szarego Niedźwiedzia, Tygrysię i Pożeraczy Ludzi? A jestem przecież równie swobodny jak wiatr! Nogi moje są bystrzejsze od twoich, oddech mój jest równie wytrzymały jak oddech Wielkiego Jelenia!

Gdy znowu zyskał na odległości, przystanął, przyglądając się nadbiegającemu Aghoo i rzekł:

— Naoh nie chce już uciekać. Tej nocy albo zabierze
twe ży-
cie, albo odda swoje...

Mierzył w syna Żubra. Lecz ten odzyskał swa
przebiegłość.
Zwolnił biegu bacząc uważnie. Włócznia przeszła
powietrze, Ag-
hoo pochylił się, broń świsnęła ponad jego czaszka.

202

— To Naoh zginie! — zawołał.

Nie spieszył się już. Wiedział, że przeciwnik zależnie
od swej
woli może przyjąć lub odrzucić walkę. Podchodził
chyłkiem, a
groźnie. Każdy ruch jego ujawniał zwierzę
stworzone do walki,
niósł śmierć czy to ością, czy też maczugą. Pomimo
że bracia jego
leżeli pomiażdżeni nie lękał się rosnącego zwinnego
wojownika o
zręcznych i szybkich rękach, o twardych ramionach.
Albowiem
był on silniejszy od braci i nie znał, co to porażka.
Ani jeden czło-
wiek, ani jedno zwierzę nie ostało się przed jego
maczugą.

**Gdy był już na odległość rzutu, cisnął ością. Nie
zdziwił się
nawet gdy zobaczył, iż Naoh uniknął rogowego
grotu. On sam
również uniknął pocisku przeciwnika.**

**Nie pozostała im inna broń, tylko maczugi. Wzniosły
się ra-
zem; obydwie były z drzewa dębowego. Maczuga
Aghoo posia-
dała trzy sęki; wskutek używania wygładziła się i
połyskiwała w
świetle księżyca. Naoha była okrągła, mniej
zużyta i bledsza.**

**Aghoo uderzył pierwszy. Cios nie był wymierzony z
całej
siły, nie w ten bowiem sposób chciał zaskoczyć syna
Lamparta.**

**Naoh usunął się bez wysiłku i machnął na odlew.
Napotkał ma-
czugę tamtego, drzewa zderzyły się z przeciągłym
trzaskiem. Wów-
czas Aghoo uskoczył na prawo i natarł z boku na
rosłego wojow-
nika, grzmotnął... Cios był straszny, cios, co
miażdżył czaszki
ludzi i zwierząt. Napotkał jednak próżnię, a
jednocześnie maczuga**

Naoha spadła na jego własna broń. Uderzenie było tak silne, że nawet sam Fauhm byłby się zachwiał. Nogi Aghoo trzymały się ziemi jak korzenie, zdołał uskoczyć w tył.

Tak więc znaleźli się obaj oko w oko bez żadnej rany, jakby wcale jeszcze nie walczyli. Lecz w nich samych wszystko wrzało! Wiedzieli, że jeśli któryś z nich osłabnie choćby na taką chwilę jakiej trzeba do wykonania najmniejszego ruchu, to wkroczy w krainę śmierci i to śmierci bardziej upokarzającej niż zadanej przez Tygrysa, Niedźwiedzia lub Lwa. Albowiem walczyli, nie zdając sobie z tego sprawy, dla zapewnienia poprzez niezliczone czasy zwycięstwa gatunkowi, który narodzi się z Gamli.

Aghoo rozpoczął na nowo bój wydając chrapliwe dźwięki,

203

cała jego moc skupiła się w jego przedramieniu. Grzmotnął ma-

czuga bez wybiegu, postanowiwszy zmiążyć każdy sprzeciw.

Naoh, cofając się, nadstawił swa broń. Jeżeli udało mu się odbić uderzenie, to jednak nie mógł przeszkodzić, by jeden z sęków nie rozplątał mu szerokiej bruzdy na ramieniu. Krew bryznęła, zaczerwieniła ramię wojownika. Aghoo, pewien, że tym razem zgładził jeszcze jedno życie, któremu przyrzekł śmierć, wzniosł ponownie maczugę — opadła straszliwie.

Przeciwnik nie czekał, aż go ugodzi, a rozmach jej zniewoli syna Lamparta do pochylenia się. Naoh ze złowrogim krzykiem na cios odpowiedział ciosem. Czaszka Aghoo zadudniła jak kłoc dębowy, włochate cielsko zachwiało się, drugie uderzenie rozciągnęło go na ziemi.

— Nie będziesz miał Gamli! — zaryczał zwycięzca.

— Nie ujrzysz więcej hordy i moczarów, nigdy już nie ogrzejesz swego ciała przy Ogniu!

Aghoo podniósł się. Jego twarda czaszka była czerwona, jego prawe ramię zwisało jak złamana gałąź, nogi nie miały więcej mocy. Lecz uporczywy zmysł samozachowawczy rozgorzał w jego oczach. Chwycił maczugę Jewa ręka i potrząsnął nią po raz ostatni. Zanim zdążyła uderzyć, Naoh wytracił ją, padła o jakieś dziesięć kroków. c

A Aghoo czekał śmierci. Była już w nim. Nie rozumiał inaczey porażki, wspomniał z dumą o wszystkich stworzeniach, które uśmiercił, zanim nadeszła jego kolej.

— Aghoo miażdżył głowy i serca wrogów! — wyszeptał. —

Nigdy nie pozostawiał przy życiu tych, co spierali się z nim o łup lub zdobycz. Wszyscy Ulhamrowie drżeli przed nim.

Był to głos jego zaćmionego sumienia i gdyby mógł radować się ze swej porażki, byłby się radował. Przynajmniej odczuwał swa wyższość, iż nigdy nic nikomu nie puścił płazem, że zawsze

**niszczył za sobą sidła jakie zastawia nienawiść
pokonanego. Przeto
życie jego wydało mu się bez skazy... Gdy pierwsze
uderzenie,
zwiastujące śmierć gruchnęło go w czaszkę nie wydał
ani jednej
skargi, wydał ją dopiero, gdy opuściła go myśl, że nie
pozostało z**

204

**niego nic więcej prócz ciepłego mięsa, w którym
maczuga Naoha
tłumiła ostatnie drgania.**

**Zwycięzca poszedł dobić dwóch pozostałych braci.
I zdało się, iż wstąpiła weń potęga synów Żubra.
Obrócił się
ku rzece, wsłuchany w łomot własnego serca. Czas
należał do me-
go! Nie widział już jego kresu.**

W pomrokach wieków

Co dnia przed samym zachodem Ulhamrowie z
trwoga oczekiwali chwili, kiedy zajdzie słońce. Gdy na niebie
jaśniały samotne gwiazdy lub księżyc chował się poza chmurami, czuli
się dziwnie słabi i nędzni. Zbici w kupę, w cieniu jaskini lub pod
urwiskiem skały, wobec zimna i mroku dumali o Ogniu, który
ich żywił swym gorącym i odpędzał groźne zwierzęta.
Czatownicy nie przestawali trzymać broni w pogotowiu, czuwanie i lęk
nużyły im głowy i członki. Wiedzieli, że mogli być pojmani
niespodzianie, zanim by zdążyli uderzyć. Niedźwiedź pożarł
wojownika i dwie kobiety, wilki i Lamparty porywały dzieci, wielu
mężczyzn nosiło ślady nocnych walk.

Nastawała zima. Wiatr północny miotał swe
włócznie, mróz gryzł ostrymi zębami. A jednej nocy Fauhm, wódz, w
walce

z Lwem stracił władzę w prawej ręce. Uczyniło go to za słabym, aby mógł narzucać swe rozkazy. Do hordy wkradł się brak posłuchu. Hum przestał spełniać rozkazy. Muh utrzymywał, iż jest pierwszy wśród Ulhamrów. Obydwaj mieli zwolenników, podczas gdy nieznaczna liczba pozostała wierna Fauhmowi.

Nie doszło jednak do walki orężnej, wszyscy bowiem byli wyczerpani. Stary Goun mówił im o ich bezsilności i o niebezpieczeństwie, jakie im zagraża, gdyby jęli mordować się nawzajem.

Rozumieli to. Z nastaniem ciemności gorzko żalowali wojowników, którzy poginęli. Po tylu księżycach nic mieli już najmniej nadziei ujrzeć Naoha, Nama i Gawa lub synów Żubra. Parokrotnie wysyłano wywiadowców, powracali nie odnajdując żadnych śladów. Wówczas przygniotło ich rozgoryczenie. Sześciu wojowników padło pod pazurem drapieżnych zwierząt, pod topo-

rem ludzi lub zginęło z głodu. Czyżby Ulhamrowie
nie mieli uj-
rzyć już zbawczego Ognia?

Jedynie kobiety pomimo dotkliwszych cierpień niż
cierpienia
mężczyzn zachowały jakąś nieokreślona ufność.
Cierpliwa odpor-
ność, która utrzymuje gatunki, trwała w nich. Gamla
była jedną z
odporniejszych. Ani głód, ani zimno nie niszczyły jej
młodości. Z
nastaniem zimy włosy jej rosły bujniej, otaczały jej
ramiona jak
grzywa Lwa. Siostrzenica Fauhma posiadała głęboka
znajomość
roślin. Czy to na stepie lub w gąszczu krzaków, czy
to w borze
lub pośród trzcin umiała rozróżniać korzenie, owoce
i grzyby ja-
dalne. Bez niej ogromny Fauhm byłby zginął
podczas tygodnia,
kiedy rana zmusiła go, wyczerpanego upływem krwi,
do leżenia
w głębi jaskini. Ogień nie wydawał się jej tak
niezbędny jak in-
nym. Pragnęła go jednak chciwie i z początku
długich nocy zapy-
tywała siebie, czy go Aghoo, czy też Naoh przyniesie.
Była goto-

wa poddać się, albowiem poważanie dla bardziej silnego tkwiło w głębi jej ciała. Nie pojmowała nawet, jak mogłaby nie zostać kobietą zwycięzcy, wiedziała jednak, że pożycie z Aghoo byłoby bardziej ciężkie.

Otóż nastał jeden wieczór, który zapowiadał się groźnie.

Wiatr rozpędził chmury. Dał ponad zeszlými trawami i czarnymi

208

drzewami z przeciągłym wyciem. Czerwone słońce, szerokie jak pagórek, który wznosił się na zachodzie, oświetlało jeszcze okoli-

cę. A w zmierzchu, mającym zniknąć w otchłani czasu, zbierała

się horda przejęta wielką trwogą. Była słaba, była posępna. Kie-

dyż powrócą dni, gdy płomień huczac pożerać będzie głównie?

Kiedy zapach pieczonego mięsa będzie rozchodził się w mroku,

radość gorąca wstąpi w członki, a wilki będą krążyły żałośnie?

**Nawet Niedźwiedź, Lew i Lampart oddalały się od
tego błyszczą-
cego życia.**

**Słońce zaszło. Na ogołoconym zachodzie światło
skonowało bez
zorzy wieczornej. A zwierzęta, które bytowały w
ciemnościach,
poczęły żerować. Stary Goun, któremu nędza
przysporzyła lat,**

zajęczał ponuro:

**— Goun widział swych synów i synów swych synów.
Nig-
dy Ogień nie był nieobecny wśród Ulhamrów. I oto
nie ma już
Ognia... Goun umrze nie ujrawszy go znowu.**

**Skalne żłobisko, gdzie schroniło się plemię, było
niemal jaski-
nią. Podczas letniej pory byłoby to dobre
schronienie, lecz teraz
podmuchy wiatru biczowały piersi.**

Goun powiedział jeszcze:

— Wilki i psy stają się co wieczór śmielsze.

Wskazywał na przemykające się chyłkiem kształty,
gdy mrok
zapadał. Wycia były teraz bardziej przeciągłe i
groźniejsze. Noc
bezustannie wyrzucała z siebie te zgłodniałe
zwierzęta. Jedynie
ostatnie blaski zmierzchu trzymały je jeszcze w
oddaleniu. Cza-
townicy, zaniepokojeni, czuwali w tym ostrym
powietrzu, pod

zimnymi gwiazdami.

Nagle jeden z nich przystanął i wysunął głowę. Dwaj
inni

uczynili to samo.

Po czym pierwszy oznajmił:

— Na równinie są jacyś ludzie!

Dreszcz przebiegł hordeę. Jednych ogarnął lęk, innym
nadzieja
rozsadzała piersi. Fauhm, pamiętając, że był jeszcze
wodzem,
powstał z wgłębienia, gdzie spoczywał:

— Niech wszyscy wojownicy przygotują broń —
rozkazał.

14 — Walka..

209

W tej chwili niepewności Ulhamrowie usłuchali go w milczeniu. Wódz dorzucił:

— Niech Hum weźmie trzech młodych ludzi i pójdzie śledzić tych, co przybywają.

Hum zawahał się, niezadowolony, że otrzymał rozkaz od człowieka, który stracił siłę ramienia. Lecz tu stary Goun wmieszał się:

— Hum ma oczy Lamparta, słuch wilka, a węch psa. Będzie wiedział, czy ci co zbliżają się są nieprzyjaciółmi, czy też Ulhamrami.

Hum i trzech młodzieńcy udali się w drogę.

W miarę jak posuwali się naprzód, płowy zwierz gromadził

się na ich tropie. Znikli. Długo wyczekiwała horda w
poczuciu
swej niedoli. Nareszcie przeciągły okrzyk przedarł
ciemności.

Fauhm, wybiegając na równinę, zawołał:

— Ulhamrowie nadchodzą!

Straszne wzruszenie przeszło serca, nawet małe
dzieci po-
wstały. Goun wypowiedział zarówno swoja myśl jak i
innych:

— Byłby to Aghoo z braćmi... Czy też Naoh, Nam i
Gaw?

Nowe okrzyki potoczyły się pod gwiazdami.

— To syn Lamparta — zamruczał z głucha radością
Fauhm.

Albowiem lękał się okrucieństwa Aghoo.

Większość jednak myślała jedynie o Ogniu. Jeśli
Naoh przy-
prowadzał go, to gotowi uchylić się przed nim, jeśli
go zaś nie
przyprowadzał, to nienawiść i wzgarda wznieca się
przeciw jego
niedołęstwu.

Tymczasem gromada wilków gonila w strone hordy.
Zmierzch skonala. Ostatni szkarlatny snop zagasl,
gwiazdy polys-
kiwaly w lodowatym przestworzu. Och, ujrzec jak
rośnie to go-
racę zwierzę czerwone, czuć je drgające na piersi i
członkach!

Nareszcie ukazał się Naoh. Na tle szarej równiny
wydawał
się cały czarny, a Fauhm wył:

— Ogień! Naoh przynosi Ogień!

Wszystkich ogarnęło nagle, silne wzruszenie. Wielu z
nich
stanęło, niby rażeni toporem. Inni podskoczyli,
skowyczac, jakby

210

ich szal opętał — a Ogień już był tu, na miejscu.

Syn Lamparta podawał go w klatce z kamienia. Było
to małe
światło czerwone, życie nędzne, które dziecko
mogłoby zgnieść
uderzeniem kamienia. Jednak wszystkim była znana
niezmierna

moc, jaka miała wytrysnąć z tej słabej istoty. Ciężko dysząc, nie wydając głosu, przejęci trwoga, iż może ona zniknąć, nasycali swe

źrenice jej widokiem...

**Po czym powstała tak hałaśliwa wrzawa, że wilki i psy prze-
raziły się.**

Cała horda skupiła się koło Naoha, w ich ruchach przebijała się pokora, zachwyty i radość szalona.

— Nie zabijajcie Ognia — wołał stary Goun, gdy się krzyki

uciszyły.

Wszyscy odstąpili na stronę. Naoh, Fauhm, Gamla, Nam, Gaw i stary Goun, tworząc jądro tego tłumu ruszyli ku skale.

Horda gromadziła suche trawy, wici i gałęzie. Gdy stos był gotów, syn Lamparta przybliżył doń wątle światelko. Chwyciło ono najpierw kilka źdźbeł, ze świstem jęło kasać wici, po czym huczac

**poczęło pochłaniać gałęzie, a tymczasem na skraju
odpartych
ciemności cofały się wilki i psy przejęte tajemniczym
lękiem.**

Wówczas Naoh zwracając się do Fauhma zapytał:

**— Czyż syn Lamparta nie spełnił swej obietnicy? A
teraz
wódz Ulhamrów czy dotrzyma swojej?**

**Wskazał na Gamie stojącą w szkarłatnym świetle.
Wstrząsnęła
swymi obfitymi włosami. Duma rozsadzała jej pierś,
nie czuła już
obawy. Owładnął nią ten zachwyty, jakiemu poddała
się cała horda.**

**— Gamla będzie twoją kobietą, jak było powiedziane
—
rzekł prawie z pokorą Fauhm.**

**— I Naoh będzie rozkazywał hordzie! — oświadczył
śmiało**

stary Goun.

**Mówił tak nie dlatego, aby okazać wzgardę dużemu
Fauhmo-**

wi, lecz aby stłumić współzawodnictwo, które uważał za niebezpieczne. W tej chwili, gdy odżył Ogień, nikt nie ośmielił się przeczyć mu.

W zgodnym podnieceniu zafalowały ręce i twarze.
Lecz Naoh

211

widział jedynie Gamie, jej długie włosy, ożywione oczy. Zarazem głębokie współczucie obudziło się w jego sercu dla tego człowieka, który miał mu ją oddać. Rozumiał jednak, iż wódz o słabym ramieniu nie mógł sam rozkazywać Ulhamrom, zawołał więc:

— Naoh i Fauhm będą przewodzili hordzie!

Wszyscy zamilkli zadziwieni, a Fauhm o okrutnym sercu poczuł, że ogarnia go po raz pierwszy tkliwość dla człowieka, który nie pochodził z jego rodu.

Tymczasem stary Goun, najbardziej ciekawy spomiędzy Ul-

hamrów, zapragnął poznać przygody trzech wojowników. Były one w mózgu Naoha równie świeże, jakby je przeżył wczoraj.

W owych czasach słów było mało, związek pomiędzy nimi

— słaby, ich siła wywoływania wrażeń — szybka, nagła, żywa.

Rosły wojownik mówił o Szarym Niedźwiedziu, o Lwie Olbrzymim, o Tygryscy, o Pożeraczach Ludzi, Mamutach, Czerwonych

Karłach, Ludziach Bez Ramion, Ludziach o Błękitnej Sierści i

Niedźwiedziu Jaskiniowym. Opuścił jednak przez nieufność i

przebiegłość wyjawienie tajemnicy kamieni ognistych, której nauczyli go Wahowie.

Huczący płomień zgodnie mu wtórował. Nam z Gawem ostrymi ruchami rąk podkreślali każdy szczegół.

A że było to opowiadanie zwycięzcy, przenikało głębiej, znie-
walało piersi do szybkiego oddechu.

I Goun zawołał:

— Nie było wojownika wśród ojców naszych, który mógłby równać się z Naohem... i nie będzie takiego ani wśród naszych dzieci, ani wśród synów ich synów!

Wreszcie Naoh wymówił imię Aghoo. Zadrżały ciała jak drzewa podczas burzy, wszyscy bowiem bali się synów Żubra.

— Kiedy syn Lamparta znowu ujrzał Aghoo? — przerwał Fauhm, rzucając nieufnym wzrokiem ku ciemnościom.

— Jedna noc i jeszcze jedna minęły — odpowiedział wojownik. — Synowie Żubra przeprawili się przez rzekę. Ukazali się u skały, gdzie się zatrzymał Naoh, Nam i Gaw. Naoh walczył z nimi!

Wówczas zapadła cisza, w której tłumili się nawet oddechy.

Nic nie było słycać prócz trzaskającego Ognia, podmuchu wiatru i oddalonego krzyku drapieżnika.

— I Naoh powalił ich! — oświadczył dumnie koczownik.

Mężczyźni i kobiety spojrzeli po sobie. Zachwyty i niedowierzanie ścierały się w głębi ich serc. Muh zadając pytanie wypowiedział wątpliwość nurtująca te istoty:

— Czy Naoh zabił wszystkich trzech?

Syn Lamparta nic nie odrzekł. Zagłębił rękę w fałdę skóry niedźwiedziej, która się okrywał i rzucił na ziemię trzy zakrwawione prawice.

— Oto ręce Aghoo i jego braci!

Goun, Muh i Fauhm zbadali je. Nie można ich było poznać.

Ogromne, grube, z palcami poszytymi rudym włosem przypominały nieodparcie straszliwe kształty włośchatych. Wszyscy pamię-

**tali, że drżeli przed nimi. Współzawodnictwo zostało
stłumione w
sercach silnych, słabi nie pojmowali, by mogli żyć
nadal bez Nao-
ha. Kobiety poczuły bezpieczne trwanie gatunku. A
Goun Sucha
Kość obwieścił:**

**— Ulhamrowie nie będą już bali się nieprzyjaciół!
Fauhm chwyciwszy Gamie za włosy rzucił ja
gwałtownie do
nóg zwycięzcy.
I rzekł:**

**— Oto będzie ona twoja kobieta. Moja opieka
przestaje ja
osłaniać. Ugnie się przed swoim władcą, pójdzie
szukać zdoby-
czy, która ubijesz i nieść ja będzie na ramieniu.
Jeżeli będzie ci nie-
posłuszna, możesz zadać jej śmierć.**

**Naoh, położywszy swą dłoń na Gamli, podniósł ja
bez suro-
wości. I niezliczone dni stały przed nimi.**

KONIEC

**Dzieje syna Naoha są opisane w książce pod tytułem
„Kot**

Olbrzymi''.

214

SPIS TREŚCI

Część pierwsza

Śmierć Ognia 5

Mamuty i Żubry 14

W jaskini 30

Lew Olbrzymi i Tygrysica 37

Pod głazami bazaltowymi 56

Ucieczka wśród nocy 66

Część druga

Ślady ogniska 73

W obliczu wrażego Ognia 77

Na brzegach Wielkiej Rzeki 87

Przymierze człowieka z Mamutem 94

Dla Ognia ..;	100
Poszukiwanie Gawa	107
Życie wśród Mamutów	118
Część trzecia	
Czerwone Karły	132
Cypel granitowy	141
Noc wśród moczarów	150
Walka pod wierzbami	157
Ludzie, którzy wymierają	163
Poprzez krainę wód	168
Ludzie o Błękitnej Sierści	172
Niedźwiedź Olbrzymi w wąwozie	178
Skala	187
Aghoo Włochaty	196
W pomrokach wieków	207

Aun, syn Tura, miłował podwodną krainę. Łowił tam ślepe ryby lub raki zielonawe. Czynił to zwykle w towarzys-
stwie Zura, syna Ziemi, ostatniego z Ludzi Bez Ramion,
któremu udało się wymknąć z pogromu swej rasy, sprawio-
nego przez Czerwonych Karłów.

Aun z Żurem całymi dniami brodzili nad brzegami wód
płynących w podziemnych jaskiniach. Nieraz trzeba było
pełzać przez wąskie korytarze z porfiru, gnejsu lub bazaltu.
Żur zapalał łuczywa z drzewa terpentynowego. Purpurowe
światło odbijało się od kryształowych sklepień i wód niewy-
czerpanych. Oni zaś nachylali się, aby patrzeć na pływają-
ce, sinawe zwierzęta, szukali uporczywie przejść lub węd-
rowali dalej aż pod skalistą ścianę, skąd wypływała rzeka.
Zatrzymywali się długo przed nią. Pragnęli przebyć tę taje-
mniczą zaporę, z którą Ulhamrowie od siedmiu wiosen i
sześciu pór gorących nie mogli się uporać.

Aun pochodził od Naoha, syna Lamparta, lecz
zgodnie
ze zwyczajem należał do brata matki. Wolał jednak
Naoha,
do którego był podobny z budowy ciała i wrażliwości
zmys-
łów. Włosy miał gęste i zmierzwione jak grzywa
źrebca,

216

oczy koloru gliny. Był niebezpieczny dzięki swej sile,
lecz
bardziej jeszcze od Naoha był litościwy dla wroga,
gdy wi-
dział go zwyciężonego, rozciągniętego na ziemi.
Ulhamro-
wie podziw dla niego łączyli ze strachem przed nim.
Polo-
wał przeważnie z Żurem, którego bezsilność,
pomimo iż był
zręczny w odnajdywaniu kamieni do krzesania ognia
i w
przygotowywaniu hubki, czyniła bezradnym
wobec
przeciwnika.

Żur miał kształty szczupłe, wydłużone jak
jaszczurka,

ramiona jego spadały tak stromo, że zdawało się,
jakoby rę-
ce wyrastały wprost z kadłuba. Taka bowiem była
budowa
Ludzi Bez Ramion od powstania rasy aż do czasu,
kiedy zo-
stali wytępieni przez Czerwonych Karłów. Pojmował
wol-
niej, lecz wnikliwiej od Ulhamrów. Jednak ta głębia
jego
rozumu miała ulec zanikowi wraz z nim i odżyć
dopiero po
upływie tysiącleci w innych ludziach.

Bardziej od Auna kochał podwodną krainę. Jego
przed-
kowie przebywali w okolicach pełnych wód, których
część
ginęła pod wyniosłościami gruntu lub przepadała w
górach.

Pewnego poranka znaleźli się znowu na brzegu rzeki,
gdzie zastał ich wschodzący, szkarłatny snop
słoneczny.
Żur zdawał sobie sprawę z przyjemności, jaką mu
sprawiał
widok toczących się wód, natomiast dla Auna
uczucie to
nie było jasne. Powędrowali w stronę jaskiń.
Zatrzymali się

przed pasmem wysokich i niedostępnych gór,
których
wierzchołki tworzyły długą, skalistą ścianę. Ciągnęła
się
ona z północy na południe, gdzie ginęła w przestrzeni
i
wznosiła zaporę nie do przebycia. Auna z Żurem
pochłania-
ła żądza przedostania się przez nią, pragnęli tego
również
wszyscy Ulhamrowie. Przybywali oni z północo-
zachodu,
dążyli już od lat ku wschodowi i na południe.
Przyczyną tej
wędrowki były kataklizmy nawiedzające ich
dotychczasowe
koczowiska. Przekonali się ponadto, iż w miarę
pochodu
ziemia stawała się coraz żyźniejsza i bardziej obfita
w zdo-
bycz, przyzwyczaili się więc do tej włóczęgi. Teraz
pasma

217

gór, które stanęło na ich drodze zaczęło niecierpliwić
Ul-
hamrów.

Aun i Żur ułożyli się do odpoczynku w trzcinach pod

czarnymi lipami. Na przeciwległym brzegu przeszły
trzy
ogromne, dobrodusze Mamuty. Pomknęły
antylopy, Noso-
rożec potoczył się w pobliżu przylądka. Jakieś
nieznane do-
tąd odruchy wewnętrzne poczęły niepokoić Auna.
Jego du-
sza, bardziej skłonna do wędrówek od duszy
bocianów,
pragnęła zwyciężyć przestrzeń. I gdy powstał,
zwrócił swe
kroki w górę rzeki aż do groźnej gardzieli, z której
wypły-
wały jej nurty. Lot nietoperza przecinał półmrok
jaskini; ja-
kieś przelotne upojenie owładnęło młodzieńcem,
odezwał
się do Zura:

Za górami są inne ziemie.

Żur odpowiedział:

Rzeka płynie z ziemi słońca.

**Jego mętne oczy, podobne do oczu gadów,
zatrzymały
się na błyszczących oczach Auna. Żur nadawał
pewien**

konkretny cel pragnieniom Ulhamra. Teraz również,
umys-
łem obdarzonym przenikliwą wyobraźnią, swoistą
Ludziom
Bez Ramion, Żur przeczuwał, iż rzeki i strumienie
mają
swój początek.

Niebieskawy mrok poczerniał. Żur zapalił jedną z
gałę-
zi, zabranych ze sobą. Mogliby krążyć bez światła,
tak dob-
rze znali okolicę. Długi czas szli naprzód,
przechodzili przez
korytarze, przebywali rozpadliny, a po zapadnięciu
zmroku
upiekli raki, posilili się i położyli spać.

Obudził ich jakiś wstrząs. Słysząc było staczanie się
głazów, po czym znowu zaległa cisza. Niepokój ich
minął
równie szybko, jak powstał, znowu zasnęli. A kiedy
ran-
kiem ruszyli dalej, znaleźli drogę zawaaloną
nieznanymi im
odłamkami skał.

Wówczas Zura natchnęła fala wspomnień zapadłych
niegdyś głęboko w pamięć.

— Było trzęsienie ziemi — powiedział.

218

Aun nie zrozumiał o co chodzi, i nawet nie starał się
ó
to. Myśl jego była żywa, śmiała, przelotna,
całkowicie po-
chłonięta przez trudności pojawiające się nagle.
Ogarnęło
go zniecierpliwienie przyspieszające jego marsz tak,
że ku
końcowi drugiego dnia dotarli do ściany, na której
kończyła
się podziemna kraina.

Aby lepiej widzieć, Żur zapalił nowe łuczywo.
Terpen-
tynowe światło unosząc się po ścianie z gnejsu łączyło
życie
płomienia z tajemniczym życiem minerału.

Towarzysze, spostrzegłszy szeroką szczelinę, która
utworzyła się w ścianie, wydali radosny okrzyk:

Nowa ziemia!

Tak rozpoczyna się dwutomowa powieść J.H. Ros-
ny'ego, pod tytułem KOT OLBRZYMI, w której
opisane są

losy następnego pokolenia wodza Ulhamrów, Naoha.

**Pierwsze powojenne wydanie książki pt. KOT OL-
BRZYMI ukaże się nakładem Oddziału Krajowej
Agencji**

Wydawniczej w Białymstoku w 1989 roku.

**NAKŁADEM ODDZIAŁU KRAJOWEJ AGENCJI
WYDAWNICZEJ**

**W BIAŁYMSTOKU
WKRÓTCE UKAŻĄ SIĘ:**

**Andrzej Bartosz, Wiesław Janicki TEATR
NATURALNY**

**Scenariusze radiowych słuchowisk, emitowanych od
10 lat w „Powtór-
ce z rozrywki” na antenie III programu PR.**

**Nakład: 10.000 egz., objętość: 10 ark. wyd., wydanie
pierwsze.**

Jack London PRZYGODA

**Wznowienie po 42 latach klasycznej powieści
awanturniczo-przygodo-
wej.**

Nakład: 50.000 egz., objętość: 14 ark. wyd., 'wydanie drugie.

Andrzej Polakowski PRZEDSIONEK'PECHA

Reportaże o tych, którzy chcą coś osiągnąć i nonsensach stanowiących

barierę w ich dążeniach, seria „Z KROPKĄ”.

Nakład: 5.000 egz., objętość: 6 ark. wyd., wydanie pierwsze.

Wiesław Rozbicki ŻURAWIEJKA

Powieść współczesna ukazująca realia życia małego miasteczka i wsi

na wschodnich kresach Polski.

Nakład: 10.000 egz., objętość: 8 ark. wyd., wydanie pierwsze.

Józef Stompor NARKOMANKA

Wznowienie popularnej powieści.

Nakład: 80.000 egz., objętość: 20 ark. wyd., wydanie drugie.

Józef Stompor POWSTAŃCZE EPIZODY

Książka dla młodzieży, zawierająca opowiadania nawiązujące do okresu Powstania Warszawskiego.

Nakład: 40.000 egz., objętość: 8 ark. wyd., wydanie pierwsze.

Zdzisław Umiński W RUINACH WARSZAWY

Powieść dla młodzieży, okresu Powstania Warszawskiego.

Nakład: 40.000 egz., objętość: 8 ark. wyd., wydanie pierwsze.

Lech Wilczek OPOWIEŚĆ O KRUKU

Fascynujący album fotograficzny prezentujący przygody oswojonego

ptaka.

Nakład: 30.000 egz., objętość: 48 ark. wyd., wydanie pierwsze.

Jozepef H. Rosny znakomity powieściopisarz francuski, urodzony w 1856 roku w Brukseli. Był członkiem Akademii Goncourtów. Autor interesujących powieści obyczajowych

i filozoficzno-psychologicznych. Ponadto napisał Rosny cykl romansów z czasów prehistorycznych. Cykl ten rozpoczyna „Walka o ogień”.

Zasadniczym motywem powieści jest miłość między dwojgiem młodych ludzi pierwotnych, Gamlą i Naohem. Ona to popycha Naoha do bohaterskich czynów zmierzających do zdobycia utraconego przez plemię Ulhamrów ognia. Akcja powieści toczy się na tle dzikiej i bujnej przyrody. W olbrzymich gajach i na rozległych sawannach żyją gromadki pierwotnych ludzi, którym w każdej chwili, zwłaszcza w porze nocnej, zagrażają różne niebezpieczeństwa, szczególnie ze strony potężnych, dzikich zwierząt: mamutów, tygrysów, lwów, niedźwiedzi jaskiniowych.

Rosny, dzięki niezwykle bogatej wyobraźni i głębokiej intuicji, uświadamia współczesnym ogromne znaczenie ognia dla ludzkości.

**Na podstawie książki nakręcony został wspaniały
film, wy-
świetlany również w Polsce pod tym samym tytułem.**

Cena zł 450,—

ISBN 83-03-02314-4